MIESIĘCZNIK 3(54) MARZEC 1987 CENA 100 ZŁ

Fantastyka

PL ISSN 0209-1631
NR INDEKSU 35839



Grażyna & Andrzej BARECCY

Reprodukcje: Jerzy Łapiński, Marek Łebkowski



Urodziliśmy się w drugiej połowie XX wieku. Miał to być wiek postępu cywilizacyjnego i ekspansji nauki. Stał się wiekiem zagrożeń. Człowiek zaczął zdobywać Kosmos, lecz stał się niepewny losu własnej Ziemi. Czy z tego zrodziły się nasze obrazy? Nie wiemy.

Ziemia – mały dom człowieka na uboczu Wszechświata. I te formy, może spoza naszego świata. Zdarzyło się to już kiedyś? Może dopiero się zdarzy. Nie wiemy.

Mamy po trzydzieści lat i żyjemy na przełomie XX i XXI wieku. Nie doprawiamy żadnej ideologii do naszych obrazów. Ktoś powie: picture fiction. Może będzie miał rację. Nie wiemy.

Grażyna i Andrzej Bareccy



12,20

Nancy Kress, utalentowana młoda autorka amerykańska, nie była dotąd tłumaczona w Polsce. Nadrabiamy zaległości drukując od razu dwa jej teksty: „Wyjaśnienia, Sp. z o.o." oraz uhonorowane Nebulą za rok 1985 opowiadanie „Wśród wszystkich tych jasnych gwiazd".

Opowiadania i nowele

Powieść

Z polskiej fantastyki

Krytyka

Film i fantastyka

Spotkanie z pisarzem

Nauka i SF

Poezja i fantastyka

...3...2...1...



Niestety, nie znam jeszcze ostatniej, a raczej najnowszej książki Stanisława Lema, która się nazywa „Moje życie", choć jestem pewien, że wydrukuje ją Wydawnictwo Literackie, jak wszystkie dotychczasowe dzieła tego pisarza. Chodzi w niej niewątpliwie o zbilansowanie doświadczeń życiowych, bardzo zapewne szeroko pojętych. I o spojrzenie wstecz na własną twórczość i własne poglądy. Można się także spodziewać dalszego ciągu ewolucji filozofii życiowej.

Opisując go na podstawie dawnych naszych bliskich z nim kontaktów i w obliczu jego dzieła, uciekającego prędko, byle prędzej od fantastyki w sferę refleksji filozoficznej – Lema dzisiejszego przedstawiałem jako wielkiego pesymistę. Pisarza negatywnie ustosunkowanego do swoich bliźnich, wróżącego im niedobrze wśród zimnego i bezdusznego Wszechświata. Próbowałem też, może już bardziej nieśmiało, pisać o jego wymiarze romantyka szarpiącego się za miliony z wrogą w swej obojętności dla człowieczej egzystencji materią. Za miliony istnień ludzkich, z których każde jest inne, wyobcowane, zjeżone poczuciem strachu, zagrożenia, nieuchronnością własnej zagłady. Lem w swych bezlitosnych analizach działań człowieczych (np. w „Bibliotece XXI wieku"), a nade wszystko w swej krytyce zarówno poznawczych szans ludzkości, jak i zwyrodnień aplikacji technicznych, Lem jako moralista wskazujący na grzechy swoich bliźnich w sposób bezkompromisowy, oskarżający (vide rozmowy z nim Beresia publikowane jeszcze tak niedawno w „Odrze") – zdaje się stawać ponad swoimi bliźnimi. Zdaje się im, nam wszystkim, mówić – ja bym ten świat zrobił lepiej. Jak ciągle znajdujemy się niedaleko od nastrojów i myśli zawartych przez wieszcza Adama w jego Wielkiej Improwizacji: „...*Cóż ty większego mogłeś zrobić – Boże?" (...) „...Ja mistrz wyciągam dłonie! Wyciągam aż w niebiosa i kładę me dłonie na gwiazdach jak na szklannych harmoniki kręgach. To nagłym, to wolnym ruchem, kręcę gwiazdy moim duchem. Milijon tonów płynie; w tonów milijonie każdy ton ja dobyłem, wiem o każdym tonie..."* Ten Lema bunt, to wyniesienie się jego nad innych, sława, znaczenie w świecie i pogarda dla świata, który przecież dał mu tę sławę, poczyna wyobcowywać go z naszego grona, drażnić w naszych czasach. Czasach fantastyki wolniejszej często od galopu wynalazków technicznych.

Proszę pamiętać, proszę przypomnieć sobie. Mickiewicz uważał, że *„wynalazek (samolotu)... jest bliski odkrycia, wszakże Opatrzność nie objawi go wprzód, aż nie udoskonali się pewna ilość moralności w masach. Tak Rzymianom nie objawiła prochu, bo zniszczyliby świat..."* Lem nie żywi już takich złudzeń, potępia struktury moralne i fizyczne istniejącego świata i nie wierzy w ich odbudowę. Przynajmniej tak się wydaje, że nie wierzy.

Zwracałem już na to uwagę, że w swoich demiurgicznych, światotwórczych odruchach zapędza się nawet tak daleko, że wyśmiewa samą naturę, jej umiejętności kształtowania tego co martwe, ale także i tego co żywe, drwiąc na przykład z bliskości narządów wydalniczych i narządów, w których powstaje nowy człowiek. Tak wyrósł, tak się wysublimował, że fantastyczne możliwości tworzenia przedkłada nad rzeczywiste. Znowu tu pasuje jak ulał cytat z „Dziadów": *„Tak gardzę tą martwą budową, którą gmin światem zowie i przywykł ją chwalić, żem nie próbował dotąd, czyli moje słowo nie mogłoby jej wnet zwalić".* Otóż to, moi drodzy, fantastyka była przy narodzinach wszelkich ruchów romantycznych, jest i dzisiaj. I chyba nikt, kto się romantyzmem kiedykolwiek interesował, nie zaprzeczy, że i w naszych czasach jesteśmy świadkami odrodzenia tego kierunku na całym prawie świecie, nie tylko u nas. Stąd odwaga zadawania ostatecznych – naiwnych – pytań o pochodzenie, istotę i przyszłość człowieka, o to jaki naprawdę jest, czym jest, czym będzie, pytanie wścibskie, bez ogródek. I patrzcie, Lem jak wieszcz! Przesadzam?

Ale ja dzisiaj nie dlatego piszę o romantyzmie Lema, żeby przypomnieć analogie między tamtymi mickiewiczowskimi czasami a naszymi. Mnie się wydaje, że trzeba też trochę odbrązowiać naszych wielkich. Pisząc o znaczeniu, o ważności naszego Lema zapomniałem nagle o jego w gruncie rzeczy wesołej, przepełnionej dowcipem naturze. To co na przykład można uznać za kpinę z tworów natury, przed momentem tu wypomnianą – o niewątpliwym charakterze demiurgicznym, z demiurgicznymi pretensjami, jest jednocześnie typową Lemowską rubaszną krotochwilą. Mam dobrze do dziś w pamięci jego potężne poczucie humoru, a zarazem infantylność, rubaszność jego kpinek. W listach do przyjaciół posługiwał się często nie tylko słowem kąśliwym, lecz i rysunkiem – malował swoje marzenia w postaci gór złota, a z zawistników i złośników śmiał się, szkicując ich jako aniołów z różkami. Były nasze rozmowy przerywane nieustannie wybuchami dzikiego wprost śmiechu z Lemowych wtrętów i złośliwości. Szybko rozgryzał charaktery i dostrzegał wady świeżo poznanych bliźnich i bezlitośnie przyczepiał im łatki.

Zwykle myśli się o nim jako o samotniku, dystansującym się od reszty. Nawet sporty przez niego uprawiane miały jakąś bardzo zindywidualizowaną postać – przecież gimnastyka, którą ćwiczył, gimnastyka przyrządowa, miała właśnie taki charakter. Ale on się przecież nie tylko gimnastykował, on także grał namiętnie w... ping-ponga – całe turnieje tej gry odbywały się w piwnicznym korytarzyku literackiego pensjonatu „Astoria" w Zakopanem, gdzie w zimie i w lecie zbierała się w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych jeszcze, cała intelektualna śmietanka kraju.

I odskakując od tego mignięcia wspomnień w nasze czasy – widzę nagle w jednym z grudniowych numerów zachodnioniemieckiego „Sterna" uśmiechniętą od ucha do ucha twarz dzisiejszego Stanisława Lema (patrz fot. str. 64) i – zaraz – cytat z jego książki „Moje życie" zaprzeczający wyraźnie wszystkiemu, co dotąd napisał, co składało się na ten właściwy mu jakoby współcześnie wyraz głębokiego pesymizmu i mizantropii. Cytat brzmi: *„Wcale nie sądzę, aby ludzkość pozostała na zawsze beznadziejnym i nieuleczalnym przypadkiem".* Sprawiedliwie powiedziane, nieprawdaż?

10 – 9 – 8 – 7 – 6 – 5 – 4 – 3 – 2 – 1 – 0

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK LITERACKI
Fantastyka

Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA,
ul. Mokotowska 5/6
Telefony: 25-34-75 (red. nacz., sekretariat, działy: techn., graf., literatury polskiej), 25-50-51 (z-ca red. nacz., sekretariat, działy: zagr., krytyki).

Redaktor naczelny: Adam Hollanek. **Zespół redakcyjny:** Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczmyk (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski (z-ca sekr. red.), Zbigniew Latała (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu tech.), Dorota Malinowska, Wiktor Malski, Andrzej Niewiadowski (kier. działu krytyki), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nacz.), Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Darosław J. Toruń, Marek K. Zalejski, Rafał A. Ziemkiewicz.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Propagandy tel. 25-35-36. Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.
Zam. 299/87, K-11
Nakład 150 000 egz.

NR INDEKSU 35839 PL ISSN 0209-1631

Oddano do składu 29 grudnia 1986 r.

LĄDOWANIE XLIX

Nie ma prawie dnia bez korespondencji zawierającej mniej lub bardziej udane utwory Czytelników. Tyle się mówi, a nawet pisze o dewaluacji czy deprecjacji literatury, a często w ogóle sztuki w tej epoce życia pod pantoflem techniki i konsumpcji. A tu tymczasem atakuje całe mnóstwo potencjalnych twórców. Widocznie wierzą w szanse uzyskania rządu nad duszami za pomocą pióra, długopisu, ołówka lub pędzla. Chcą być wypełnieni mocą i sławą właśnie w taki – wydaje im się prosty – sposób. Napisać i zwyciężyć, narysować i wygrać.

Mam czternaście lat...

... i chciałbym przeżywać wielkie kosmiczne przygody. Ratować z paszcz potwornych smoków cudowne księżniczki, zaprowadzać ład w krajach pełnych węży i potworów naśladujących ludzi, lecz próżnych w środku. Nie ma we mnie strachu. Walczyłbym o sprawiedliwość i prawdę na śmierć i życie. Więc piszę takie różne historyjki, bo w rzeczywistości mieszkam w małym miasteczku i nie jestem taki bogaty, żeby zwiedzić świat i naocznie wykrywać jego draństwo. Proszę koniecznie przeczytać te historyjki i powiedzieć mi czy mogę zostać podróżnikiem i pisarzem...

... W czarnym mieście Koja, do którego przywędrował ogromny zastęp wojowników z dalekiego Hellandu, resztki maleńkich ludzików pozamykały się w muszlach pradawnie wyrzuconych z morza i poprzylepianych do skał. Kiedyś w tych muszlach mieszkały prawęże morskie, potem gdy wybiła je pierwsza wyprawa Hellandczyków zajęli je potomkowie człowieka. Karzełeczki na krzywych nóżkach, łagodne i bardzo nędzne, odżywiające się jeno tym co fale na brzeg wyrzucały. Ognisk nie odważano się palić na piachach plaż. Obawiano się ciągle ataków Hellandczyków. Lepiono więc z piachu rodzaje wigwamów, tylko te budowle zamiast szpica miały otwór, przez który wyskakiwały kłęby dymu lub pary z ognisk i przygotowywanych posiłków. Takie piece jednym ruchem można było zasypać, gdyby zbliżali się obcy, ciągle wypatrywani przez patrole fruwające na jaszczurczych skrzydłach...

J.K. z Sędziszowa

Nie lubię wierszy...

... lecz one same mi się jakoś tak składają, że nie mogę dać z tym sobie rady. Gdy tylko usiądę w spokoju, gdy wszyscy z mojej rodziny opuszczą mieszkanie, nie idę z nimi na kupno czy przechadzkę, tylko muszę te poezje tworzyć (twożyć?)...

Wkoło studni błyskawice
Wymiatają mi ulicę
Między ziemią między niebem
Dla rakiety mojej srebrnej

Puszczam się nią
hen ku gwiazdom
Upojony taką jazdą
Jak na miotle czarownicy
hulam za świata granice

Tam gdzie wieczne prawa rządzą
Gdzie archanioł drmie w mosiądze
gdzie anielskie grają żądze
i nikt nie gra o pieniądze...

Leszek R. z Rudy Śl.

Bajki w oczy kłują

Nie pojmuję czemu tak wiele osób domaga się na Waszych łamach fantasy, tej jak to piszę się często, także i u Was, okrutnej baśni. A w jakimś świecie żyją dzisiejsi ludzie. Czy w baśniowym? Czy te, pożal się Boże, roznegliżowane księżniczki mają coś wspólnego z dziewczynami o wysoko upiętych włosach, pomalowanych na różne kolory, jakich całe tabuny się przewalają już także przez nasze miasta i to nie na piechotę bynajmniej, lecz na żelaznych (Żelazny – pisarz) rumakach. Nieba aż dudnią od samolotów, ulice zaśmierdziałe od spalin, wody obłajdane, a my sobie bajeczki opowiadamy okrutne. I dłużej żyjemy. Dlaczego dłużej żyjemy, no niech panowie o tym piszą, dlaczego coraz mniej ludzi umiera, chociaż czyhają na nas za każdym rogiem różne polyomyelitisy i inne aidsy, tych potworów całe mrowie czyha na me biedne zdrowie, a ja żyję coraz dłużej. Czy Pan wie, że ja choć niezbyt jeszcze długo egzystuję na tej planecie muszę pochodzić z jakiejś innej, bo nagle przypomniałem sobie takie oto zdanie, które nie jest w żadnym języku, mówi się „bona finto girro", a oznacza to, jestem pewien – trzeba już odejść. O nauce piszcie, metampsychozie, o psychoanalizie i innych nieprzyrodzonych zjawiskach. Po co jakieś księżniczki czy konamy ze średniowiecza prosto wynajęte, kiedy życie wokoło znacznie bardziej naukowo ciekawsze. Prawda? Bona finto girro.

Jakcydrak z Otwocka

Przebrzmiały g... nastroje

Przebrzmiały g... nastroje
już w furkocie smrodliwym
brzękadła chutliwe
sobie uparcie stroim

Już k... ska muzyka
uszy ludzkie odmyka
z obłajdanych przebierańców
ciałko zrywa się do tańców

Już w kosmosy przeklęte
nasze duszki objęte
pieprzą wiosny i zimy
kiedy ziemi już nima

Jaś spod Krakowa

Odkryłem prawdę

Przeglądając codzienne i specjalistyczne pisma odkryłem straszną prawdę, którą pragnąłbym się podzielić z resztą. Wypadki w naszych organizmach przebiegają tuż pod powierzchnią skóry, bezbolesne i nieodkryte, jak sytuacja tuż przed trzęsieniem ziemi. I nagle okazuje się, że przerywa się bieg krwi do serca, zabijając tysiące ludzi rocznie, no powiedzmy setki, setki nie spodziewających się ataku. Doktorzy obliczają, że od takich nagłych ataków ginie większość zdrowych ludzi. Jeszcze gorsze są wypadki drogowe. Także nagłe i niespodziewane. Czyż bowiem da się przewidzieć, w którym momencie wysiądzie nagle układ kierowniczy albo ustaną działać hamulce? Wtedy zjeżdża się ni stąd, ni zowąd na środek lub lewą stronę drogi i ginie samemu, zabijając przy tym innych. Takich tajemniczych, niby to, ataków kalectwa i śmierci są całe plejady, wzywam więc do podjęcia badań w tej sprawie. Wiem, że Waszą „Fantastykę" czytają tabuny lekarzy, którzy wolą bajki od prawdziwego śledzenia losów potencjalnych swoich pacjentów narażonych na bezlitosne niespodzianki. Tak dłużej być nie może. Odkrywam wobec tego prawdę, rzucam ją Wam, a Wy ją łapcie, łapcie jak najprędzej.

Stały Czytelnik z Grod

Jestem tak daleko...

... jak to się mówi, na antypodach i ktoś mi podrzucił Wasze pisemko, patrzę i oczom nie wierzę, toż to jakby posłannictwo od dobrze znajomego rodaka z Księżyca imć pana Twardowskiego. Wszędzie my jesteśmy, wszędzie i zawsze w górę wąsa z fantazją, a raczej z „Fantastyką". Czołem, mości panowie.

John Bobryski z Chicago

No i co? Czyż nie pasjonująca to lektura, pełna różnorodnych chęci? Ogromna większość piszących nie zabrania, przeciwnie, wręcz zachęca do podawania ich nazwisk i adresów. Tylko niezwykle rzadko ktoś pragnie się ukryć sam, a wyeksponować swój tekst. Jestem pełen podziwu dla Waszej, Państwo, inwencji korespondencyjnej. I jedną z milszych chwil w moim życiu i w mojej pracy stanowi czytanie listów nadchodzących z różnych stron kraju, ale także i ze świata.

Redaktor

Jaen Claude Smit Benedicte



Brian W. Aldiss

TRZEŹWE ODGŁOSY PORANKA W JEDNYM Z ODLEGŁYCH KRAJÓW

(Sober Noises of Morning in a Marginal Land)

O czwartej nad ranem śledczy wyszedł. Jego pomocnik odpiął zatrzaski z moich nóg i wyłączył dwie lampy łukowe, które dotąd tryskały mi światłem w twarz. Lampy osłabły, zmatowiały, zgasły.

Pomocnik pomógł mi wstać i wyprowadził mnie z pokoju, potem kamiennymi schodami weszliśmy do rozległego holu przesiąkniętego wonią siarki i dalej po nagich schodach drewnianych do mojego pokoju na pierwszym piętrze. Kiedy zostałem sam, dobrnąłem do łóżka i upadłem na posłanie.

Notatka: *W przedrannej godzinie płaza świadome i nieświadome gesty osiągają pełną zgodność.*

Przez dłuższą chwilę leżałem tak jak padłem, nogi zwisały mi z łóżka, stopy dotykały podłogi. Twarz miałem obolałą. Opuchlizna rozciągała nieregularne kontury mojej głowy w nieskończoność w sposób niespójny. Jeden rozpalony policzek dotykał wysokiego sufitu, podczas gdy delikatna okolica poniżej powiek obejmowała miejsce, w którym śpiewał ptak. I grała muzyka – nie delikatna, ale twarda – w jakiejś zalanej wodą pieczarze, gdzie biło moje serce.

Odcinek czasu, o którym myślałem jako o $2n\ (x - ja)^2$ przeszedł koło mojego posłania podrygując jak wąż z przetrąconym kręgosłupem. Jego koniec stnaowił dla mnie znak, żeby się podnieść i podejść do okna.

Usiadłem w wiklinowym fotelu trzymając się parapetu i oglądałem przez szybę rozlane kształty ciemności. Drewniany parapet był głęboko osadzony i wytarty od długiego używania jak twarz starego człowieka. Okno miało drewniane wewnetrzne okiennice, przybite do ściany, żeby nie można ich było zamknąć. Niezdrowa niebieskozielona farba na nich pokryła się bąblami. Okno składało się z dwóch połówek, które powinny otwierać się na zewnątrz, ale były zabite gwoździami i zakratowane.

Okno przeżyło zmiany pór roku i reżimów; kiedyś zapraszało gości do hotelu, teraz strzegło więźniów. Kiedyś przybywano tu pić cuchnące wody mineralne, teraz stosowano tu ostrzejsze kuracje.

Notatka: *Rozum nakazywał trzymać oczy i okna zamknięte.*

Zapewne zasnąłem przy tym oknie. Śledczego już nie było, ale miał on w mojej psychice swoich pomocników, którzy mówili za niego podczas jego nieobecności.

– Wiesz, co trzymam w ręce?
– Nie.
– A na co to wygląda?
– Wygląda na papier.
– A co jest na tym papierze?
– Pismo?
– Czyje pismo?
– Jeżeli pozwoli mi pan spojrzeć, to może uda mi się odpowiedzieć.
– Czyje to pismo?
– Moje.
– To twój dziennik z wczorajszego dnia. Wiesz dobrze, że masz pisać tysiąc słów dziennie. Tu jest tylko dziewięćset sześć słów. Dlaczego?
– Zabrakło mi słów.
– Możemy znów zwolnić twój rytm biologiczny.
– Nie!
– Przeczytaj mi, co napisałeś.

Podał mi kartki i zacząłem brnąć przez swoje roztrzęsione pismo.

„Pamięta się różne rzeczy nie wiedząc co się pamięta. Na przykład spotkanie z kimś kogo się kochało. Kogo się kocha. Albo rozstanie. Anonimowa tęsknota żeby poczuć jej drogi uścisk. Jeden uścisk. Jeden drogi uścisk. Na parapecie jest napisane że więzienie to nic takiego może patrząc na ten kawał drewna jestem bardziej wolny niż w domu. Napisałem to wcześniej i mogę myśleć o mojej

żonie wyglądając przez tamto inne okno i widząc jak ona rozmawia z jakimś innym mężczyzną. Może to był piekarz płaciliśmy mu raz w tygodniu. Jej nogi w tym małym wyblakłym ogródku z zielonymi krzewami zapomniałem jak się nazywają. Wiły się na jednej ścianie i była to moja droga chwila szczęścia patrzyłem na nią i na wszystko co miałem... do stracenia. Ona w tym olbrzymim mieście musi się utrzymać. Ale czy to nie jest też pusty czas albo odnajdziemy się przez rozłąkę. Chcę powiedzieć to jest tylko dzisiaj ale jest przecież inne miejsce o którym wiemy i które jest nie tylko na dzisiaj i gdzie nie ma takich rzeczy jak rozłąka kara i ból. Miejsce gdzie nigdzie nadnaturalne na tym parapecie zamknięcia..."

Było to tylko wspomnienie. Upłynął czas. To, co myślałem, że powiedziałem, może powiedziałem wczoraj albo może powiem to dzisiaj. Może na delirycznych obrzeżach tortur pisałem codziennie to samo.

W dzbanku na parapecie było trochę wody. Pociągnąłem łyk, przepuściłem ją przez rumowisko moich zdemolowanych ust.

Notatka: ***Pamięć jest zwyrodnieniem umysłu, umysł jest zwyrodnieniem ciała. Te zwyrodnienia są istotą ludzkiego losu i należy z nich robić użytek.***

Z nadejściem świtu za oknem zaczęły się formować kształty. Ludzie i rzeczy zaczęły się ruszać. Pod moim oknem kołysała się mętna latarnia, urwana sylaba w nieskończonych językach mroku. Dziwny dreszcz przebiegł mi wzdłuż kręgosłupa. Jeszcze jeden dzień na nieskończonej Ziemi, ludzie wstają z łóżek, zawijają się w ubrania i idą do swojej pracy z oddechem nieświeżym po nocy. Porządek naturalny i społeczny łączy się w jedno. Służba i żołnierze zawsze wstają pierwsi. To muszą być służący, ci co kręcą się pod moim zakratowanym oknem. Za jakąś godzinę przyniosą mi śniadanie, umyją mnie i opatrzą nocne uszkodzenia.

Za szybą zerwał się krótkotrwały przedranny wiatr. Nie przycinane drzewa tworzyły aleję prowadzącą przez zaniedbany ogród do jeziora. Poruszyły się. Ja nie. Trwałem bezwładnie z brodą opartą na szorstkim parapecie.

Moje serce biło. To wystarczało.

Kiedy mogłem znów myśleć, wróciłem do planów ucieczki. Uciekłem z Petrovaradin; mogłem uciec i z Tilich. Dzisiaj ucieknę.

Notatka: ***Obrót wokół osi. Codzienna dieta planów.***

Coś z zewnętrznego chłodu przeniknęło przez okno i ukoiło pulsującą głowę. Moje zmysły zawędrowały w regiony dla mnie niedostępne. Półludzkie postacie poruszały się w substancji przypominającej światło dzienne. Światłodzień. Bezgłośnie do tłustej rzeki. Ogniska. Przysadziste fortece wspinają się na kamieniste wzgórza. Garnki, kilka psów, niedogotowane mięso, dwie płcie. Zęby, członki, pradawne gesty miłości i wojny, brązowy napierśnik. Postać w długiej szacie śpiewa na klęczkach.

Kiedy ocknąłem się znów, z zewnątrz napływało światło i widać było góry. Miały nadal na ramionach swój śnieżny płaszcz, choć wkrótce na równiny miało przyjść kontynentalne lato. Trzeźwe odgłosy poranka w starym uzdrowisku. Matowy odblask na jeziorze wskazywał, gdzie odbija się niebo. Kiedy mnie tu sprowadzono, jezioro było skute lodem. W zarośniętych ogrodach martwe zeszłoroczne liście gniły wśród nowych kwiatów, rozkład i rozwój utożsamione. Wkrótce wyjadą trzej jeźdźcy. Ocknąłem się, żeby ich zobaczyć.

Na szafce przy posłaniu leży papier i pióro. Wreszcie zapragnąłem dokończyć moją dzienną normę słów, moje zadanie. Wziąłem je i przystąpiłem do magicznego aktu, do sporządzania bladej imitacji rzeczywistości za pomocą żonglerki dwudziestoma sześcioma literami.

Napisałem: *„Cała sztuka"*. Przekreśliłem to. *„Wszystkie sztuki"*. Tak. *„Wszystkie sztuki usiłują opisać jeden świt"*.

Czy to prawda? Który świt?

„Za moimi horyzontami rozciąga się Jedyne Państwo. Jego ulice pokrywają większą część zamieszkanego świata. Ja jestem z niego. Ono jest ze mnie. Człowiek je stworzył, żeby rządzić ludzkością. Czy możemy zbuntować się przeciwko niemu... czy może tak jest najlepiej? Moja mała rodzina jest jedną komórką. Moje dzieci są tylko dziećmi, mogą być zabite, mogą zabić same. Jedyne Państwo może wybierać". Jakby to ująć? *„Różne prawdopodobne przyszłości"*.

Siedemdziesiąt dwa słowa. Odpoczynek. Miałem zamiar pisać prawdę, ale wszystkie słowa są kłamliwe, bo mogą przedstawiać tylko jedną z wielu płaszczyzn istnienia. Jak co dzień o świcie rozpłakałem się stając wobec bezmiaru ospałości tego kontynentu.

Notatka: ***Jedynie ruch oddaje prawdę***

Trzej jeźdźcy śmiało wyruszali w nowy dzień. Usłyszałem ich koniki, zanim ich zobaczyłem. Stajnie mieściły się gdzieś na lewo, niewidoczne dla moich oczu. Kopyta zastukały na dziedzińcu. Potem jeźdźcy znaleźli się w moim polu widzenia i skierowali się w stronę jeziora, ku drodze, która biegła wzdłuż jego brzegu.

Jeźdźcy ubrani byli w baranie czapki, skórzane kurtki i czarne wełniane spodnie. Przez plecy mieli przerzucone krótkie karabinki. Strażnicy. Gdzieś tam na skraju równicy będą pełnić służbę przez cały dzień i wrócą o zmierzchu. Z terenu hotelu można ich zobaczyć jedynie, kiedy wyjeżdżają i wracają. Ich twarze oglądałem tylko wieczorem, były wtedy pozbawione rysów albo oznakowane wyłącznie wąsami i bokobrodami.

Kuchnie, niewidoczne z mojego okna, mieściły się z prawej strony w niskim, oddzielnie stojącym budynku. Nad górami ukazało się słońce i wkrótce usłyszałem kroki służących na długich korytarzach, gdzie utrzymywała się woń siarkowych źródeł jak zaduch wadliwej kanalizacji. Otwierano inne drzwi i zajmowano się innymi więźniami, ludźmi, których nigdy nie widziałem. Zazgrzytał klucz w moim zamku. Kobiety weszły do przedpokoju, pchnęły podwójne drzwi, wkroczyły z tacami, parującymi ręcznikami i bandażami, z uśmiechem w oczach i na ustach. Stare kobiety, które zacięły się w swojej dobroci.

Kolejny dzień w Tilich.

Notatka: ***Każdy ma pracę. To jest prawo praw.***

Na śniadanie miałem dżem wiśniowy, świeże bułeczki, masło i kawę. Nic z tego nie było syntetyczne, ale już się do tego przyzwyczaiłem. Jedyne Państwo istniało za krótko, żeby osiągnąć pełną jednolitość. W tej jego części, która jest stanem umysłu, właściwie nic nie istniało.

Po myciu byłem jak zwykle wyczerpany. O tej porze zawsze zapadałem w sen nie budząc się do południa. Ale tego dnia nie miałem zamiaru zasypiać, tego dnia miałem uciec.

W wielkiej wykładanej kamieniem łazience, gdzie za poprzedniego rządu pacjenci zażywali kąpieli i popijali wody mineralne, wisiały na hakach blaszane wiadra przeciwpożarowe. Odkryłem, że ostatni hak był obluzowany. Pracując w tajemnicy przez kilka poranków, kiedy posługaczek nie było w pobliżu, wyciągnąłem hak ze ściany. Dłuższe jego ramię miało około trzydziestu centymetrów długości, był też odpowiednio ciężki. Wiadro schowałem za jedną z wielkich wanien.

Już wcześniej wpłotłem w materac ukradziony kawał sznura. Teraz wyciągnąłem go i przywiązałem jeden koniec do haka. Mój nagi pokój był bardzo wysoki. Nad wewnętrznymi drzwiami za czasów uzdrowiska wisiała kotara: wyobrażałem sobie, że była bogata, obfita i aksa-

mitna. Zdjęto ją – nie wiem, jak dawno temu, bo w Tilich czas jest czymś niepewnym. Ale pozostała stara szyna, na której kotara wisiała. Przysuwając łóżko i stając na wyższym oparciu od strony głowy mogłem wyjąć szynę ze ściany; upewniłem się co do tego kilka bolesnych dni wcześniej. Teraz wyciągnąłem ją i złapałem, zanim spadła na podłogę.

Notatka: ***Każdy ma pracę. Nie Państwo, ale każdy z osobna powinien decydować o tym, czy ta praca ma sens.***

Łóżko wróciło na miejsce. Wyniosłem krzesło do przedpokoju i wdrapałem się na nie z prętem od kotary w ręku. Wysoko nad moją głową w suficie była klapa. Pchnąłem ją końcem pręta, ale ani drgnęła.

W głowie mi huczało. W ustach coś zaczęło mi się ruszać. Musiałem usiąść kryjąc twarz w dłoniach. Wszystko to już kiedyś się zdarzyło, prawda? Czy nie była to czynność archetypowa? Zawsze coś było przed kimś zamknięte...

Ta myśl dodała mi siły. Podszedłem do parapetu, gdzie leżał mój papier. Napisałem na nim: *„Zawsze coś było przed kimś zamknięte".* Czy miało to głęboki sens, czy było zupełnie pozbawione znaczenia? Wepchnąłem kartkę do kieszeni i powtórnie wszedłem na krzesło.

Tym razem udało mi się ruszyć klapę. Z wielkim wysiłkiem odepchnąłem ją, odsłaniając czarny otwór.

Starannie umieściłem na miejscu pręt i odstawiłem krzesło.

Potem stanąłem pod otworem i zakręciłem liną. Hak wyleciał w górę.

Początkowo chybiłem, omal nie rozwalając sobie głowy i strącając płatki tynku, które zaraz skrupulatnie pozbierałem do kieszeni. Wreszcie przerzuciłem hak przez otwór nad głową. Trzymał mocno, kiedy szarpnąłem liną.

Teraz czekało mnie najtrudniejsze zadanie. Wspiąć się. Najpierw odpocząłem i napiłem się wody, zwilżyłem też sobie czoło. Potem zacząłem wdrapywać się na linę.

Przez krótką chwilę – $2n\ (x - ja)^2$ – leżałem z nogami dyndającymi w powietrzu, zanim zebrałem siły, żeby wdrapać się dalej. Ramiona i głowa bolały, ale wciągnąłem za sobą linę i zamknąłem klapę. Była zrobiona z cienkich deszczułek. Opuszczając ją spojrzałem z góry na swój pokój, obcy z tej nowej perspektywy. Dom! Poczułem ukłucie bólu. Tam byłem bezpieczny! Ach te rozstania!

Szpary między dachówkami dawały mi dość światła. W obu kierunkach widziałem jednostajny rytm belek. Owinąwszy się liną poszedłem w lewo, w stronę stajni.

Z uczuciem ciekawości mijałem inne klapy w podłodze. Pod każdą leżał więzień odzyskując siły po dziennym przydziale kary.

Na końcu strychu zatrzymałem się przy ostatniej klapie, usiadłem i odpocząłem nieco. Potem uniosłem klapę. Wychodziła na górny podest schodów. Wszystko było tam matowo białe lub szare. Po schodach powoli wchodziła służąca, starsza, zgarbiona kobieta w białym fartuchu na czarnej sukni. Powstrzymałem się, żeby jej nie zawołać.

Jak tylko zapanowała cisza, zsunąłem się po linie. Nie mogłem uwolnić haka. Pierwsza osoba, która zobaczy zwisającą z sufitu linę, podniesie alarm. Szybko zbiegłem po szerokich, kręconych schodach.

Notatka: ***Nie ma odejścia, jest tylko symbol odejścia. Nasze przyjazdy i odjazdy gubią się w czymś większym.***

Na dole rzeczywiście mieściła się stajnia. Moja pokiereszowana twarz zdradziłaby mnie natychmiast jako więźnia. Po dziedzińcu kręcili się jacyś ludzie, ale byli za daleko, żeby zwrócić na mnie uwagę. Stanąłem we wrotach stajni.

Zapach siana, koni i skóry. Nocny patrol jeszcze nie wrócił; w stajni nie było nikogo. Na końcu rzędu pustych boksów stały dwa koniki. W Jedynym Państwie nie było właściwie koni: zwierzęta pociągowe i wierzchowe uzyskiwano drogą syntezy. Prawdziwe konie oglądałem dość często na filmach. Zobaczyłem zawieszone na ścianie siodła, ale nie wiedziałem, jak je przyczepić do zwierzęcia.

Na jednym z siodeł leżała barania czapa, jakie noszą strażnicy. Wcisnąłem ją na głowę i podszedłem do najbliższego konika. Było to myszate zwierzę z płowym brzuchem i długim ogonem. Przemówiłem do niego, odwiązałem jego kantar od żelaznego pierścienia. Pełne zaufanie! Przez cały czas nasłuchiwałem z zewnątrz okrzyków alarmu.

Wyprowadziłem konika z boksu i wsiadłem na niego z jakiegoś pieńka. Trzymałem się kantaru i grzywy. Trąciłem go piętami w brzuch i ruszył żwawo do wyjścia. Wyjechaliśmy na dziedziniec. Odwracając się poklepałem go po zadzie.

Przyśpieszył. Przemawiałem do niego i przynaglałem go piętami. Przemierzaliśmy dziedziniec. Ktoś mnie okrzyknął, ale przyjaźnie, człowiek z workiem na ramieniu. Pomachałem mu ręką!

Konik rozdął nozdrza i krótkim galopem ruszył ku równinie! Trzymałem się jakoś, przyklejony do jego grzbietu. Przeszedł w pełny galop! Krzyknąłem z podniecenia – rozpierała mnie siła idąca od konia. Czułem jak pracują jego mięśnie, jego drobne nogi migały pod brzuchem, kark wygięty w łuk, głowa do przodu, rozwiana grzywa zasłaniała mi oczy. Wciąż krzyczałem! Ziemia pod nami rozmywała się, jak sypiące się ziarno i byliśmy daleko!

Notatka: ***Z zielonym błyskiem radości pasożyty pożerają swoich gospodarzy. Jest to ich sposób oddawania czci.***

Ach, ta jazda, powietrze gra w płucach moich i wierzchowca! Ruch był wszystkim, rzeczą samą w sobie. Udało mi się przez rozdygotane gałki oczne spojrzeć przed siebie. Przede mną rozciągało się jezioro obrośnięte rudą brodą trzcin. A wzdłuż niego biegła w szpalerze brzóz droga na równinę – dalej nie ma już drzew, może przez sto mil, dalej jest tylko równina, brunatna równina leżąca płasko aż do stóp gór. A na równinie – blisko, coraz bliżej! – trzy czarne podskakujące plamy. Wraca nocny patrol!

Gdyby mi się udało jego uniknąć... Za nimi równina, odwieczna sucha równina, na której stopa, kopyto i koło nigdy nie odcisną trwałego śladu. Zobaczyłem jakiś samotny kształt – szopę lub szopy, zniszczone, dalekie. Posterunek? Opuszczona kopalnia miedzi? Dalej na zachód Czarna Pustynia – wolność najbardziej elementarnego rodzaju, swoboda upadnięcia w końcu twarzą na szorstki piach planety!

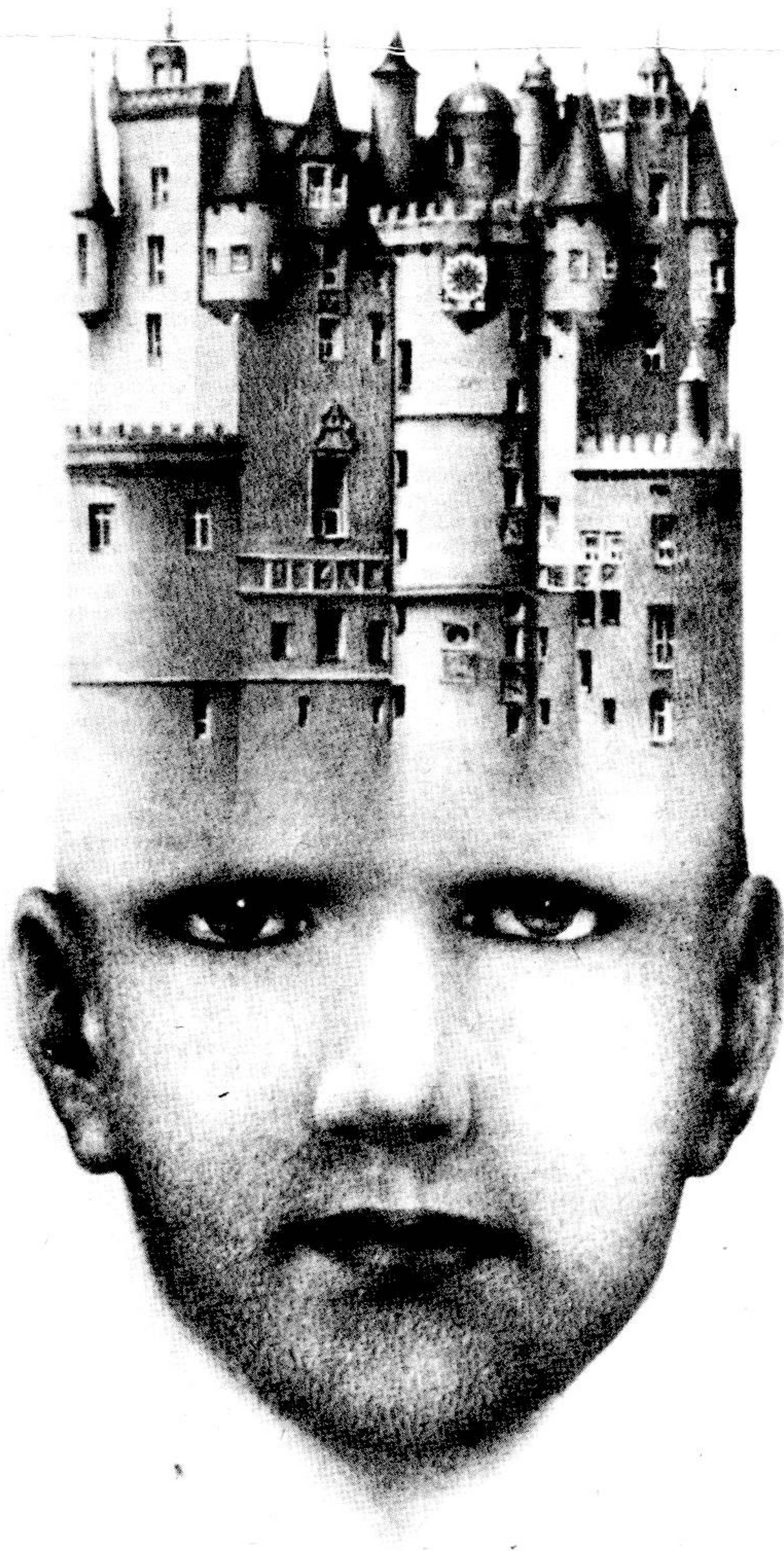
Co nie znaczy, że zwątpiłem w swoje motywy w tym naglącym momencie. Wszystkie ucieczki są ucieczkami od siebie, od obowiązków, od przeznaczenia. Wszystkie ucieczki są odmianami niewoli. Narastało we mnie coś, czego najbardziej chciałem uniknąć – prawdziwa wolność!

Pojechałem więc na los szczęścia w stronę trzech jeźdźców.

Notatka: ***Zaczyna rozumieć. Ucieka się zawsze tylko przed własnym ja, a to ja można zmienić.***

Nie miałem broni. Nie mogłem też kierować swoim wierzchowcem. Wypuściłem z dłoni koniec kantaru. Siedziałem tylko na grzbiecie konika i własnym tempem jechaliśmy na spotkanie zbliżających się strażników, którzy zaczęli gwizdać i dawać znaki, a potem pochylili się w siodłach, jadąc jak zrośnięci ze swoimi wierzchowca-





Jan Szot



mi, zdejmując broń z pleców. Ja tylko siedziałem bezwładnie.

Wśród rzadkich drzew mój koń ruszył galopem, nie wiem, ze strachu czy z radości. Zacząłem się ześlizgiwać z jego spoconego grzbietu. Nagle straciłem uchwyt, krzyknąłem i spadłem.

Potoczyłem się wśród kęp szorstkiej trawy. Wstałem. Pobiegłem. Klucząc. Kryjąc się. Skokami. Żywy jak rozpędzony jeleń.

W podobnych chwilach niebezpieczeństwa jest się spokojnym w środku. Jest się całością. Cały człowiek działa unisono, jak maszyna, jak jeździec i koń. Nawet, jeżeli wie, że nie ma szans!

Bo tamci trzej z grzmotem kopyt walili wprost na mnie. Kierując końmi za pomocą stóp, kolan, całego ciała, z rękami zajętymi bronią. Drzewa były moją ochroną. Biegnąc w stronę jeziora, w stronę trzcin, słyszałem wokół siebie świst pocisków. Chroniły mnie brzozy, ich wysmukłe łuszczące się pnie, srebrne, białe, srebrnoszare, czarne. Potykałem się wśród nich, ja i trzej jeźdźcy, złączeni dziwnym rytuałem polowania.

Jeden z nich wysforował się do przodu. Wstrzymał konia, wycelował. Stanąłem i spojrzałem na niego osłaniając ramionami głowę.

Konfrontacja. Pod baranią czapą prosta linia brwi, oczy pod brwiami. Zacięte usta. Członek plemienia z równin – poznałem to od razu z rysów twarzy. Podczas gdy zręcznym ruchem wymierzył we mnie swoją broń, skoczyłem na niego jak wilk. Strzelił.

Moje palce obsunęły się po kłębie jego konia, odpadły.

Potem tylko oderwane obrazy – nosze z gałęzi, derki pod siodłem i rozmazana faktura ziemi, po której strażnicy wieźli swoją zdobycz z powrotem do smutnego hotelu.

Notatka: ***Jak sam mówi, rytuał. Rytuał polowania. Zachowany z czasów dawniejszych niż wynalazek ognia. Podniecająca przygoda wśród drzew. Stara krew gra w prowizorycznych żyłach. Niewiele nas ocalało z prehistorii.***

Rozebrany do naga dla oględzin lekarskich. Przewieziony opancerzoną furgonetką z hotelu do izolowanych baraków na zachód od jeziora, gdzie trzymani są więźniowie specjalni. Zmuszony do wypicia jakiegoś gorącego płynu. Narkotyk z pocisku, którym trafił mnie strażnik nie pozostawił trwałych skutków. Byłem słaby, ale głowę miałem jasną, kiedy służące wyszły, pozostawiając mnie na drewnianej, wypolerowanej ławie.

Pomieszczenie było nagie poza dużym biurkiem, za którym siedziało dwóch przyglądających mi się mężczyzn, oraz końcówką komputera na osobnym stoliku.

Twarze obu mężczyzn były mi znane. Jeden to mały, blady człowieczyna z miękkimi rysami i szarymi oczami. Zachowywał się bardzo spokojnie, ale miał zwyczaj nerwowego odchrząkiwania, jakby chciał się za chwilę odezwać. Był tylko świadkiem. Zgodnie z wymogami prawa. Drugi to był mój śledczy. Jego charakter stanowił dziwną mieszankę. Częściowo sadysta, jak przystało człowiekowi jego profesji, ale nie bez wyobraźni – inteligentny osobnik, który lubi zadawać ból.

– Widzę, Sto Osiemdziesiąt, że zabłądziłbyś, gdyby nie strażnicy – powiedział. – Gdzie byś pojechał, gdybyśmy ci pozwolili?

– Nie wiem.

– Do domu?

– Nie wiem.

– Czy może miałeś szalony pomysł, żeby zamieszkać na pustkowiu?

– Nie wiem.

– Może chciałeś spędzić resztę życia wśród koczowników?

– Nie wiem.

Odpowiadałem ze spuszczoną głową, nadal wściekły. Moje ubranie wciąż jeszcze przesycone było silnym zapachem konia.

Notatka: ***Ludzie osadzeni w antagonistycznych rolach wbrew pozorom często współpracują ze sobą.***

Na biurku leżała pałka. Widywałem ją już wcześniej. Kiedy ją wziął do ręki, drgnąłem mimo woli, ale nadal odtrącałem jego pytania. Koniec pałki był rozżarzony do czerwoności. Śledczy dotknął nim lekko jednej z blizn na mojej twarzy. Poczułem jak odzywa się we mnie jakiś system nerwów, którego istnienia nie podejrzewałem. Zacząłem drżeć, nie wiem, czy bardziej ze zmęczenia, czy z bólu.

Śledczy wstał i przeszedł się powoli po pokoju z uwagą wpatrując się w kamienne płyty podłogi. Za plecami trzymał pałkę.

– Słuchaj, Sto Osiemdziesiąt, kiedy uciekłeś, wziąłeś ze sobą kawałek papieru, znajdujący się obecnie w naszym posiadaniu. Może świadek zechce przeczytać, co więzień tam napisał?

Świadek wziął z biurka zmiętą kartkę papieru, odchrząknął i zaczął czytać:

– Wszystkie sztuki usiłują opisać jeden świt. Za moimi horyzontami rozciąga się Jedyne Państwo. Jego ulice pokrywają większą część zamieszkanego świata. Ja jestem z niego. Ono jest ze mnie. Człowiek je stworzył, żeby rządzić ludzkością. Czy możemy zbuntować się przeciwko niemu... czy może tak jest najlepiej? Moja mała rodzina jest jedną komórką. Moje dzieci są tylko dziećmi, mogą być zabite, mogą zabić same. Jedyne Państwo może wybierać różne prawdopodobne przyszłości. Zawsze coś było przed kimś zamknięte.

Umilkł. Śledczy nadal przechadzał się po pokoju.

– Ciąg nie powiązanych myśli – powiedziałem. – Może wszystko mi się pomyliło.

– Kwestionujesz istnienie Państwa?

– Kwestionowałem swoje własne istnienie.

– Masz prawo krytykować Państwo. Istnieje po to, żeby służyć tobie w tym samym stopniu, w jakim ty służysz jemu. Nie jesteś w Tilich jako zdrajca.

Zapadła cisza. Pokój był pomalowany na biało. Cienie były szare. Przypomniałem sobie, jak spadłem z konia i potem biegłem wśród drzew. Bladość drzew, śmiałość rzeczy niekolorowych.

– Sto Osiemdziesiąt, czy pamiętasz, dlaczego tu jesteś?

Nie odpowiedziałem.

– Jesteś tutaj, bo za to zapłaciłeś, zapłaciłeś za miesięczny turnus cierpienia. Czy tak?

Skinąłem głową.

– Dlaczego odczuwałeś taką potrzebę?

– Rozmawialiśmy już na ten temat.

– Dlaczego odczuwałeś taką potrzebę?

– Niektórzy ludzie rodzą się z chromosomem y, który powoduje skłonności przestępcze. Ja urodziłem się z chromosomem K i mam skłonności do poczucia winy.

– Więc ta kara jest dla ciebie kuracją?

– Poprzednio był tu kurort.

Żałosna próba żartu.

Notatka: ***Ze wszystkich wielorakich skłonności i cech człowieka jedynie nieliczne – czasem żadne – działają na korzyść jednostki. Nawet poganiacze często bywają poganiani.***

– „Wszystkie sztuki usiłują opisać jeden świt". Co chciałeś przez to powiedzieć?

– Nie jestem pisarzem. Może sobie przypomnę, jak zobaczę jeszcze jeden świt.

Pałka przed oczami.

– Co chciałeś przez to powiedzieć?

– Próbowałem zrozumieć, czym jestem. Czym są ludzie. Czym jest pan.

– I?

– Może... to staromodny pogląd... może całe społeczeństwo jest jakąś psychodramą. Wszyscy coś odgrywamy... Coś, czego nie rozumiemy.

– Coś religijnego?

– Hmm. Nie, antyreligijnego raczej. Antyludzkiego. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale chwytałem przebłyski tego tutaj...

Długie milczenie. Zapach konia był jak kolor albo twarz widziana dawno temu, może kiedy się stało na szczycie schodów.

– Nie muszę ci chyba przypominać, że zostały ci tylko trzy dni przed powrotem do Miasta?

– Straciłem rachubę czasu. To już tylko trzy dni?

– Czy dlatego próbowałeś ucieczki?

Zwiesiłem głowę. Podszedł i stanął przede mną. Znów czułem, że drżę.

– Chciałem pomyśleć... W Mieście nie można pomyśleć, jak się ma pracę i rodzinę...

Notatka: ***Myślę, że w tym momencie to Sto Osiemdziesiąt bardziej badał mnie niż ja jego.***

– Będziesz musiał wracać do Miasta, chyba że... Wystąpiłeś o ukaranie po raz drugi. Bardzo nieliczni zgłaszają się do powtórnego ukarania.

Z wysiłkiem podniosłem oczy. W uszach rozbrzmiewał mi ogłuszający hałas towarzyszący przebłyskowi zrozumienia.

– Ale pan to zrobił!

Uśmiechnął się.

– Tak, ja tak...

Potem odwrócił się i wyszedł z pokoju. Po drodze krótki gest w stronę świadka. Świadek wstał i wyszedł za nim.

Oparłem się o ścianę i zamknąłem oczy. Cierpienie, umartwienie, czy to jest droga do zrozumienia? Czy ja rozumiałem? Jeżeli tak, to ile? Czy to była propozycja pracy?

Po chwili wstałem i podszedłem do małego okienka, jednego z dwóch. Wychodziło na pochyły dach, pod którym siedzieli strażnicy. Dalej była już tylko równina, płaska i piaszczysta równina, dominujący element życia w Tilich. W oddali góry. Pozbawione znaczenia. Nieodgadnione. Wieczne. Równie przemijające jak wszystko inne. Możesz wybierać.

Notatka: ***Kiedy ktoś zaczyna się zastanawiać, co znaczy „pozbawiony znaczenia" w przeliczeniu na życia ludzi, to dowód, że zaczyna rozumieć, co znaczy życie ludzkie.***

Spałem smacznie na tej twardej ławce, póki nie obudziła mnie służąca z obiadem na tacy. Znałem tę kobietę. Miała pomarszczoną twarz i zniszczone ręce. Stawiając tacę powiedziała:

– Masz dziś czerwone wino, Sto Osiemdziesiąt.

– Dziękuję.

– Cieszę się.

Czy rzeczywiście cieszyło ją wykonywanie tej fizycznej pracy? A dlaczego by nie?

Jadłem nie myśląc, wypiłem wino. Po skończonym obiedzie wróciłem do okna i patrzyłem na góry. W oddali widziałem jednego z konnych strażników.

Kiedy tak stałem i patrzyłem, wszedł śledczy.

Notatka: ***Mowa. Kontakt z człowiekiem. Jedzenie. Wino. Góry. Równina. Wypisz w kolejności od najważniejszego. Możliwe pytanie do następnego badania.***

Śledczy nie miał pałki. Nie towarzyszył mu też świadek, ale zobaczyłem, że wchodząc włączył urządzenie rejestrujące. Podszedł i usiadł na ławce.

– Co wiesz o Jezusie Chrystusie?

– Wiem, że umarł trzydzieści siedem wieków temu.

– Chciał, żeby ludzie mniej się okłamywali. Założył religię, kiedyś zakazaną, obecnie prawie wymarłą. Wiedziałeś o tym?

– Chyba kiedyś musiałem słyszeć. Zdaje się, że jest o nim jakiś wierszyk.

– W ciągu ostatnich dziesięciu stuleci Jedyne Państwo popełniło wiele błędów. Postęp ludzkości zawsze odbywa się zygzakiem. Jeden z tych błędów – niekoniecznie najpoważniejszy – polegał na ignorowaniu różnic między ludźmi. Zostało to naprawione. Kiedyś człowiek z twoim zapotrzebowaniem na karę szukałby jej poprzez działania antyspołeczne, bo nie było innych kanałów, żeby je zaspokoić. Teraz Państwo naprawia winy ze swoich błędów, czy też, powiedzmy, ze skutków krótkowzroczności.

Spojrzał na mnie z ukosa.

– Jeżeli ci powiem, o co chodzi, możesz nie chcieć wracać do domu. Możesz nie chcieć opuścić tego miejsca.

Usiadłem na ławce obok niego.

– Co to takiego? – spytałem nie patrząc na niego.

– Państwo uznaje, że świadomość człowieka ulega przemianie. Że gatunek ludzki dokonuje skoku. Że wkraczamy w okres, kiedy coraz więcej osobników – a w końcu cały gatunek – pogłębi swoją świadomość.

Nie mogłem znaleźć tego słowa. Po chwili wypowiedziałem je szeptem.

– Nadludzie?

– Nie jest to określenie, którego bym użył. Wiemy, że istnieją różne poziomy świadomości. Nie tylko zresztą świadomości. Pod nią też jest kilka poziomów, które stapiają się w jedną integralną świadomość.

– I Państwo pragnie, żeby osobnicy z taką świadomością byli po jego stronie?

– To Państwo chce być po ich stronie.

Moja świadomość podczas tej rozmowy rozszerzała się w najzupełniej dziwny sposób. Wprawiło mnie to w zachwyt. Jechałem przez te nasze zdania jak przez rzadki las, szukając właściwego tropu. Czy każda rozmowa była pomniejszonym przez odległość odbiciem pradawnych polowań, od których zależało życie? A skoro tak, to czy w tej rozmowie zwierzyna mogła być z krwi i kości? Czy też może wśród słownych refleksów, w tej ulotnej krainie psychicznego polowania, krył się jakiś rzeczywisty nowy cel?

Czyżbyśmy go znaleźli?

Tutaj, w Tilich?

I gdzie jeszcze, w tym samym czasie?

Zobaczyłem, że wyczytał w moim spojrzeniu podejrzliwość.

– Kto może zaufać Państwu? – powiedziałem.

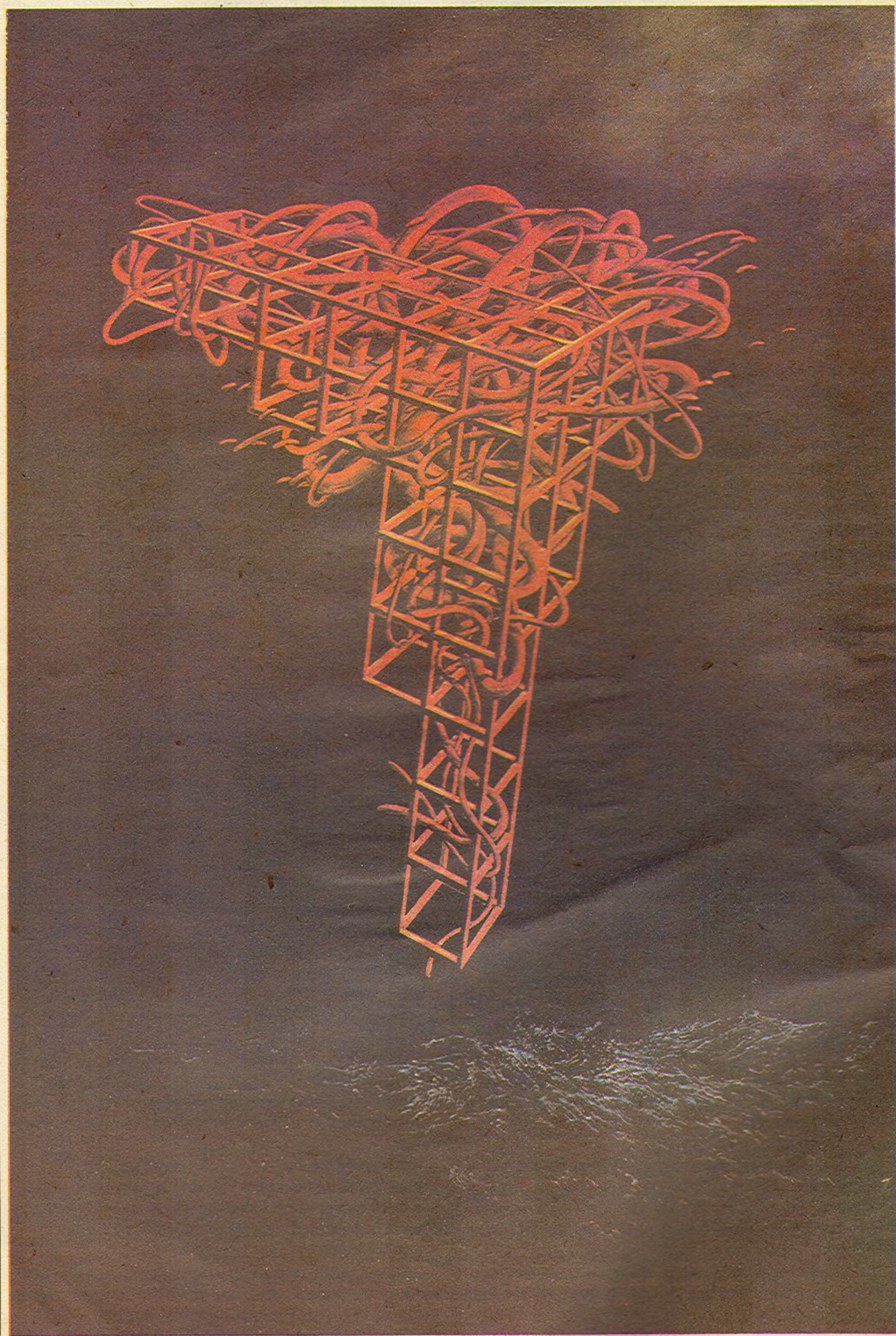
Rozłożył ręce, on, który prawie nie robi gestów.

– Nikt, nawet samo Państwo. Ale w ciągu stuleci zbudowało ono samo dla siebie pewne ograniczenia.

– Które może w każdej chwili obalić...

– Nie zapominajmy, Sto Osiemdziesiąt, że świat przeszedł przez stulecia rozlewu krwi. Od tamtych okropnych czasów Państwo nauczyło się nie wymagać zbyt wielkiej lojalności – lojalność jest najbardziej niebez-

GRAŻYNA & ANDRZEJ BARECCY



pieczna ze wszystkich ludzkich cech. Państwo osiągnęło taką dojrzałość – tak sądzę jako jeden z jego sług – że może popierać świadomość większą niż jego własna.

Czyżbyśmy rzeczywiście wydostali się wreszcie z tego psychicznego lasu? Zadając sobie to pytanie wyczuwałem, że odpowiedź na nie kryje się w głębokich warstwach przyszłości. Najpierw należy zadać wiele pytań pomocniczych – polowanie trwało.

– Czy mogę spytać, jaka jest pańska rola w tym wszystkim?

– Skromna. Podobne „kurorty" jak ten istnieją od wielu pokoleń. Zajmują się ludźmi nieprzystosowanymi. Również nieprzystosowani muszą je prowadzić. To jest faktyczna płaszczyzna, na której ty i ja się spotykamy. Dopiero stosunkowo niedawno zdano sobie sprawę, że osobnicy z nową świadomością są z natury nieprzystosowani do społeczeństwa. Dlatego też Państwo wiedziało, gdzie ich szukać... Miało też gotowe szkółki dla ich hodowli.

Tworzymy mały, ale stale rosnący zarodek.

Notatka: *Zadawał pytania, ale nie te oczywiste. Sam doszedł do oczywistej odpowiedzi. Od tej chwili uznałem, że Sto Osiemdziesiąt zdał egzamin. Jest tym, za kogo się uważa. Dla porządku załączam resztę jego wypowiedzi wraz z moimi notatkami.*

Wstał. Zrobiłem to samo i staliśmy patrząc na siebie. Przypomniał mi się strażnik pędzący wprost na mnie na koniu, mrużąc oczy przed strzałem.

– Zostawię cię teraz samego, Sto Osiemdziesiąt. Masz dużo do przemyślenia. Wkrótce zostaniesz odstawiony z powrotem do hotelu. Nie zapominaj, że jak zawsze masz przedstawić tysiąc słów. Wszystko, co napisałeś dotychczas, zostało dostarczone do twojego pokoju. Do zobaczenia!

Skłonił się sztywno i wyszedł.

Zostałem sam, wpatrzony w masywne drewniane drzwi osadzone w pobielanej kamiennej ścianie. Ten człowiek... czy on też uważał się za jakiegoś nadczłowieka? Czy sądził, że będę z nim współpracował?

Mogłem sobie wyobrazić, jak zmieni się życie, a wraz z nim świat człowieka, kiedy zostaną uznane i wykorzystane nowe, oszałamiające bezmiary świadomości. Ale stare antagonizmy nigdy nie zanikną. Jak ta równina wokół nas nigdy nie wydadzą plonu. Mój śledczy pozostał moim wrogiem, chociaż pomógł mi zrozumieć moje możliwości. Czuć go było torturami i północną siarką. Budził we mnie tylko nienawiść.

Notatka: *Zapomniał na chwilę, że nawet równina przeżywa lato i zimę.*

Przyszedł strażnik i odprowadził mnie do hotelu. Padłem na łóżko i natychmiast głęboko zasnąłem.

Notatka: *Jego umysł porządkował całe pokolenia dowodów.*

Po przebudzeniu poszedłem do umywalki i ochlapałem sobie wodą głowę. Nadal potłuczoną. Lustro pokazywało odkształcenia w znajomym zarysie twarzy. A oczy? Wiedza jest niewidoczna jak powietrze. Ale mój krok, mój oddech mówiły mi prawdę.

Zapadły ciemności. Z zarośli ogrodu nie pozostało nic. Ale nisko nad horyzontem, na niebie pozbawionym już światła zebrał się osad dnia. Tego dnia! Ciemnoszare niebo, jasnocytrynowa linia światła. Z przeciwnej strony stały oświetlone jeszcze góry. Włączyłem lampę i zacząłem pisać na parapecie. Zacząłem od *2n (x – ja)²*. Żart wymyślony w gorączce.

Pod spodem napisałem: *„Życie było wtłoczone w ramy podręcznika. Teraz wskazówki zostały przyswojone. Odrzućcie książkę. Zmieńcie metafory. Życie i sztuka stają się jednym. Przedstawienie toczy się dalej, ale teraz aktorzy, krytycy i widownia jednoczą się na większej scenie. Dajcie spokój metaforom. Bądźcie nimi".*

Długo siedziałem nad tym wypracowaniem. (Papier nie dawał już odpowiedzi).

Zwaliłem się na łóżko i znów zasnąłem.

Nad ranem zaczęło się przesłuchanie. O drugiej przyszedł mnie obudzić ponury jak zwykle strażnik. Ubrałem się i poszliśmy. Długie korytarze były ciche i ciemne, strażnik niósł latarnię. Jak zawsze przedtem w tym upiornym powtórzeniu, zeszliśmy na dół. Stara, miła woń siarkowych źródeł. W holu skręciliśmy w innym kierunku niż zwykle i zostałem wyprowadzony frontowym wejściem strzeżonym przez uzbrojonego strażnika.

Strażnik trzymał latarnię nad głową. Odruchowo spojrzałem w górę na ledwo widoczne czarne okna z liniami krat.

Poszliśmy do stajni. Ludzie palili tam i spokojnie popijali grając w kości wokół małego ogniska. Strażnik przekazał mnie jednemu z oficerów, który dał mi gruby płaszcz i futrzaną czapkę. Koń był już osiodłany. Podsadzono mnie na siodło. Stajenny doprowadził mnie do wrót i szyderczo zasalutował.

Ściskając wodze ponagliłem konia i swobodnie przejechaliśmy przez dziedziniec.

Poza osłoną budynków odczułem lodowaty powiew ostrego, nocnego wiatru. Nad głową świecił sierp księżyca. Równina była pozbawiona szczegółów, bezkresna. Jechałem. Wierzchowiec i ja stanowiliśmy jedno.

W taką noc, w taką noc... w niezliczone noce ludzie jechali przed siebie, a ruch uspokajał ich podzielone umysły, jak doba podzielona na dzień i noc. W nowym rodzącym się porządku ruch zachowa swoją wartość.

Notatka: *Ruch. Zmiana. Płynność. Dotąd były zawarte w nieruchomych, wykutych przez człowieka formach. Wkrótce te formy zaczną się poruszać. Nie tylko poznamy siebie. Zrozumiemy, że wszystkie stracone pokolenia nieświadomości rodziły się z ochronnej sztywności. Z ustanowionych barier. Teraz nie boimy się już nieograniczonej wiedzy. Bariery opadają.*

Mogłem jechać do końca równiny, jeżeli chciałem. I nigdy już nie wrócić. Nie chciałem. Świadomość, że taka możliwość istnieje, była wystarczająca. Wkrótce wrócę do hotelu wzmocniony symboliką tego galopu (jak tego byli pewni dyrektorzy hotelu). Teraz zrozumiałem, dlaczego napisałem sam do siebie *„Wszystkie sztuki usiłują opisać jeden świt".*

Teraz jechałem na spotkanie tego świtu! Noc i odległość dodawały tajemniczości odgłosowi kopyt mojego konia, który odbijał się echem od grupy budynków szybko rosnących w moich oczach.

Przełożył **Lech Jęczmyk**

Uwaga: Na stronie 59 „Mówi Aldiss"!

Harkavy za pierwszym razem w ogóle nie zwrócił uwagi na nową wystawę przy Frazier Street. Wymachując rękami maszerował prosto przed siebie z twarzą wykrzywioną tak paskudnym grymasem, że nawet jakiś terier, mający zamiar solidnie go obszczekać, zrezygnował ze swoich planów i pośpiesznie umknął mu z drogi. Och, jakże wściekły był profesor Harkavy, stanowczo zbyt wściekły, by zauważyć nowy sklep o zakurzonej, mimo swej nowości, wystawie, reklamujący się wypisanym ręcznie szyldem opartym o doniczkę z omdlewającym fikusem.

Już drugie okrążenie dokoła budynku, ale wściekłość ciągle ta sama. Durnie! Półgłówki! Głupsi od przydrożnych kamieni! Za jego studenckich czasów wyglądało to zupełnie inaczej – tak, zupełnie inaczej. Wtedy uczyło się, mając na uwadze pytania egzaminacyjne. Albo przynajmniej myślało się o pytaniach egzaminacyjnych. Lub też przynajmniej (uff! uff!) było się w miarę przytomnym, odpowiadając na pytania egzaminacyjne. A ta banda? Intelektualne trupy! On, Harkavy, postępował już chyba wbrew etyce zawodowej; to, co robił, trudno było określić inaczej niż pedagogiczną nekrofilią.

wtapiający się w panujący dokoła półmrok szczupły mężczyzna w brązowym garniturze i o szarym wyrazie twarzy. Był znacznie niższy od Harkavy'ego. Z tego właśnie powodu, jak również z powodu idiotycznej treści wywieszki, a także dlatego, że jego wściekłość dawno przekroczyła już wszelkie stadia frustracji, wkraczając na rozległe, nieograniczone tereny, gdzie zuchwałość jest nie tyle dopuszczalna, ale wydaje się nawet jak najbardziej na miejscu, Harkavy wydarł się z całych sił na skromnego człowieczka, który zasługiwał na to właśnie dlatego, że był taki skromny i nie rzucający się w oczy.

– Wyjaśnienia! W y j a ś n i e n i a ! Zajmujecie się wyjaśnieniami? A ja jestem nauczycielem akademickim i wczoraj zrobiłem moim studentom egzamin, by dzisiaj otrzymać od nich tak zwane „wyjaśnienia". I otrzymałem, nie wyssane z palca, nie wzięte z powietrza, o nie, są to wyjaśnienia mające swe źródło w pięciotygodniowym, starannie przygotowanym cyklu wykładów o brytyjskiej poezji, w pieczołowicie dobranych i wybranych lekturach, w dyskusjach prowadzonych z taką uwagą i zaangażowaniem, jakiej wymagają zwykle tylko pacjenci na oddziale intensywnej opieki. I jakież to wyjaśnienia otrzymałem? Już panu mówię jakie. Otóż w odpowiedzi na proste polecenie, dotyczące wyjaśnienia terminu „carpe diem", otrzymałem – a pan wie co to znaczy? Po prostu „chwytaj dzień", nic więcej, tyle samo, co „wykorzystuj każdą chwilę życia", ot, to wszystko. A w jaki sposób moi studenci wyjaśniają znaczenie tego terminu? Zamiast „chwytaj dzień" znajduję w ich pracach „witaj dzień". Witaj. Znajduję też „czytaj dzień". Z tym czytaniem to chyba wyskoczył jakiś nieuleczalny mól książkowy. Znajduję wreszcie „zmywaj sień". Poezja realizująca wezwanie „zmywaj sień"! Nowa, nie odkryta do tej pory szkoła liryzmu sanitarnego! Jakie procesy zachodzą w mózgu studenta, który pisze mi, że taki to a taki wiersz jest znakomitym przykładem poezji typu „zmywaj sień"? No? Czy także i to potrafi mi pan wyjaśnić?!

WYJAŚNIENIA,

Adekwatność tego określenia kazała mu zwolnić kroku. Tak, udało mu się, nie ma co. Musi je sobie zapamiętać i wykorzystać później, w uniwersyteckiej stołówce. Na pewno spodoba się Mortonowi z antropologii. Harkavy przestał się krzywić, przestał wymachiwać rękami i zauważył wystawę z ręcznie wypisanym szyldem:

WYJAŚNIENIA
Sp. z o.o.
Potrafimy Wszystko Wyjaśnić
ZAPRASZAMY OD DZISIAJ

Harkavy prychnął z irytacją. Potrafimy wszystko wyjaśnić, rzeczywiście! Ta pewność siebie, intelektualna arogancja – a w dodatku fikus zarażony był mączakiem. Harkavy widział wyraźnie przez wystawową szybę cieniutkie białe włókna usadowione na spodniej stronie przywiędniętych liści. Prychnął ponownie i (ponieważ) pchnął drzwi i wszedł do środka. Ponieważ: musiał dać jakiś upust kipiącej w nim złości; przyjeżdżający na gościnne występy wykładowcy, nie mający nawet doktoratu, dostawali najgłupsze grupy; jego własne rośliny w swych doniczkach z terakoty, zapewniających swobodny dostęp powietrza do korzeni nigdy nie miały żadnych chorób. Ponieważ. No, jak by spróbowali to wyjaśnić?

Wnętrze sklepu było niewielkie, mroczne i pełne cieni, ściany miały kolor brudnoszary, na podłodze leżało pofalowane linoleum. Jedyne umeblowanie stanowiło popękane krzesło z siedzeniem z brązowej skóry oraz również brązowy, skryty nieco głębiej kontuar. Na ścianie za nim widniała znacznych rozmiarów wywieszka:

- *Nie udzielamy odpowiedzi na pytania dotyczące istnienia lub nieistnienia czegokolwiek.*
- *Jeżeli rzecz lub zjawisko, którego dotyczy pytanie, rzeczywiście istnieje lub miało miejsce, wtedy z całą pewnością potrafimy wyjaśnić jej/jego naturę.*
- *Udzielamy zarówno wyjaśnień proceduralnych, jak i przyczynowych.*
- *Nie ponosimy odpowiedzialności za jakiekolwiek konsekwencje wywołane udzielonymi przez nas wyjaśnieniami.*
- *Udzielamy zniżek dla osób w podeszłym wieku (za okazaniem dowodu tożsamości).*

Zanim Harkavy zdołał doczytać do końca, drzwi za kontuarem otworzyły się i zamknęły. Stanął przed nim, w pozie wyrażającej pełne uprzejmości oczekiwanie,

– Czy chciałby pan zapoznać się z warunkami umowy? – zapytał człowieczek.

– Z warunkami czego? – wykrztusił zaskoczony Harkavy.

– Umowy – powtórzył cierpliwie mężczyzna zza kontuaru. – Nigdy nie podejmujemy się zadania nie zapoznawszy wcześniej klienta z warunkami umowy i nie dysponując odpowiednią ilością danych. W tym przypadku potrzebne nam będzie imię i nazwisko tego studenta, a także, o ile to możliwe, numer jego legitymacji studenckiej.

– Mówi pan serio – stwierdził z osłupieniem Harkavy.

– Jak najbardziej – zgodził się człowieczek. Wykonał pod kontuarem jakiś ruch ręką i przez szczelinę, której obecność Harkavy dostrzegł dopiero w tym momencie, wysunął się arkusz papieru. Nieco oszołomiony, a jednocześnie nadąsany, że człowieczek nie zwrócił uwagi na zawarte w jego przemówieniu brawurowe figury retoryczne, wziął papier do ręki i przeczytał co następuje:

Ja, niżej podpisany, oświadczam niniejszym, że zlecam firmie „Wyjaśnienia" dostarczenie mi wyjaśnień(ia) dotyczących załączonych problemów. Zgadzam się z ustaloną przeze mnie i przedstawiciela firmy definicją każdego z terminów użytych w opisie tych problemów. Firma „Wyjaśnienia" ma dostarczyć mi wyjaśnienia przyczynowe/proceduralne (zakreślić) po cenie mogącej ewentualnie przewyższyć ustaloną kwotę nie więcej niż o 10%.

....
(data) *(podpis)*

Dalej była jeszcze uwaga gwarantująca firmie prawo użycia nazwiska zleceniodawcy i udzielonego mu wyjaśnienia w celach reklamowych.

Kąciki ust Harkavy'ego zadrżały nieprzyjemnie.

– Reklama?
– Nie rozwinęliśmy jej jeszcze na odpowiednią skalę.
– Tak mi się zdaje – parsknął Harkavy.

– To tylko jeden z naszych oddziałów – wyjaśnił mężczyzna.

Harkavy'ego, co było nie do uniknięcia po tak niszczącym ataku wściekłości, ogarnęło wielkie znużenie. Szarlatani, intelektualni pozerzy albo po prostu bezmyślni idioci. Prężne, uczciwe umysły dążące do racjonalnej jasności i jednoznaczności należały już do przeszłości. On, Harkavy, był jak Diogenes, kroczący naprzód w blasku lampy swego umysłu, ale wszędzie, gdziekolwiek by skierował swe kroki, otaczała go nieprzenikniona ciemność. Morton z antropologii wpadł jednak na dobry pomysł: nigdy nie należy oczekiwać choćby krzty racjonalności, a dzięki temu nigdy nie jest się rozczarowanym. Trzeba natomiast oczekiwać matactw, należy spodziewać się bezmyślności, nie można nie podejrzewać oszustw.



Tomasz Zakrzewski

Sp. z o.o.

Nancy Kress

(Explanations, Inc.)

– To oszustwo – powiedział Harkavy.
– Ależ skąd – odparł z godnością szary człowieczek. Owa nieuzasadniona niczym godność podsyciła w Harkavym przygasły chwilowo gniew.

– A więc dobrze, spróbuję. Zapłacę za „wyjaśnienie". Czemu by zresztą nie? I tak zawsze za wszystko płacę. Nie myśli pan chyba, że studenci są tymi, którzy cierpią dlatego, że 40 procentom z nich zaliczam jednak egzaminy, gdyż oficjalne wytyczne nie zalecają oblewania więcej niż 60 procent. Kupię jedno z pańskich pokrętnych, małych wyjaśnień, czemu nie? Skoro wszystko powoli przestaje mieć jakiekolwiek znaczenie, to i tak jakiekolwiek prawdziwe wyjaśnienia stają się niemożliwe!

– Pańskie rozumowanie ma pewne luki – zauważył bez emocji człowieczek. – Co dokładnie chciałby pan, byśmy mu wyjaśnili?

Myśli Harkavy'ego goniły w poszukiwaniu czegoś ekstrawaganckiego i absurdalnego zarazem, czegoś, co stanowiłoby doskonały przykład, obrazujący głębię ironii, na jaką potrafi się zdobyć jego nie podatny na jakiekolwiek złudzenia umysł. Nic takiego nie mógł znaleźć. Szarobrązowy człowieczek wyjął ze szczeliny nowy arkusz, bowiem pierwszy został przez Harkavy'ego zgnieciony w niezbyt kształtną kulę.

– Słucham, profesorze.
– Skąd pan wie, że jestem profesorem?
– Sam pan to powiedział. Co mamy panu wyjaśnić?

Głębia ironii ciągle jakoś umykała Harkavy'emu, ale przecież wystarczy, jeżeli zdemaskuje oszustwo... Tak, bez trudu może przecież zadać pytanie, które obnaży i wyciągnie to niecne krętactwo na światło dzienne.

– Proszę mi wyjaśnić, co przydarzyło się Amelii Earhart, której samolot zaginął wkrótce po...

– Tak, znam tę sprawę – przerwał mu niski mężczyzna. Lekki uśmiech, jaki pojawił się na jego twarzy był pierwszym zewnętrznym objawem jakiegokolwiek uczucia. – Tak się akurat składa, że dzisiaj ten problem może być potraktowany zupełnie ekstra.

– Co...
– Należy się dwadzieścia dolarów. Trzydzieści, jeżeli życzy pan sobie otrzymać wyjaśnienie zarówno przyczynowe, jak i proceduralne. Obydwa z pełną dokumentacją, rzecz jasna.

Harkavy zażyczył sobie obydwa. Wraz z małym człowieczkiem, który przedstawił się jako Stone, sprecyzowali znaczenie każdego ze słów użytych w zamówieniu, podpisali umowę, po czym Harkavy uiścił opłatę w wysokości trzydziestu dolarów. Podczas wypisywania czeku – zdziwił się trochę, że podobni oszuści przyjmują jednak czeki, bo przecież realizując je pozostawiają za sobą wyraźne ślady – opuścił go niemal zupełnie gniew, ustępując miejsca rozbawieniu. Będzie miał co opowiadać Mortonowi. Ale historia! Niemalże warta tych trzydziestu dolarów. On, Harkavy, będzie w niej występował jako nieco melancholijna, dystyngowana postać, dążąca na przekór wszystkiemu do intelektualnej prawdy i cały czas kontrolująca przebieg wydarzeń. Samotny idealista, oderwany – ale nie całkiem – od codziennych problemów. Tak, z pewnością spodoba się to Mortonowi.

Jak nieoczekiwany, bolesny skurcz serca poczuł nagle przypływ autentycznej melancholii.

Pomimo to jednak całą drogę do domu wesoło pogwizdywał, a dotarłszy tam zabrał się do sprawdzania reszty prac z czymś nawet nieco przypominającym dobry humor. Tego nastroju nie zdołał zakłócić nawet wywód pewnego studenta, utrzymującego, że niejaki Alexander Pope, obecnie już nieżyjący, był synem papieża*. Skończywszy pracę wziął do jednej ręki schłodzone piwo, do drugiej zaś świeżego „Timesa", którego nie zdążył jeszcze przeczytać. Połowę pierwszej strony zajmowało zdjęcie ubranej w strój pilota młodej kobiety o niezbyt starannie uczesanych włosach i ładnej twarzy.

SZCZĄTKI AMELII EARHART ODNALEZIONE NA SAIPANIE – głosił podpis.

Sam artykuł był bardzo długi i wyczerpujący. Cytowano wypowiedzi polityków, lekarzy, antropologów i marynarzy. Wyjaśnili oni dokładnie, co stało się z Amelią Earhart.

– Wykiwał mnie pan – stwierdził Harkavy.
– Ależ skąd – odparł Stone. – Proszę bardzo, oto dokładne wyjaśnienie, takie, jakiego pan sobie życzył.
– Z dokumentacją w postaci wczorajszego wydania „New York Timesa"!
– Właśnie.
– Pan dysponował tymi informacjami jeszcze zanim podpisałem tę żałosną umowę!

– Panie Harkavy, jestem człowiekiem interesu. Pan chciał kupić pewną informację, ja zaś tę informację posiadałem. Gdyby nasza firma musiała zdobywać informacje, których nie posiada, wówczas cena za usługę byłaby nieporównywalnie wyższa od tej, jaką pan zapłacił. Uważa się pan za trzeźwo myślącego człowieka, więc z pewnością dostrzega pan słuszność mego rozumowania.

Oczy Harkavy'ego zwęziły się do rozmiarów szparek.

– Nie lubię, jak się ze mnie robi idiotę!

– Nikt tego nie lubi – odparł spokojnie Stone.

Palce Harkavy'ego zabębniły na kontuarze; od wczorajszego popołudnia zdążył on już zmienić kolor – pysznił się teraz głębokim, soczystym granatem. Niewykluczone, że farba kosztowała właśnie trzydzieści dolarów. Jego dolarów.

Harkavy przyjrzał się uważnie Stone'owi. Mały człowieczek odpowiedział mu spojrzeniem tak niezmącenie spokojnym, że Harkavy poczuł, jak żółć znowu podchodzi mu do gardła. Ten szarlatan mógłby przynajmniej okazać trochę wstydu! Jakieś niepewne mrugnięcie, nerwowy tik i on, Harkavy, byłby usatysfakcjonowany. Nie trzeba nic więcej, wystarczy ciche przyznanie, że wszystkiego nie da się jednak ot, tak sobie wyjaśnić, że to niemożliwe... jakieś odwrócenie spojrzenia, pochylenie głowy...

Stone nie odwrócił spojrzenia ani nie pochylił głowy.

– Dobra – powiedział spokojnie Harkavy – zobaczymy w takim razie, jak dacie sobie radę, nie posiadając żądanej od was informacji.

– Bardzo proszę – odpowiedział Stone. Poruszył ręką i ze szczeliny w kontuarze wynurzył się świeży formularz. – Co mamy panu wyjaśnić?

– Dlaczego tak się stało z Amy. Z Amy, moją żoną. Dlaczego ode mnie odeszła. Wyjaśnienie przyczynowe.

Dłonie Stone'a zawisły nad arkuszem papieru. Popatrzył przez chwilę na Harkavy'ego, a gdy się odezwał, jego głos brzmiał jeszcze łagodniej, niż zazwyczaj.

– Mr. Harkavy, czasem żąda się wyjaśnień, których w rzeczywistości wcale nie chce się usłyszeć.

Harkavy wybuchnął zgrzytliwym śmiechem.

– Co, za trudne dla was? To nie to samo, co wziąć odpowiedź z „Timesa", co, Stone?

Stone nie odpowiedział. Opuścił wzrok na świeżo pomalowany kontuar i na coś jeszcze, czego Harkavy nie mógł dostrzec. Kiedy przemówił, ton jego głosu był ciągle taki sam.

– Przystąpimy w takim razie do rzeczy. Imię pańskiej eks-żony?

– Amy Loughton Harkavy. Szef kontroli jakości w Lunel Products. Numer ubezpieczenia 090-40-8333. Teraz już wiesz, Stone – nazwisko, stopień, numer; tyle, ile się wie na każdej wojnie. Reszta należy do was. Wyjaśnijcie mi to. Jeśli potraficie.

– Potrafimy – odparł Stone głosem, z którego tonu nic nie można było odczytać.

„Wyjaśnienia" Sp. z o.o. zażyczyła sobie sześciu tygodni na wykonanie zadania. Już na drugi dzień Harkavy klął w żywy kamień swoją głupotę. Żeby tak dać się ponieść nerwom! Dać się wplątać w idiotyczne szachrajstwo! Nie chodziło o pieniądze, chodziło o upokorzenie... Nie, na Boga, to oni się upokarzali. Żeby w perwersyjny sposób wykorzystywać cudowne umiejętności ludzkiego rozumu dla jarmarcznej, obliczonej wyłącznie na zysk farsy! Chociaż, jeśli się temu przyjrzeć, to trzeba przyznać, że to było śmieszne. Ponure, ale śmieszne. Morton popłacze się ze śmiechu. Tak, to naprawdę było śmieszne.

Nic nie powiedział Mortonowi.

Na drugi tydzień Harkavy przeszedł się na Frazier Street, żeby sprawdzić czy sklep w ogóle jest jeszcze na swoim miejscu. Był, ku jego zdziwieniu, aczkolwiek z wystawy zniknął zarażony mączakiem fikus. Jego miejsce zajęły trzy doniczki z bezkwiatową męczennicą o tak soczyście zielonych liściach, jakich Harkavy w życiu nie widział. Przy kontuarze stała jakaś kobieta, pogrążona w rozmowie ze Stone'em, który trzymał w ręku coś, co wyglądało na gotowy do podpisania formularz.

Harkavy odszedł dziwnie poruszony. Nie wrócił już więcej przed upływem wyznaczonego czasu.

W ciągu tych sześciu tygodni przypominał sobie od czasu do czasu o swoim zamówieniu, ale zdarzało się to zawsze niespodziewanie, podczas wykładu, przy goleniu albo gdy przewodniczył kolejnemu zebraniu, i wtedy niekontrolowany grymas wykrzywiał jego twarz. Zaczęto uważać go za ekscentryka. (Wiecie, to przez te przeżycia, szkoda faceta...). Harkavy niczego nie dostrzegał.

– Żona opuściła pana – zaczął obojętnym tonem Stone – ponieważ nie mogła już żyć dłużej „z człowiekiem, który według własnego mniemania ma rację w 93 procentach przypadków". Określenie pochodzi od niej. Oto pańska dokumentacja, Mr. Harkavy. – Mówiąc to przesunął leżący na kontuarze plik w stronę Harkavy'ego i odwrócił wzrok.

Na wierzchu leżał magnetofon kasetowy. Głos Amy przypominał poszczególne zdarzenia, analizował motywy, wyjaśniał – komu? Przyjacielowi? Księdzu? Sprytnie podstawionemu oszustowi? Ten ktoś nie odzywał się ani słowem. Mówiła tylko Amy; Harkavy nie miał najmniejszych kłopotów z identyfikacją jej troszkę nosowego, uroczo śpiewnego głosu: „Nigdy nie potrafił przyznać się do błędu. Przyznawał się tylko do tego, co mogło potwierdzić, że jednak miał rację. Kiedy na przykład udało mi się wymyślić coś, co rozwiązywało jeden ze zwyczajnych, codziennych domowych problemów, uśmiechał się i mówił: A widzisz? Dobrze, że o tym pomyślałem! Och, jakież to było wstrętne!"

W pliku dokumentów znajdowała się między innymi opinia psychoanalityka, o autentyczności potwierdzonej licznymi pieczątkami, zawierająca relację z sesji niejakiej Ms. Amy Loughton, odbytych wkrótce po jej rozwodzie. Psychoanalityk stwierdził, że inicjatywa Ms. Loughton (czyli wystąpienie o rozwód) była przejawem jej jak najbardziej pozytywnego dążenia do wyzwolenia się z wpływającego na nią destrukcyjnie związku z mężczyzną, który wymagał, by jego zdanie było zawsze i wszędzie uważane za jedynie słuszne. Według opinii psychoanalityka fakt rozstania się z mężem wpłynął na Ms. Loughton zdecydowanie pozytywnie.

Była tam również wykonana ręką Amy notatka na ozdobnym papierze listowym, który Harkavy podarował jej na ostatnie urodziny. *„... chcę tego, co jest absolutnie niemożliwe: żeby wszystko w tym cholernym świecie miało sens!"*

Spojrzenie Stone'a uparcie omijało Harkavy'ego, który wybuchnął:

– Ty sukinsynu, mógłbyś za to do końca życia nie wyjrzeć z mamra! Nielegalne zdobywanie zastrzeżonych informacji o pacjentach, naruszanie tajemnicy korespondencji...

– Myli się pan – przerwał mu chłodno Stone. – Proszę się temu przyjrzeć.

Harkavy spojrzał jeszcze raz. Adresatem sporządzonej ręką Amy notatki był Shariar Galt Stone.

– Jak...

– Chyba powinniśmy uregulować rachunki, panie Harkavy.

Harkavy zapłacił. Zamiast krzesła o siedzeniu z popękanej brązowej skóry w pomieszczeniu stał teraz wyściełany fioletowym welwetem fotel. Harkavy opadł na niego i zapatrzył się przed siebie niewidzącym spojrzeniem.

– Mrs. Harkavy myliła się, jeśli chodzi o jedną sprawę – powiedział spokojnie Stone.

GRAŻYNA & ANDRZEJ BARECCY

GALERIA





– Ms. Loughton – poprawił go Harkavy, nagłym ruchem unosząc w górę głowę. – Woli, żeby zwracano się do niej Ms. Loughton.

– Ms. Loughton jednak się myliła. W tym świecie wszystko ma sens. Wszystko jest racjonalne.

– Ty sukinsynu. Skąd wziąłeś te dokumenty?

– W naszej umowie nie ma ani słowa o obowiązku ujawniania przez nas naszych metod działania.

– Gdybym poszedł z tymi kradzionymi materiałami na policję...

– Nie są kradzione – powiedział Stone. – Policja nie znalazłaby żadnych powodów dla podjęcia przeciwko nam jakichkolwiek czynności. Żadnych. My po prostu, widzi pan, naprawdę potrafimy wszystko wyjaśnić.

Harkavy wrócił. Po tygodniu, czy może po dziesięciu dniach – nie był tego zupełnie pewien. Po tym pierwszym powrocie przychodził już codziennie, krocząc zamaszyście z wysoko uniesioną głową i machając zawzięcie ramionami, mając jednak równocześnie bolesną świadomość, jak kruchy i powierzchowny jest cały ten jego wigor. Dotarłszy do sklepu osuwał się w przepastne głębie promieniującego fioletem fotela i było to jedyne, na co było go stać; to miejsce pozbawiało jego ciało jakiejkolwiek energii, przenosząc ją i skupiając w jego oczach. Harkavy, niczym odziany w tweedową marynarkę Argus, obserwował wszystko doskonale nieruchomymi oczyma.

Jakaś błękitnowłosa kobieta pragnęła uzyskać wyjaśnienie dotyczące UFO, jakie dostrzegła nad swoim podwórkiem. Inna kobieta chciała zamówić proceduralne wyjaśnienie sposobu, w jaki obrabowano jej mieszkanie, ale zrezygnowała, dowiedziawszy się, że rachunek przewyższyłby łączną wartość wszystkich skradzionych przedmiotów. Jakiś szczupły, starszy mężczyzna o ascetycznej, niczym z kościelnego witraża twarzy, zażyczył sobie wyjaśnienia wszystkich okoliczności towarzyszących narodzinom Chrystusa. Otrzymawszy je wyszedł z zamyśloną twarzą i nieco drżącymi rękami. Kim byli wszyscy ci ludzie, skąd przychodzili? Niektórzy z nich wydawali się Harkavy'emu jakby znajomi – ludzie, których nie zauważając mija się codziennie w sklepie. Mężczyzna w średnim wieku o długich, rzednących włosach i doskonale opanowanych mięśniach twarzy chciał wiedzieć, co skłoniło jego syna do wstąpienia do Marines. Jakiś chłopak chciał się dowiedzieć, jakie przyczyny spowodowały wybuch wojny trzydziestoletniej. Harkavy zamrugał ze zdziwieniem.

– Praca domowa – wyjaśnił Stone, gdy za chłopakiem zamknęły się drzwi. Po raz pierwszy odezwał się do Harkavy'ego.

– Więc teraz zajmuje się pan pracami domowymi – powiedział Harkavy z lekkim szyderstwem w głosie. Wiedział, że szyderstwo było tylko lekkie, bowiem nie zdołał go nawet ogrzać. Opanował go całkowicie niezwykły chłód.

– Prace domowe również można wyjaśnić.

– Nie podejrzewałem, że będzie się panu chciało czymś takim zajmować. Nie można chyba osiągnąć zbyt wysokich zysków pomagając dzieciom odrabiać prace domowe?

– Zdziwiłby się pan, gdyby pan wiedział, skąd czerpiemy nasze zyski.

– Z całą pewnością – odparł Harkavy. – Tylko w tym tygodniu przynajmniej dwóch klientów wypadło stąd nie płacąc ani grosza.

– Zapłacą później. Poza tym korporacja, do której należymy, ustaliła specjalne przepisy dotyczące tego rodzaju sytuacji; wszelkie koszty obsługi nie zapłaconych rachunków ponosi klient.

– Wszystko w myśl nauk Kościoła Biznesmenów – prychnął Harkavy.

Stone przyjrzał mu się uważnie. Mały człowieczek zmienił swoje brązowe ubranko na fioletowo-błękitny, mieniący się niczym poranne niebo płaszcz, skrojony w ten sposób, że momentami, przy odpowiednim oświetleniu przypominał pelerynę. Ale to nie była peleryna.

Jakieś dziecko chciało, by wyjaśniono mu przyczynę śmierci jego ukochanego pieska. Jakiś młody człowiek o kościstych rękach i udręczonych czarnych oczach zażądał przyczynowego wyjaśnienia powodu istnienia zła. Inny młodzian chciał się dowiedzieć jak zbić fortunę spekulując akcjami na giełdzie, ale odszedł z niczym; firma „Wyjaśnienia" nie zajmowała się wydarzeniami, które miały dopiero nastąpić. Jakaś kobieta zapragnęła poznać przyczyny nieistotnej, towarzyskiej sprzeczki sprzed dwudziestu trzech lat, będąc gotowa zapłacić więcej, niż wynosiły roczne pobory Harkavy'ego. Nie dała się odwieść od tego zamiaru: „Muszę wiedzieć, dlaczego ona tak wtedy postąpiła. Muszę!"

Kiedy wyszła, Harkavy, po raz pierwszy od równych dziesięciu dni, powiedział do Stone'a:

– Serce zna przyczyny, o jakich rozum nie ma pojęcia.

– Pascal.

Harkavy skrzywił się. Nie oczekiwał po Stonie, że będzie to wiedział.

– Nawet przyczyny, jakimi kieruje się serce, mogą być wyjaśnione – powiedział Stone. – Absurdalność skutków nie wyklucza prawdziwości przyczyn.

– A jeżeli te skutki wymykają się spod kontroli?

– To niczego nie zmienia.

Za drzwiami pojawił się kolejny klient. Z dłonią opartą niepewnie o klamkę zajrzał przez wystawową szybę do wnętrza sklepu.

– Ciągle te pytania... – powiedział Harkavy.

– Tak jest, ciągle pytania – powtórzył Stone.

Harkavy skrzywił się ponownie i zamilkł. W swym głębokim fotelu czuł się niemal niewidzialny, był świadkiem, ale nie uczestnikiem, żołnierzem wycofanym chwilowo z linii frontu. Klienci nie zwracali na niego uwagi. Stanowił część umeblowania. Był chłodny.

Między jednym z popołudni a następnym rankiem zniknęło pomarszczone linoleum, a zamiast niego pojawił się orientalny dywan w tajemnicze wzory z kunsztownych błękitów, fioletów i czerwieni. Podłoga pod stopami Harkavy'ego mieniła się niczym wysypana klejnotami.

– Niech mi pan wyjaśni przyczynę istnienia Wszechświata – powiedział Harkavy.

Stone dalej robił coś za kontuarem.

– Niech mi pan wyjaśni przyczynę istnienia Wszechświata! – powtórzył podniesionym głosem Harkavy, wstając z fotela.

– Mr. Harkavy – odparł oficjalnym tonem Stone, zupełnie jakby Harkavy dopiero co wszedł do sklepu. W rzeczywistości od chwili, kiedy po raz pierwszy usiadł w fotelu minął już ponad miesiąc. W pluszowym obiciu widać było odciski, jakie pozostawiło jego przybierające coraz bardziej niespokojne pozycje ciało.

– Chcę zamówić wyjaśnienie przyczyny istnienia Wszechświata – powtórzył z czymś na kształt zawziętości w głosie Harkavy.

– Rozumiem w takim razie, iż pomimo swych niedawnych uprzedzeń przekonał się pan jednak o rzetelności firmy „Wyjaśnienia"?

Harkavy zacisnął zęby.

– Mógłby pan to sobie darować?

– Oczywiście – odparł Stone. – Czyli: jak powstał Wszechświat?

– D l a c z e g o.

– Ach – powiedział Stone. Harkavy'emu zdawało się,

że jest to raczej jakieś syczące westchnienie, chociaż nie było tam ani jednego „s". Iskrząca się niepeleryna cicho zaszeleściła.

– No? – zapytał Harkavy. – Możecie to wyjaśnić?

– Tak.

– Czy mamy zdefiniować pojęcia?

– Nie. Wszystko jest jasne.

– Czy to będzie drogie?

– Nie, bardzo tanie.

– Kiedy dostanę odpowiedź?

– Za kilka minut.

– W takim razie – powiedział Harkavy – musi to być często zadawane pytanie.

– Bardzo często.

– I dostanę sztampową odpowiedź?

– Dostanie pan prawdziwą odpowiedź.

– A więc dobrze – powiedział Harkavy beznamiętnym tonem, ale z poszarzałą twarzą. Stone przyglądał mu się bez drgnienia powieki; kiedy Harkavy podpisywał czek przyszła mu nagle do głowy myśl, że dla kogoś, kto by w tej chwili zajrzał tu przez wystawową szybę, on i Stone mogli być dwoma najzwyczajniejszymi biznesmenami, podpisującymi właśnie umowę dotyczącą dokładnie czegokolwiek – ubezpieczeń na przykład, leków, czy czegoś mającego związek z prawem.

Stone przyniósł wyjaśnienie zza widniejących za kontuarem drzwi. Było bardzo dokładne i zajmowało kilkanaście zadrukowanych gęsto stron. Harkavy nie znał co prawda tej terminologii, ale nieobcy był mu uniwersalny, akademicki styl; stał bez ruchu, przeglądając wyjątki z prac najwybitniejszych fizyków. Prędkości kątowe, prawo Hubble'a, zasada kosmologiczna, promieniowanie Big Bangu, prawo entropii.

– To jest wyjaśnienie proceduralne, Stone. O tym, jak powstał Wszechświat. Ja się pytałem dlaczego.

– Wiem – powiedział po prostu Stone i zamilkł.

Harkavy zrozumiał. Procedura była tu zarazem przyczyną. Wszechświat istniał dlatego, że istniał. I to wszystko.

– Właściwie, to guzik mnie to obchodzi – powiedział głośno Harkavy.

Stone milczał.

– To i tak nic więcej niż eksperyment myślowy, a poza tym i tak o tym wiedziałem. Boże, te półgłówki, których uczę – oni też do tego doszli, nawet ci najgłupsi!

– Proszę nie krzyczeć.

– A więc cały czas miałem rację!

– Tak.

– Boże! A ci nieszczęśnicy przychodzą tutaj jeden za drugim myśląc, że to co zrobią, a czego nie, ma jakiekolwiek znaczenie!

Stone się nie odzywał.

– Przypuszczam, że najwłaściwszą, humanitarną reakcją byłoby współczucie, prawda? Ale ja nie potrafię współczuć ignorantom, Stone. Ani nieuleczalnym marzycielom. Umysł, który nie myśli jest czymś ohydnym. Ohydnym, a nie godnym współczucia. Czy to pana szokuje?

– Nie.

Głos Harkavy'ego znowu przybrał na sile.

– Ale zapewne uważa pan, że skoro już zadałem to pytanie, to muszę być teraz załamany odpowiedzią, jaką uzyskałem? Nic z tego. Ja już znałem tę odpowiedź. Chodziło mi tylko o to, żeby was sprawdzić.

– Przypuszczam więc, że nie zawiódł się pan na nas.

– To nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia! Wasze wyjaśnienie nic mnie nie obchodzi!

– Ach, tak.

– Miałem rację! – zapiał Harkavy, drąc plik dokumentów na pół, a potem jeszcze na pół. Strzępy papieru spłynęły wolno na dywan. – Miałem rację! Nic już nie można wyjaśnić!

– Pozostały jeszcze dwa pytania – zaczął Stone, ale Harkavy już go nie słyszał. Wypadł ze sklepu, zostawiając skrawki papieru rozrzucone na roziskrzonej głębi dywanu niczym odległe gwiazdy.

– Chciałem pana przeprosić – powiedział sztywno Harkavy. Stał trzymając się oburącz krawędzi kontuaru, który od wczoraj zdał się nabrać jeszcze intensywniejszego koloru. – Zwykle nie zdarza mi się zachowywać w ten sposób. Raczej nigdy nie tracę całkowicie panowania nad sobą. Dlatego chciałbym pana przeprosić.

– Pańskie przeprosiny zostały przyjęte – powiedział poważnym tonem Stone. Wpatrywał się w Harkavy'ego z takim napięciem, że ten aż poczuł się głupio.

– Sądzę, że powinien pan wiedzieć – powiedział – że skontaktowałem się ze Stowarzyszeniem Firm Usługowych i z Ligą Ochrony Konsumentów.

– Tak? – zdziwił się uprzejmie Stone. Nie wydawał się być w najmniejszym stopniu zaniepokojony.

– „Wyjaśnienia", Sp. z o.o. nie jest nigdzie zarejestrowana.

– Wiem.

– Nikt jednak nie składał na was nigdy żadnych skarg.

– Wiem.

– Aż do teraz – dodał Harkavy.

– Aha.

– Nie wierzy mi pan, prawda? Nie wierzy pan, że złożyłem na was skargę?

– Nie wierzę – odparł Stone. Nie uśmiechnął się. Harkavy, odwrócony plecami do swego fioletowego fotela, oparł się o kontuar i czekał, żeby Stone powiedział coś, co pozwoliłoby jemu, Harkavy'emu, odejść. Stone nic nie powiedział. Milczenie przedłużało się. Wreszcie Harkavy przestąpił niezręcznie z nogi na nogę i zapytał, siląc się rozpaczliwie na nonszalancję:

– A kiedy pomalowaliście sufit?

Stone nie podniósł wzroku w górę. Sufit, który dzięki specyficznemu oświetleniu sprawiał wrażenie, jakby był bardzo, bardzo wysoko, miał kolor ciemnego, dojrzałego wina. Niewielki sklep tkwił, zawieszony między sufitem a dywanem, rozjaśniony tylko tajemniczym, roziskrzonym poblaskiem. Stojąca w wystawowym oknie męczennica pokryła się szkarłatnymi kwiatami.

– Niezbyt dawno temu – odpowiedział Stone.

– Więc macie chyba niezłe zyski?

– Owszem, mamy niezłe zyski.

– Ludziom potrzeba pewnie całej masy wyjaśnień, tak sobie przynajmniej wyobrażam.

– Niektórym, owszem.

– Ale nie wszystkim?

– Nie, nie wszystkim.

– To zabawne, jak różne rodzaje intelektualnej ciekawości można wyróżnić wśród ludzi. I wcale nie musi być to związane z poziomem inteligencji, prawda? Wśród studentów, na przykład, spotyka się najróżniejsze poziomy ciekawości połączone z najróżniejszymi poziomami inteligencji, i nie ma na to żadnej reguły. O, wczoraj na przykład rozmawiałem z Mortonem z antropologii...

– Mr. Harkavy – przerwał mu spokojnym tonem Stone – proszę zadać następne pytanie.

Dwaj mężczyźni spoglądali przez chwilę na siebie bez słowa; jeden niewzruszenie spokojny, drugi z zawieszoną nagle w próżni nonszalancją. Harkavy mógłby przysiąc, że przez króciutką chwilę czuł słaby, ale wyraźny zapach kadzidła.

– Wyjaśnienie przyczynowe – odezwał się wreszcie. – Dlaczego ciągle tutaj wracam?

– Proszę na zaplecze – powiedział Stone.

Znajdował się tam komputer, co było dość oczywiste, oraz twarda, niewygodna kozetka, na której leżał Harkavy. Przez pokój przechodziła procesja ludzi w białych laboratoryjnych fartuchach; pro-

GALERIA

GRAŻYNA & ANDRZEJ BARECCY



cesja trwała trzy dni. W tym czasie Harkavy tylko raz opuścił pokój, żeby zatelefonować na uniwersytet i powiedzieć, że jest chory. Psychiatra, hipnotyzer, lekarz ze współczującym uśmiechem i okropnie bolącym zastrzykiem, Stone przynoszący spartańskie posiłki, wreszcie stenografujący urzędnik, będący jednocześnie notariuszem. Powstawała dokumentacja. *Dokumentacja,* kołatało się po otumanionym zastrzykiem umyśle Harkavy'ego i w ciągu tych trzech dni była to jego jedyna w miarę jasno sformułowana myśl. W gruncie rzeczy wszystko to nie budziło w nim najmniejszego sprzeciwu. W końcu przecież miał otrzymać odpowiedź na swoje pytanie. Oddzielony nagle od codziennej rzeczywistości, uspokojony, niemalże ukojony (ciągle wpływ zastrzyku?), Harkavy mówił, drzemał, potem znowu mówił i zdawało mu się, że jego słowa są jak twarde, srebrzyste płatki ulatujące w górę nad jego bezbronną, rozciągniętą na kozetce osobę, i że owe płatki łączą się, tworząc duże, błyszczące zwierciadło, w którym widział swoją spokojną twarz.

Rachunek był olbrzymi.

Kiedy wreszcie ponownie stanął przed kontuarem, trzymając w dłoni kopię umowy, odpowiedź na swoje pytanie i dokumentację, czuł się na tyle „obok" tego, zupełnie jakby to nie o niego chodziło, że nie miał żadnych oporów, zabierając się do czytania. Druk był mały, ale wyraźny. W sklepie unosił się zapach kwiatów męczennicy.

PYTANIE: Dlaczego Philip Warren Harkavy powracał trzydzieści dziewięć razy (Harkavy nie miał pojęcia, że było to akurat tyle) *do znajdującego się przy Frazier Street biura firmy „Wyjaśnienia", Sp. z o.o.?*

ODPOWIEDŹ: Philip Warren Harkavy stanowi przykład sposobu myślenia i zachowania określonego jako „metafobia", czyli obawa, że we Wszechświecie nie wszystko ma ściśle określone i uzasadnione znaczenie. W tym szczególnym przypadku podstawowa fobia przejawia się pod postacią kontrfobii, wyrażającej się kategorycznym odrzucaniem hipotezy, że Wszechświat da się racjonalnie wyjaśnić i umotywować. Tego rodzaju reakcja nie jest niczym nadzwyczajnym, z tym, że ta akurat wyróżnia się szczególnym nasileniem oraz faktem, że obiekt zdaje sobie w pełni sprawę z jej obecności. W dawnych czasach metafobia rozwijała się w bardzo intensywne manifestacje o podłożu religijnym, obecnie częściej spotyka się inne jej przejawy.

Zarówno fakt, iż obiekt naszych badań pracuje jako profesor języka i literatury angielskiej, czyli przekazuje wiedzę nie biorąc udziału w jej tworzeniu, jak i jego struktura osobowości, stanowiąca połączenie obłudy i ironii, umożliwiły podstawowej fobii zawładnięcie całym jego życiem. Obiekt pragnie gorąco, by świat dał się racjonalnie wyjaśnić. Jednocześnie boi się, że tak nie jest. Miotając się między pragnieniem a strachem, jest niezwykle silnie przyciągany do firmy „Wyjaśnienia", czując do niej jednocześnie wielką awersję. Dlatego właśnie wrócił do niej trzydzieści dziewięć razy. W załączeniu dokumentacja.

6154A38L.

– Co oznacza ta liczba na końcu? – zapytał Harkavy, podnosząc wzrok znad tekstu. Stone miał teraz ciemną, długą, patriarchalną brodę, podkreślającą czerń jego oczu.

– To dla ułatwienia opracowywania danych.

– Rozumiem – powiedział Harkavy zmęczonym, uprzejmym tonem bez najmniejszego śladu zaczepności. Resztki zaczepności opuściły go podczas trzydniowych badań i już nie wróciły. Był teraz szczupłym, wysokim, spokojnym mężczyzną, chwiejącym się lekko w podmuchach przesyconego zapachem kadzidła powietrza.

– Dziękuję – powiedział cicho i odwrócił się, kierując do wyjścia.

– Nie może pan teraz odejść! – zawołał Stone niespodziewanie bogatym, głębokim głosem, pełnym emocji, którą Harkavy słyszał u niego po raz pierwszy.

– Nie?

– Jest jeszcze jedno pytanie!

– Nie mam pojęcia, jakie by mogło być.

– Pomyśl, Harkavy, przecież to potrafisz!

– To chyba i tak nie ma większego znaczenia.

– Pański obecny nastrój to po prostu pierwsza reakcja na odpowiedź, jaką pan uzyskał. To minie. Naprawdę.

– Metafobia – powtórzył w zamyśleniu Harkavy.

– Przedsięwziąwszy odpowiednie środki da się z tym żyć, Harkavy. Przedsięwziąwszy odpowiednie środki. Pomyśl, Harkavy, pomyśl...

– Dziękuję – wyszeptał ponownie Harkavy i wyszedł, powłócząc trochę nogami. Wystawa zapchana była męczennicami; wszystkie właśnie kwitły, szeleszcząc delikatnie szkarłatnymi płatkami w tajemniczo pachnących cieniach.

Dzień. Dwa dni. Tydzień: siedem dni. Siódmego dnia Harkavy wrócił. Wyglądał, jakby miał za sobą nieprzespaną noc; garnitur, stary i wygnieciony, wisiał na nim niczym na zbyt chudym manekinie. Na twarzy miał ową spokojną szarość, przywodzącą na myśl szarość olbrzymiego głazu utrzymywanego w równowadze przez jeden tylko malutki kamyczek.

– Philip! – wykrzyknął Stone, wychodząc mu naprzeciw z szeroko rozłożonymi ramionami. Kędziory jego czarnej, falującej brody błyszczały wśród fałd obszernej peleryny. – Wróciłeś!

– Stone – powiedział spokojnie Harkavy. Stone chwycił go w objęcia i ucałował w obydwa policzki, pozostawiając zapach kadzidła i oleistych wonności. Wnętrze sklepu migotało niczym szkatułka z brylantami, powietrze było ciężkie od zapachu męczennic i czegoś nieuchwytnego, co było zarazem miękkie i obiecujące.

– Jedno pytanie, Stone – powiedział beznamiętnym tonem Harkavy. – Jedno, ostatnie pytanie.

– Oczywiście! – zagrzmiał Stone. Jego czarne oczy błyszczały niesamowicie.

– Czy nie potrzebujemy umowy?

– Teraz już nie, jesteś przecież stałym klientem. Teraz już nie...

Powiał aromatyczny podmuch.

– Rozumiem, o co chodzi w tym wyjaśnieniu o metafobii – zaczął powoli mówić Harkavy. – Wszystko się zgadza. Tęsknota za porządkiem... zrozumieniem... to się w ciebie wżera coraz głębiej i głębiej...

– Philip, pytanie! Pytanie!

– Wyjaśnij mi... Chciałbym, żeby mi wyjaśniono...

– Tak? T a k ?

– Chcę, by mi wyjaśniono istnienie firmy „Wyjaśnienia"; dlaczego znalazła się przy Frazier Street?

– Ach! – zawołał Stone i rozrzucił ramiona w podniosłym, błogosławiącym geście. – A więc jednak! Więc jednak!

I w tej samej chwili ściany rozbłysły finezyjnymi, wyszukanymi wzorami starodawnych ornamentów, a dzwony świątyni biły, biły i biły bez końca...

No, co to ma być? – parsknął pogardliwie młody mężczyzna. – Jeszcze jedna pułapka na turystów? – Zabrał się do czytania wywieszki na ścianie. – Czy mały, miejscowy szwindelek? Co tam macie na zapleczu, kryształową kulę dla ogłupiania prostaczków?

– Ależ skąd – odparł spokojnie Harkavy.

Wykonał niedostrzegalny ruch dłonią i ze szczeliny w kontuarze wyłonił się arkusz papieru.

Przełożył Arkadiusz Nakoniecznik

Kończyła się już noc. Napełniałam butelki keczupem i słuchałam radia, które Charlie powiesił na ścianie, kiedy otworzyły się drzwi i do środka wszedł jeden z nich. Od razu wiedziałam, że to jeden z nich – nie można się pomylić – nawet gdy ma na sobie dobrze skrojony garnitur i taki kapelusz jak Humphrey Bogart nosił w „Casablance". Ale nie było z nim nikogo, żadnego profesora uniwersyteckiego, przedstawiciela władz, czy choćby jakiegoś studenta. Był zupełnie sam. A od nas jest daleko do autostrady, którą można dojechać do uniwersytetu.

Stał w drzwiach, trochę mrugając, a krople deszczu kapały mu z kapelusza. Kathy, która powinna była za ladą czyścić ekspres do kawy, zamarła, jak zamieniona w słup soli, gapiąc się, z jedną ręką, w której trzymała jeszcze zużyty filtr, zawieszoną w powietrzu, jakby już nigdy więcej nie miała się poruszyć. Właśnie w tym momencie Charlie krzyknął z kuchni:

– Hej, Kathy, zapytaj się, może jest ktoś, kto kiedyś wygrał tripleta? – Nawet mu nie odpowiedziała, tylko nadal gapiła się z rozdziawioną buzią, jakby chciała krzyknąć, ale zapomniała, jak to się robi.

Przy narożnym stoliku siedziało starsze małżeństwo – jedyni pozostali z całego tłumu, który zjawił się tutaj po

mnie to tak nie działa. Sądziłam, że w Wietnamie zdarzało mu się widzieć gorsze rzeczy. W każdym razie mówi tak, jakby je widział, wciąż gada i gada i nawet czasami mu wierzymy.

– Kawa? – zapytałam.

Zrobił oczami jakiś ruch. Nie umiem powiedzieć, co mogło to oznaczać, ale grzecznie odpowiedział:

– Nie, dziękuję. Nie mogę pić kawy.

Pomyślałam, że to dobrze, bo nagle przypomniałam sobie, że Kathy wyjęła już filtr. Wtedy powiedział:

– Czy mogę prosić o sałatę? Bez sosu.

Krople deszczu wciąż spadały mu z kapelusza. Ludzie, którzy się nim zajmowali, nigdy mu widocznie nie powiedzieli, że w restauracji powinno się zdjąć kapelusz. Rozbawiło mnie to i ośmieliło.

– Sałata nie jest świeża, proszę pana – odpowiedziałam trochę po to, żeby sprawdzić, co na to powie. A poza tym była to prawda – sałata została jeszcze od wczoraj. Ale on odezwał się, jakbym powiedziała coś zupełnie innego.

– Jak się nazywasz? – zapytał i to tak grzecznie i miło, że wiedziałam, że pyta, bo jest ciekawy. Nie była to żadna zaczepka. A poza tym, po co miałby mnie zaczepiać, niebieski i z takimi rękami? No, ale nigdy nic nie wiadomo.

Nancy Kress

WŚRÓD WSZYSTKICH TYCH JASNYCH GWIAZD

(Out of all them Bright Stars)

zakończeniu seansu w kinie. Oni też zamarli nad swoim ciastem z kremem czekoladowym i też się gapili. Kathy zamknęła usta, otworzyła je znowu i wydała dźwięk brzmiący jak:

– Bbb...łee.

No, to mi się nie spodobało. Może chciała powiedzieć „błe", a może nie, ale przecież on ciągle jeszcze stał w drzwiach, a małe krople deszczu wciąż kapały z jego kapelusza, a my gapiliśmy się, jakby był manekinem, a nie klientem. Więc pomyślałam, że to nie jest w porządku, bo on może się czuć przez nas nieswojo. Nie chciałabym, żeby Kathy gapiła się tak na m n i e. Wytarłam ręce ręcznikiem i podeszłam do niego.

– Czym mogę służyć? – zapytałam.

– Proszę o stolik dla jednej osoby – odpowiedział. Myślałby kto, że Charlie prowadzi jakąś miłą restauracyjkę w centrum. Widocznie najczęściej zabierano go do takich właśnie miejsc.

Nawiasem mówiąc miał bardzo miły głos. Wyczuwało się obcy akcent, ale nie aż taki, jaki wynosi się z niektórych uniwersytetów. Bardzo dobrze go rozumiałam.

Zaprowadziłam go do stolika w kącie, naprzeciwko tej starszej pary, która przychodzi tu co piątek, ale nigdy jeszcze nie zostawiła napiwku.

Wolno usiadł. Zauważyłam, że ręce trzyma na kolanach, ale nie umiałam powiedzieć, czy dlatego, że nie wie, co z nimi zrobić, czy może myśli, że nie będę chciała na nie patrzeć. Ale widziałam ich zbliżenie w telewizji i nie wydają mi się tak obrzydliwe jak niektórym. Charlie mówi, że na ich widok robi mu się niedobrze, ale na

– Sally – odpowiedziałam. – Sally Gourley.

– Ja jestem John – przedstawił się i znowu zrobił jakiś ruch oczami. Nagle rozśmieszyło mnie to. „John" – dla takiego niebieskiego gościa! Więc roześmiałam się, ale zaraz zrobiło mi się przykro, jakbym mogła zranić jego uczucia albo coś w tym stylu. Skąd można wiedzieć?

– Przepraszam – powiedziałam, a on zdjął kapelusz. Robił to wolno, jakby zdejmowanie kapelusza było czymś ważnym i coś oznaczało, ale odsłonił tylko łysą, niebieską głowę, to wszystko, nic obrzydliwego, jak w przypadku rąk.

– Nie masz za co przepraszać – powiedział. – Mam oczywiście też inne imię, w moim języku.

– Jakie? – zapytałam, raptem bardzo odważna, bo wyobraziłam sobie, jak opowiadam to wszystko mojej siostrze, Mary Ellen, a ona słucha z zapartym tchem.

John wydał jakiś głos, a ja poczułam, że teraz i ja rozdziawiam buzię ze zdziwienia, bo to co usłyszałam nie było słowem, lecz pięknym dźwiękiem – jak krzyk ptaka, tylko smutniejszym. Po prostu nie spodziewałam się tak pięknego głosu tutaj, w jadłodajni Charlie'ego. Zdziwiło mnie, że wydała go ta łysa, niebieska głowa. Zdziwienie – to wszystko, co poczułam.

Milczałam. John popatrzył na mnie i odezwał się:

– To coś oznacza i może być przetłumaczone... – nie dokończył, bo w tym momencie z kuchni wypadł Charlie, z Kathy tuż za jego plecami. Nadal trzymał program gonitw końskich, przepychał się pomiędzy stolikami i był cały czerwony i wściekły. W tym samym momencie zobaczyłam wymykającą się z lokalu tę starszą parę. Na ich

stoliku zostało tylko na wpół zjedzone ciasto z kremem czekoladowym. Uświadomiłam sobie, że nie zapłacili rachunku, ale zanim zdążyłam ich zatrzymać, Charlie złapał mnie za ramię i tak mocno ścisnął, że jego paznokcie aż wbiły mi się w skórę.

– Cóż ty u diabła wyrabiasz? – zapytał mnie. Na Johna w ogóle nie spojrzał, za to Kathy nie mogła przestać się gapić i stała, zakrywając sobie dłonią usta.

Wyszarpnęłam ramię i zaczęłam pocierać bolące miejsce. Widziałam raz, jak Charlie pchnął swoją żonę tak mocno, że upadła i rozcięła sobie głowę. Założyli jej cztery szwy. I to ja musiałam ją zawieźć na pogotowie.

Charlie powtórzył:

– Cóż ty u diabła wyrabiasz?

– Obsługuję mój stolik. On prosi o porcję sałaty. Dużą.

Nie mogłam sobie przypomnieć, czy John zamawiał dużą czy małą porcję, ale wydawało mi się, że większe zamówienie wprowadzi Charlie'ego w lepszy nastrój. Ale Charlie nie chciał być w dobrym humorze.

– Zrób coś, żeby on się stąd wyniósł – wysyczał. Nadal nie patrzył na Johna. – Słyszysz mnie, Sally? On ma się stąd wynieść! Przepisy każą mi obsługiwać Cyganów i czarnuchów, ale nie mówią, że muszę obsługiwać coś takiego!

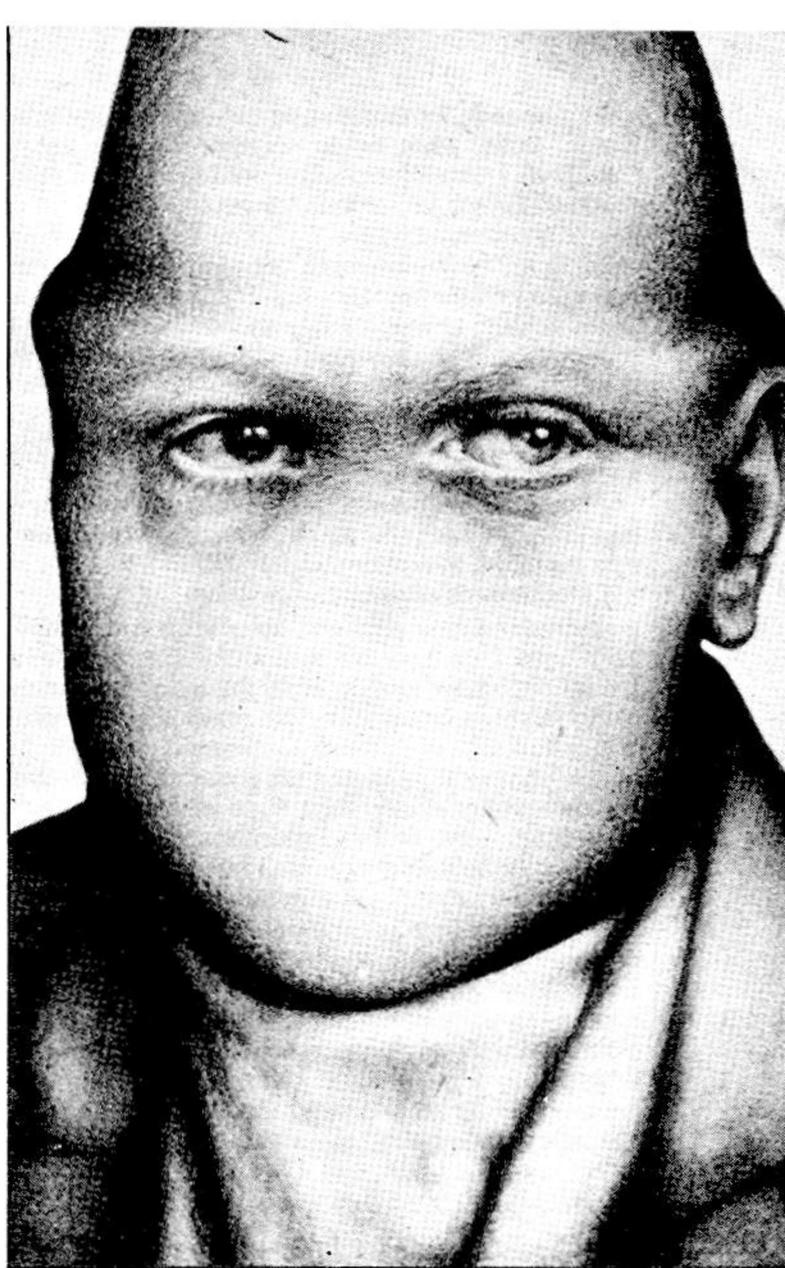
Spojrzałam na Johna. Stał oparty o stolik i wkładał na głowę kapelusz. Nie mógł przejść tylko dlatego, że oboje z Charlie'm staliśmy mu na drodze. Spodziewałam się, że będzie rozgniewany albo smutny, ale poza tym, że mięśnie jego twarzy ułożyły się jakoś inaczej, jej wyraz się nie zmienił. Ale wyobraziłam sobie, że czuje się okropnie i zupełnie nagle szlag mnie trafił na Charlie'ego, który jest tchórzem i umie się znęcać tylko nad słabszymi, a uczuć ma w sobie tyle, co wiadro z pomyjami. Otworzyłam usta, żeby mu to powiedzieć, a przy okazji chciałam dołożyć z jedną czy dwie rzeczy, które już od dawna czekały na podobną okazję, gdy nagle otworzyły się drzwi i wpadło przez nie czterech facetów i niech ja skonam, każdy z nich miał na głowie taki kapelusz jak Humphrey Bogart w „Casablance". Gdy pierwszy z nich spostrzegł Johna, ruszył w naszą stronę, już nieco wolniej, ale bardziej zdecydowanie. Kiedy odezwał się, brzmiało to, jakby mówił spiker z dziennika telewizyjnego.

Zrozumiałam, że ta scena należy już do niego, wróciłam więc do moich butelek z keczupem. Nadal jednak cała się trzęsłam na wspomnienie tego, jak Charlie mnie potraktował i że ta głupia gęś Kathy musiała pognać po niego do kuchni. Zawsze była i będzie idiotką.

Charlie naburmuszył się i kiwał głową. Im bardziej był ponury, tym grzeczniej zwracał się do niego facet w kapeluszu à la Humphrey Bogart. Wreszcie Charlie wyniósł się do kuchni, a czterech mężczyzn ruszyło w stronę wyjścia, prowadząc Johna między sobą. Mając obok siebie prawdziwych ludzi, wyglądał teraz bardziej obco i zauważyłam, jak płaska jest jego twarz. Gdy mijali stolik z moimi butelkami, John podszedł do mnie.

– Przepraszam cię, Sally Gourley – powiedział. A potem dodał: – Rzadko mam szansę okazać swoje przyjazne uczucia zwykłym Ziemianom. Jestem tak mało ważny.

No, to mnie rąbnęło! Miał taki smutny głos, a poza tym nigdy nie myślałam o sobie, jako o zwykłym mieszkańcu Ziemi. Kto by myślał? Więc wzruszyłam tylko ramionami i dalej wycierałam butelkę. Ale wtedy John zrobił coś niesamowitego. Dotknął mojego ramienia w tym miejscu, w którym Charlie je ścisnął. Po prostu dotknął tymi swymi dłońmi. Nie były, jak można by przypuszczać pokryte śluzem, tylko suche i chłodne i wcale nie podskoczyłam ani nic takiego. Zamiast tego przypomniał mi się ten piękny dźwięk, który był jego imieniem. Potem odwrócił się i wyszedł, a z nim trzech mężczyzn. Drzwi zatrzasnęły się popchnięte podmuchem wiatru. Charlie nigdy chyba nie zreperuje sprężyny, zerwanej na wiosnę przez huśtające się na drzwiach dzieciaki.


Jan Szot

Czwarty z mężczyzn został i zaczął mi zadawać pytania w rodzaju: „Co powiedział do pani obcy?" i „Co pani mu na to odpowiedziała?" Gdy dowiedział się już wszystkiego, zaczął po raz drugi zadawać te same pytania, jakby mi nie uwierzył za pierwszym razem i to wcale mi się nie podobało. Poza tym mówił przez nos, jakby miał katar i widziałam, jak podnosił ze zdziwieniem brwi, gdy mówiłam o Johnie jak o człowieku. Mogę nie rozumieć, co znaczą ruchy mięśni twarzy Johna, ale wiem na pewno bardzo dobrze, co znaczy takie podniesienie brwi. Przestałam więc odpowiadać na te pytania, a on szybko wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

Skończyłam napełnianie butelek keczupem i musztardą, a Kathy skończyła czyścić ekspres do kawy. Z radia płynęła jakaś muzyka instrumentalna, bez słów, bardzo smutna. Zaczęłyśmy zmywać stoliki, a ponieważ obie robiłyśmy to samo i poza nami nie było nikogo, wreszcie odezwałam się.

– To zabawne.

– Co jest zabawne? – zapytała.

– Charlie od razu powiedział o tym obcym „on". Nie będę go obsługiwał – tak powiedział. A ja, zanim nie dowiedziałam się, jak ma na imię, nie myślałam o nim w ten sposób. Ale to właśnie Charlie chciał go wyrzucić.

Kathy uderzyła ręką o krawędź stołu.

– I miał rację. Przeraziłam się potwornie, kiedy to tu weszło. Tutaj, gdzie ludzie przychodzą, żeby jeść – chrząknęła i rozpyliła środek dezynfekujący.

No tak, ale ona jest idiotką. Zawsze taka była.

– „The National Enquirer" – ciągnęła dalej – pisał, ile oni mają siły uderzeniowej na tych swoich statkach, które jeszcze nie wylądowały na Ziemi. Mój mąż twierdzi, że są tak potężni, że mogliby nas wysadzić w powietrze i rozerwałoby nas na kawałeczki. Nie mam pojęcia po co tu przylecieli. My ich nie chcemy. Nie wiem po co do nas przybyli.

– Chcieliby coś dla nas znaczyć – wtrąciłam, ale ona nie słuchając ciągnęła dalej:

– Pentagón ich powstrzyma. Choćby mieli Bóg wie jaką broń, Pentagon i tak nie da im się tutaj wcisnąć. Mój mąż tak mówi. Niebieskie świnie!

– Mogłabyś się zamknąć? – zapytałam.

Spojrzała na mnie złym wzrokiem. Miałam to w nosie. To wszystko nic mnie nie obchodziło. Stojąc z butelką środka dezynfekującego w ręce, patrząc przez ciemne okna i słuchając muzyki bez słów, przypomniałam sobie jego dotknięcie, takie delikatne i chłodne. I myślałam, że oni nie przyjechali tutaj, żeby nas wysadzić w powietrze. Po prostu w to nie wierzyłam. Po co więc przybyli? Czy po to przemierzyli drogę od jakiejś innej gwiazdy, żeby przyjść do jadłodajni Charlie'ego i zamówić zieloną sałatę bez sosu u zwyczajnego mieszkańca Ziemi?

Charlie wszedł trzymając w ręce klucze od kasy. Przypomniałam sobie parę, która mi uciekła i zaklęłam pod nosem. Niby tylko ciasto i kawa, ale muszę zapłacić za to z własnych pieniędzy. Radio pod sufitem grało znowu coś innego. Nie było to już takie smutne, ale też nie wesołe. To była piosenka o miłości, o facecie, porządnym facecie, który bardzo kochał pewną dziewczynę, a ona robiła go ciągle w konia. Wcale mi się to nie podobało.

– Charlie – odezwałam się – co oni ci mówili?

Podniósł głowę znad kasy i popatrzył na mnie niechętnie.

– A co cię to obchodzi?

– Chciałabym po prostu wiedzieć.

– A może ja nie chcę, żebyś wiedziała – odpowiedział i niemiło się uśmiechnął. To, że go zapytałam, wprawiło go w lepszy humor. Poczuł, że ma przewagę. Nagle przypomniałam sobie, co powiedziała jego żona, gdy zakładali jej szwy: ‚Jeżeli chcę coś wyciągnąć z Charlie'ego, to jedynym sposobem jest pozwolić mu poznęcać się trochę nade mną. I kiedy on widzi, że jest mi źle, mogę go poprosić. Da mi wszystko, kiedy myśli, że jestem na dnie. Ale jak sądzi, że jestem górą – nic mi nie da".

Skończyłam sprzątać w całkowitym milczeniu. Charlie przeklinał obliczając zarobek – sama po napiwkach wiedziałam, że nie było tego dużo. Kathy poprawiała włosy przed wiszącym nad ladą lustrem, w którym odbijały się orzeszki i ciasta, a ja rozkładałam menu na śniadanie. Ale przez cały czas rozmyślałam i nie powiem, żeby te myśli specjalnie mi się podobały.

Wyszliśmy i Charlie zamknął lokal. Przestało już padać, ale nadal było mgliście i jakoś delikatnie, bardzo ładnie, tylko zbyt zimno. Włożyłam sweter, a kiedy dochodziliśmy do parkingu i Kathy już sobie poszła, zaczęłam:

– Charlie...

Zatrzymał się obok swojej ciężarówki.

– No?

Oblizałam wargi. Nagle poczułam, że są bardzo suche. To miał być rodzaj eksperymentu, to co zamierzałam powiedzieć. Tylko taka próba.

– Charlie, a co by się stało, gdyby ci faceci nie weszli w tamtym momencie i ten... ten niebieski nie chciałby wyjść. Co byś zrobił?

– Co cię to obchodzi?

Wzruszyłam ramionami.

– Nie obchodzi mnie. Po prostu jestem ciekawa. Ostatecznie to jest twój lokal.

– A żebyś wiedziała, że mój! – Mimo mgły widziałam, że jest zły. – Tak by dostał, że by popamiętał!

– A co potem? Jakbyś mu już przylał, przyszliby ci faceci i zrobiłoby się piekło.

– Byłoby kiepsko. Ale przyszliby za późno, no nie?

Roześmiał się, a ja już wiedziałam, jak on to widzi: niebieski gość krwawiący na linoleum, a Charlie stoi nad nim i otrzepuje ręce. Znowu się roześmiał i podszedł pogwizdując do ciężarówki. Szedł lekkim krokiem. Ciągle widział tę scenę, tak jakby się naprawdę wydarzyła. Zawołał do mnie przez ramię:

– To chuderlaki. Są zbudowani jak dziewczyny. Same kości, żadnych mięśni. Nawet ty musiałaś to zauważyć.

Teraz już jego głos był pogodny. Nie było w nim gniewu. Słyszałam jak pogwizduje, potem motor zaskoczył i Charlie wyrwał z parkingu, ruszając z piskiem opon, jak jakiś szczeniak.

Otworzyłam mojego Chevy. Ale jeszcze wcześniej spojrzałam w niebo, co było naprawdę głupie, bo oczywiście nic nie mogłam zobaczyć przy takiej mgle i chmurach. Żadnych gwiazd.

Może mąż Kathy ma rację. Może jednak chcą nas rozwalić na kawałeczki. Ja tak nie myślę, ale czy to ważne, do diabła, co ja myślę? I zupełnie nagle poczułam wściekłość na Johna, taką wściekłość, jakiej jeszcze nie czułam nigdy w życiu.

Dlaczego zjawił się tutaj taki grzeczny i z tymi ptasimi krzykami? Dlaczego nie polecieli sobie gdzie indziej? Jest na pewno cała masa innych miejsc wśród wszystkich tych jasnych gwiazd, świecących w górze, za chmurami, do których mogli polecieć. Nie musieli przecież przychodzić tu, gdzie ja muszę pracować, a to znaczy, że muszę znosić Charlie'ego. Wiem, że on jest brutalem, który potrafi się znęcać tylko nad słabszymi, ale patrząc na niego chcę widzieć tylko takiego brutala. Nic poza tym. To jest wszystko, co chcę widzieć w Charlie'm i w tych wszystkich facetach noszących kapelusze w stylu Humphreya Bogarta – małe gnojki, nic specjalnego, ani obraz i podobieństwo kogoś tam, ani przyszłość czegoś tam. Po prostu Charlie. I to wszystko. Nie będę widzieć nic więcej.

Nie będę.

Powiedział, że on jest mało ważny.

No jasne. Pewnie.

Przełożyła **Dorota Malinowska**

Nancy KRESS

Młoda autorka amerykańska, nie była dotąd tłumaczona w Polsce. Z prawdziwą przyjemnością przedstawiamy ją – od razu opowiadaniem, które zdobyło Nebulę za rok 1985. W odpowiedzi na nasz list Nancy Kress napisała:

Jestem zachwycona, że chcecie zamieścić moje opowiadanie w „Fantastyce". Mimo że pewnie nie przyjadę do Polski wydać moje złotówki, okazja, żeby moje opowiadanie przeczytali nowi Czytelnicy, jest dla mnie bardzo ważna i czuję się zaszczycona drukiem w waszym piśmie.

Prosiliście o krótką notę biograficzną. Wydałam cztery książki: trzy powieści fantasy i tom opowiadań pod tytułem „Trinity and other stories". Moja pierwsza powieść science fiction „An Alien Light" (Obce światło) ukaże się w roku 1986. Jedno z moich opowiadań „Ze wszystkich tych jasnych gwiazd" zdobyło ostatnio nagrodę Nebula, przyznawaną przez organizację Science Fiction Writers of America. Kiedy nie piszę science fiction, zajmuję się dwójką swoich synów i piszę teksty dla agencji reklamowej.

L. J.

Odwrócił się na pięcie i ujrzał falę dzikiej paniki przelewającą się po placu. Kupujący, sprzedający i kuglarze rozpierzchli się we wszystkie strony przewracając kramy, rozrzucając towary, depcząc w tłoku starców i dzieci. Hao Sen nie ruszał się z miejsca czekając, aż powróci jaki taki porządek, który pozwoli mu zorientować się w sytuacji.

Gdy zobaczył, co się dzieje, przeszedł go dreszcz zgrozy. Smok nie był już zrezygnowany i uległy. Był teraz wcieleniem zemsty. Stał trzema łapami zbrojnymi w ostre szpony na trupie swego niedawnego pana, czwartą szarpiąc jego twarz i obracając ją w krwawą miazgę.

Zmęczył się w końcu tą zabawą i zaczął wodzić żółtymi ślepiami po wielkim placu. Hao Sen spodziewał się, że zacznie pożerać zwłoki, bo z całą pewnością, aby go osłabić, właściciel skąpił mu pożywienia. Bestia nie opuściła jednak łba, by przystąpić do krwawej uczty i Hao Sen poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła, bo w tym momencie zauważył, że poza nim, na placu nie było już nikogo.

Nie mógł uciec. Zbyt długo zwlekał. Teraz najmniejszy ruch ściągnąłby nań uwagę smoka, a coś mu mówiło, że bez względu na to, jak szybko będzie uciekał, bestia i tak go dogoni. Jak grom z jasnego nieba spadło nań zrozumienie, dlaczego kazano mu zostawić wielbłądzicę poza placem. O jeden raz za dużo użył swego ulubionego fortelu, a przeciwnik, z którym miał do czynienia, wykorzystał to przeciwko niemu.

Smok ruszył z miejsca i zaczął skradać się w jego kierunku. Nie mrugnął nawet powieką, a jego ślepia jarzyły się jasno jak węgle z kosza, który przed chwilą przewrócił. Hao Sen rozejrzał się gorączkowo w poszukiwaniu jakiejś broni. Obok siebie dostrzegł złamany maszt namiotu i skoczył, żeby go pochwycić. W tym samym momencie smok zaatakował.

Cisnął masztem jak oszczepem i padł na brzuch. Nie tyle celność rzutu, co szczęśliwy przypadek sprawił, że ostre drzewce trafiło w sam środek osłabionej pleśnią grupy łusek. Ledwie zarysowało wstrętny nalot, ale zwierzę zawyło z bólu. Okręcił się wokół własnej osi i ponowił atak.

Za pierwszym razem Hao Sen uskoczył w bok i dobył miecza. Za drugim razem nie zdążył z unikiem, bestia chytrze machnęła ogonem trafiając go w ramię i ten cios powalił Hao Sena na ziemię.

Smok wylądował teraz wśród zwojów lin w kramie powroźnika i był w nie wystarczająco długo wplątany, żeby Hao Sen zdążył obmyśleć taktykę przyjęcia następnego ataku. Tym razem, zamiast odskakiwać na boki, rzucił się w tył unosząc jednocześnie miecz i wykonując nim pchnięcie w przód, przed siebie. Klinga zatonęła w podbrzuszu smoka.

Siła, z jaką wyrwało mu z dłoni rękojeść, omal nie zwichnęła mu nadgarstka, a wstrząs zderzenia z bestią ogłuszył go tak, jakby uderzył głową o bruk. Smok wierzgał w agonii zadnimi, szponiastymi łapami i potrójna linia bólu powiedziała Hao Senowi, gdzie rozszarpały one jego skórę.

Wkładając w to całą swoją siłę, obutą stopą wymierzył bestii kopniaka w nasadę ogona. Sprawiło to smokowi tak wielki ból, że zapomniał na chwilę o Hao Senie. Zgiął się we dwoje wsuwając łeb pod siebie i usiłując wyrwać zębami miecz tkwiący w jego brzuchu. Po rękojeści spływała wolno ciemna posoka.

Hao Sen potoczył się po ziemi na bezpieczną odległość. Pomyślał o wyłupieniu smokowi ślepi, ale oczodoły osłonięte były kościanymi grzebieniami, prędzej straciłby przy tym palce. Rozpaczliwie szukał wokół siebie broni, która zastąpiłaby mu utracony miecz, nie dostrzegł jednak niczego. Smok poniechał daremnych prób wyciągnięcia miecza, ryknął i znowu skoczył.

Natarł kulejąc, bo ostrze tkwiące w jego brzuchu osłabiło jedną z zadnich łap. Niemniej jednak, ciężki ogon bestii wygiął się łukiem w kierunku głowy Hao Sena grożąc ogłuszającym ciosem. Dysząc z wysiłku, Hao Sen pochwycił mijający go ogon w obie ręce i zaczął obracać się w koło.

Przez jedną fantastyczną sekundę wydawało mu się, że smok usiłuje wspiąć się po własnym ogonie, żeby go dosięgnąć. Potem ciężar zmalał i ustąpił sile skierowanej na zewnątrz. Cztery obroty, pięć – targowisko wirowało przyprawiając go o zawroty głowy. Krew smoka rozpryskiwała się coraz szerszym kręgiem. Zwiększył jeszcze trochę swój wysiłek podrywając smoka w górę i w tym samym momencie puścił jego ogon.

Smok przeleciał ponad kramem powroźnika, ponad stosem monet na kramie wymieniacza pieniędzy i spadł z głową skręconą pod dziwnym kątem na najniższe stopnie schodów prowadzących do świątyni.

Hao Sen opuścił ręce i z trudem chwytał powietrze. Spojrzał na ścierwo smoka, a potem wyżej, na szczyt schodów i napotkał wzrok wysokiego mężczyzny, który stał tam opierając się na lasce i obserwował walkę.

I wtedy już wiedział.

Część druga

AGITAT

IX

Howson siedział zapatrzony w panoramę Ułan Bator i dziwił się jak bardzo stan tego miasta przypomina jego własny. Wyczuwał jego nastrój – przez resztę życia będzie bez przerwy wystawiony na kaprysy emocjonalnej pogody, na sumę nastrojów otaczających go, indywidualnych umysłów.

Zmieniający się model świata – transport, handel, środki łączności przyspieszył rozwój tego miasta i pchnął w nowoczesne czasy; były w nim teraz wysmukłe, białe wieże i szerokie aleje, przybywali tu podróżni ze wszystkich stron świata. Pośród zawieruchy zachodzących przemian, starszym ludziom nie pozostawało nic innego, jak tylko rozstrząsać czegoż to się doczekali i bez większego entuzjazmu tęsknić za przeszłością.

On też zaskoczony został odmianą losu, której nie chciał i był przekonany, że zaakceptuje ją tylko wtedy, gdy okaże się, iż pociąga ona za sobą inne zmiany – zmiany, których pragnął.

Nie chodziło tu o sposób, w jaki go traktowano. Zadawano sobie wiele trudu, żeby czuł się dobrze. Pomijając już nadzwyczaj dokładne badania lekarskie, jakim poddali go tutejsi specjaliści – a szpital w Ułan Bator był głównym centrum terapeutycznym Światowej Organizacji Zdrowia na obszar Azji i posiadał odpowiedni do swojej rangi personel. Załatwiono mu też takie pomniejsze luksusy, jak ten fotel, w którym teraz siedział. Został on zaprojektowany i wykonany specjalnie dla niego – Geralda Howsona – był mniejszy niż normalne fotele i miał kształt wiernie odpowiadający jego deformacjom. Specjalnie dla niego zaprojektowano też łóżko i wyposażenie przylegającej do pokoju łazienki oraz wiele, wiele innych rzeczy.

Ale nie sprawiało mu to radości. Niczym się właściwie nie różniło od korzystania z pomocy przy wsiadaniu do autobusu, od nienawistnego przypominania mu o jego ułomności.

Rozległo się pukanie do drzwi. Automatycznie skierował swą uwagę na gościa – nie, na gości. Jak dotąd nie przeszedł żadnego formalnego szkolenia w wykorzystywaniu swojego talentu, ale w skład stałego personelu szpitala wchodzili również telepaci i samo przebywanie w ich pobliżu wpłynęło korzystnie na jego umiejętności kontrolowania swego umysłu i zwiększyło jego wrażliwość. Nie mógł nie podziwiać tych ludzi – jak zresztą wszyscy. Ale jak dotąd nie dowiedział się o nich niczego takiego, co pogodziłoby go z faktem, że jest tym, czym oni nie byli – karłem i w dodatku zdeformowanym.

– Tak, proszę wejść – powiedział znużonym tonem zarówno na głos, jak i telepatycznie.

Pierwszy wszedł Pandit Singh. Był to dobrze zbudowany mężczyzna z zadatkami na otyłość, o gładko przyczesanej brodzie i bystrych, jasnych oczach. Sprawował funkcję ordynatora terapii A – innymi słowy odpowiadał za leczenie wszystkich przypadków związanych z neurologią i psychologią. Ludzie,

nie wyłączając Howsona, lubili go. Gerald znajdował się nadal pod wrażeniem faktu, że współczucie tego człowieka było zawsze zabarwione zdecydowaną chęcią uczynienia wszystkiego, co tylko możliwe, żeby mu pomóc. Współczucie większości ludzi zaprawione było ulgą, że nie im się to przytrafiło.

Wraz z Singhiem do pokoju weszli Danny Waldemar i jeden z neurologów – kobieta nazwiskiem Christine Bakwa, którą Howson poznał już wcześniej, w jednym z wielu gabinetów zabiegowych jakie odwiedził. Nie udawało się jej utrzymywać w ryzach swoich zwerbalizowanych myśli najłatwiej dostępnych dla przypadkowego, telepatycznego „spojrzenia" i zanim jeszcze przekroczyła próg, Howson dowiedział się od niej niemal wszystkiego, co Singh miał mu do powiedzenia.

Mimo to wykonał uprzejmy gest zapraszając ich, żeby usiedli i odwrócił się na swoim fotelu przodem do Singha.

– Dzień dobry, Gerry – przywitał go Singh. – Słyszałem, że odwiedziła cię twoja przyjaciółka. Jak się czuje? Chciałem zamienić z nią parę słów, ale byłem zbyt zajęty.

– Coraz lepiej – odparł Howson. I tak było w istocie. Zaczynała się już przyzwyczajać do impulsów wysyłanych przez cewki drgające, które zainstalowali jej w uszach chirurdzy oraz do bioaktywizowanych, plastykowych strun głosowych, którymi zastąpiono jej własne. Obiecywano, że po przejściu przeszkolenia będzie dysponowała melodyjnym, choć może lekko zacinającym się głosem. Howson stłumił w sobie zazdrość na wspomnienie jej dziecinnej radości i zadał pytanie, na które odpowiedź właściwie już znał.

– A co ze mną?

Singh nie odwrócił wzroku.

– Wiesz, że mam dla ciebie złe nowiny – powiedział. – To wykluczone, żebym mógł ukryć je przed tobą.

– Słucham – powiedział zacinając się Howson.

– Dobrze – Singh westchnął. Dał znak Christine Bakwa i ta wręczyła mu plik dokumentów z teczki, którą przyniosła. Biorąc leżący na wierzchu arkusz, Singh ciągnął dalej.

– Na początek, Gerry musisz wiedzieć, że istnieje problem związany z twoim dziadkiem – ojcem twojej matki.

– Zmarł na długo przed moim urodzeniem – mruknął Howson.

– Wiem o tym. Czy mówiono ci kiedykolwiek, dlaczego umarł tak młodo?

Howson pokręcił głową.

– Wyczuwałem chyba, że moja matka nie lubi o tym mówić i nigdy nie poruszała tego tematu.

– Tak, musiała o tym wiedzieć. Cierpiał na hemofilię, to znaczy był człowiekiem, którego organizm nie wytwarza enzymu trombiny, powodującego krzepnięcie krwi. Nie powinien był mieć dzieci. Ale miał je i odziedziczyłeś tę chorobę.

– Mówiłem ci o tym – wtrącił Danny Waldemar – kiedy zabieraliśmy cię na pokład helikoptera, pamiętasz? Powiedziałem wtedy, że zaaplikowaliśmy ci protrombinę, która jest sztucznym preparatem wywołującym krzepliwość krwi. Twoje skaleczenia i blizny zawsze długo się goiły, prawda? Poważny krwotok – na przykład z nosa – najprawdopodobniej uwięziłby cię na długie miesiące w szpitalu, a niewykluczone, że doprowadziłby do twojej śmierci.

– *Naprawdę?* – Howson zadał to sarkastyczne pytanie na poziomie telepatycznym, ale zawierało ono w sobie tyle goryczy, że Waldemar odruchowo wzdrygnął się.

– No i co z tego? – spytał głośno Howson. – Protrombina mi pomaga. Moje rany szybko pokryły się strupami i zagoiły.

Singh i Waldemar wymienili spojrzenia. Zanim wielki Hindus zdążył się odezwać, Howson wiedział już, o czym myśli.

– Nie? – wyszeptał.

– Przykro mi, Gerry, ale nie. Te rany goiły się dwa razy dłużej niż powinny. I coś bardziej poważnego od tych zadrapań – dajmy na to, złamanie kości – prawdopodobnie nie wygoiłoby się nigdy. A jednak i w tym właśnie tkwi paradoks, właśnie dzięki temu jesteś najbardziej obiecującym telepatą-nowicjuszem, jaki znalazł się w kręgu naszych zainteresowań od czasów Ilsy Kronstadt. Pozwól, że ci to wyjaśnię.

odepchnął na bok, zatrzymał się dopiero w pierwszym rzędzie gapiów otaczających poskramiacza i jego bestię. Odległość między nimi a ludźmi była dosyć duża.

Nie dlatego, że smok był duży. Wyglądał na niemal zagłodzonego i osiągnął dopiero jakieś trzy czwarte swojej normalnej wielkości, co więcej jego łuski pokrywał jakiś grzybiczny nalot przypominający pleśń. Jednak niebezpieczne, długie na trzy cale kły błyskały bielą, gdy obnażał je groźnie i widać było, że są ostre. Poskramiacz, przysadzisty smagły mężczyzna, prawdopodobnie Cygan z południa, zmuszał go do przebierania nogami w parodii ospałego tańca, bodąc zwierzę zaostrzonym ankhem, który podgrzewał co chwila w koszu z rozżarzonymi węglami.

Hao Sen wzdrygnął się – nie na widok groźby w oczach bestii, która zwiastowała, że nie wytrzyma ona dłużej takiego traktowania, ale ze wstrętu, jakim napawały go oznaki trapiącej ją choroby.

Zastanawiał się jeszcze nad ukrytymi znaczeniami obserwowanej sytuacji, gdy usłyszał za sobą dźwięk trąb. Odwrócił się. Na plac wkraczał oddział wspaniale umundurowanych żołnierzy, za którymi posuwali się mężczyźni dźwigający na swych barkach palankin z kosztownego jedwabiu i szlachetnego drewna. Oficerowie przypomnieli wrzaskami o konieczności oddania Cesarzowi należnej mu czci i wszyscy obecni na placu zgięli się w pas przed obliczem władcy jak las powalony pojedynczym podmuchem wichury.

Kiedy pozwolono im się podnieść, Cesarz siedział już na tronie otoczony swoją świtą – mandarynami wystrojonymi w pawie pióra, osobistymi sługami z wachlarzami ozdobionymi symbolicznymi ornamentami oraz wysokimi oficerami swojej armii. Hao Sen przyglądał się im z zainteresowaniem. Niemal natychmiast jego uwagę przyciągnął wysoki mężczyzna we wspaniałych, jedwabnych szatach, stojący po prawej ręce Cesarza, w pewnym oddaleniu od reszty orszaku.

Wiedział podświadomie, że... tak powinno być. Zignorował ceremonię, która teraz nastąpiła – prezentację przewodnika karawany oraz towarów wybranych dla Cesarza – i przyglądał się badawczo wysokiemu mężczyźnie. Nie dostrzegał wyraźnego podobieństwa, ale tego nie można było uznać za wystarczający powód. Zważywszy, że obecny kształt jego ciała...

Odrzucił tę myśl z niemal fizycznym wzdrygnięciem i zaczął się zastanawiać, czy nie jest jeszcze za wcześnie na ściąganie na siebie uwagi. Z jednej strony, dokładność szczegółów była oznaką podejmowania środków ostrożności, z drugiej, sugerowała wyjątkowo dobre panowanie nad osobowościami wtórnymi. Przybył w wybranym przez siebie samego przebraniu i jak dotąd nie natknął się na jakąkolwiek oznakę tego, że jego obecność wzbudza czyjeś podejrzenia...

Uporządkował myśli i zaczął przepychać się przez tłum do pierwszych rzędów tych, którzy zapomnieli o atrakcjach oferowanych przez kuglarzy i szarlatanów dla przywileju popatrzenia z bliska na Cesarza Państwa Niebieskiego. Cesarz zakończył już oglądanie towarów przewodnika karawany i opadł na oparcie tronu rozglądając się ciekawie dookoła. Nie minęło kilka chwil, kiedy dostrzegł Hao Sena i powiedział coś do przewodnika karawany.

– O tak, wiele mu zawdzięczamy, panie! – wykrzyknął przewodnik. – To on poprowadził naszą eskortę do ataku, kiedy napadli nas zbójcy.

– Niech wystąpi – powiedział lakonicznie Cesarz.

Oficer dał znak Hao Senowi i ten posłusznie podszedł do stóp schodów i padł na kolana i pokłonił się nisko. Zaraz potem odrzucił uniżoną postawę, wstał i stanął z dłonią na rękojeści miecza i z podniesioną głową.

Cesarz zlustrował go wzrokiem.

– Dobry wojownik – pochwalił. – Spytajcie go, czy nie zechciałby wstąpić w szeregi mojej armii.

– Panie Niebieski, twój uniżony sługa słyszał, że tej wiosny armia wyrusza w pole przeciw zbójcom. Jeżeli dostąpi on zaszczytu wzięcia udziału w tej wyprawie, będzie ci służył całym sercem!

– Dobrze – rzucił Cesarz. Jego wzrok zatrzymał się chwilę na muskularnej postaci Hao Sena. – Niech jeden z was zapisze jego imię – dodał. – Teraz nieście mnie z powrotem do pałacu.

Hao Sen podał swoje imię oficerowi, który do niego podszedł i opisał przebieg swojej dotychczasowej służby. Były to rutynowe środki ostrożności, rad był, że Cesarz okazał się tylko osobowością reflektywną.

Czyżby więc rzeczywistym władcą był ten wysoki mężczyzna trzymający się na uboczu? A może był nim ktoś inny, nie biorący udziału w tej scenie dramatu?

I ponownie odłożył decyzję na później.

*

Orszak cesarski opuścił już plac, kiedy nagle podniósł się wrzask:

– Smok! Smok!

Ziewnął szeroko i pogładził dłonią swą przyciętą w szpic brodę. Namacał rękojeść krótkiego, szerokiego miecza i ponaglił wielbłądzicę, aby szybciej znaleźć się za miejską bramą.

Mury były ogromne i mocne, tam i z powrotem snuły się po nich czarne, podobne do kukiełek sylwetki żołnierzy. Nad samą bramą wystawał na zewnątrz krużganek, na którym wisiał rząd tarcz noszących stylizowany, żółto-czarny emblemat tygrysa. Była to mądrze wybrana magiczna ochrona, miasto było imponujące i zasługiwało na nadane mu imię drugiego z najsilniejszych zwierząt na świecie. (Skąd to wiedział? Kto mu powiedział, że starożytni Chińczycy darzyli takim szacunkiem tygrysa? Zmarszczył na chwilę czoło, ale zastanawianie się nad tymi pytaniami musiał odłożyć na później).

Byli już wewnątrz murów i na ulice śmiejąc się, wymachując czym się dało, wyległa miejska gawiedź. Dziękując za serdeczne powitanie, na czele karawany wywijali dzikie kozły jacyś akrobaci. Hao Sen zaśmiał się grzmiąco na widok ich błazenad i łakomym wzrokiem mierzył mijane dziewczęta.

Oddziały straży miejskiej prowadziły karawanę i torowały jej drogę. Ostrożni kupcy zamykali swe kramy i śpieszyli na plac targowy, by ubijać tam interesy z przybyszami. Zapraszano do miejscowych tawern. Wszędzie roiło się niezliczone zbiorowisko najprzeróżniejszych typów ludzkich.

Przy akompaniamencie pokrzykiwań, huku petard, dźwięku brązowych gongów wjechali na wielkie targowisko. Hao Sen jechał stępa chłonąc zewsząd wszelkie możliwe informacje o swoim nowym otoczeniu.

Było ono stworzone z ogromną dbałością o szczegóły. To było... fantastyczne!

– Hej, ty! – wyrwał go z zadumy grzmiący bas. Zbliżał się doń wspaniały oficer straży miejskiej, w bogatej tunice zdobnej magicznymi barwami żółci i czerni. – Zsiadaj natychmiast! Nie wolno przejeżdżać przez targowisko na żadnym zwierzęciu.

Hao Sen stłumił przekleństwo, ale usłuchał rozkazu. Sytuacja była irytująca, nie śmiał jednak się przeciwstawić – było to o wiele za wcześnie na ściąganie na siebie uwagi. Gwiezdny Promień wyraził swoją opinię ironicznym wygięciem górnej wargi, co uchodziło wśród wielbłądów za pokazanie języka i Hao Sen widząc to, nie potrafił opanować uśmiechu.

Oficer wskazał ulicę, którą nadjechali.

– Znajdziesz tam tawernę, a przy niej stajnię. Na twoim miejscu pospieszyłbym się, bo zajmą ci wszystkie miejsca.

*

Wkrótce potem, już pieszo, z mieczem w skórzanej pochwie obijającym mu się o biodro, powrócił na targowisko. Wzdłuż trzech boków placu rozłożono towary przywiezione przez karawanę, a na środku, jak spod ziemi, wyrosły stragany. Cyrulicy namawiali natarczywie przechodniów do przystrzyżenia włosów oraz oczyszczenia nosów i uszu, kuglarze, żonglerzy i akrobaci popisywali się swoimi sztuczkami, grajkowie zajęli miejsca na prowizorycznym podwyższeniu i zaintonowali zawodzącą pieśń przy akompaniamencie harf. Hao Sen przechadzał się bez celu wśród tłumu z mocno zmarszczonym czołem.

Czwarty bok placu, ten z którego przepędzono przekupniów pozostawał nadal nie zajęty. Stała tam, zwrócona frontem w stronę placu, ogromna budowla o dwudziestu dachach wygiętych jak w chińskich pagodach, a do jej głównych wrót wiodło skrzydło schodów utworzone chyba ze stu stopni. Czerwono-złote ideogramy widniejące na fasadzie budowli obwieszczały jej nazwę: Świątynia Łask Boskich.

U stóp schodów, gromada robotników wykańczała w pocie czoła podium pod tron. Hao Sen przypatrywał się w zamyśleniu ich pracy. Z barw jedwabnych draperii, jakie rozwieszali na zbitym z drewnianych bali rusztowaniu, należało się spodziewać wizyty Cesarza.

Przypuszczenie było słuszne, bowiem w pewnej chwili dostrzegł energicznego człowieka, który krążył po targowisku w asyście zbrojnych strażników i wskazywał towary, jakie kupcy mają obowiązek odłożyć na bok. Były one następnie zbierane przez młodzieńców, w lepiących się od brudu, kiedyś białych tunikach i składane u stóp schodów przed świątynią.

Cesarz. Hao Sen rozważał możliwość, że ten którego szuka jest władcą. Odrzucił ją szybko. Przynajmniej jedna z osobowości reflektywnych zaangażowana w powstanie tego wspaniałego, wyimaginowanego miasta miała fantazje na temat cesarz-niewolnik i było rzeczą bardziej prawdopodobną, że Cesarz gra w tym dramacie rolę drugorzędną.

Z drugiej jednak strony...

Hao Sen sprawdził od początku swój tok rozumowania. W tym momencie po drugiej stronie placu, pomiędzy dwoma kolorowymi straganami, dostrzegł poskramiacza smoków.

Torując sobie drogę łokciami ruszył w tym kierunku i nie zwracając uwagi na protesty tych, których

Wziął z pliku papierów jeden arkusz i podniósł go w górę. Była to duża, czarno-biała plansza przedstwiająca przekrój ludzkiego mózgu. U podstawy kory mózgowej czerwonym tuszem naniesiono małą strzałkę.

– Prawdopodobnie odczytałeś już z mego umysłu większość tego, co chcę ci powiedzieć – ciągnął Singh. – Jak już zauważył Danny w czasie waszego pierwszego spotkania, będziesz teraz zawsze wiedział o wszystkim, co ci robimy i rozumiał cel każdego zabiegu. Ale jeżeli nie masz nic przeciwko temu, wyjaśnię wszystko po kolei. Nie jestem telepatą i lepiej posługuję się słowami niż niezwerbalizowanymi pojęciami.

Howson skinął głową wpatrując się z wyrazem cierpienia na twarzy w rysunek.

– Informacje są zapamiętywane w mózgu w sposób raczej przypadkowy – ciągnął Singh. – Jego pojemność jest wykorzystywana w bardzo małym stopniu. Istnieją jednak pewne jego obszary, w których zazwyczaj koncentruje się określony rodzaj danych, to zaś, co nazywamy „obrazem ciała" – rodzaj wzorca odniesienia stanu naszego ciała – jest przechowywane w miejscu wskazywanym przez tę strzałkę. Przeważająca część danych potrzebnych organizmowi do walki z chorobą, znajduje się naturalnie na poziomie komórkowym, ale w twoim przypadku, ten mechanizm jest uszkodzony. Dowodem twoja hemofilia. Można by temu zaradzić stosując sztuczną stymulację twojego ośrodka obrazu ciała, ale tu właśnie mamy do czynienia z paradoksem, o którym mówiłem.

Zmienił rysunek na inny, ukazujący mózg od spodu. Na nim również narysowana była czerwona strzałka.

– Mamy tutaj typowy mózg przeciętnego człowieka – taki, jak mój, czy Christiny. Czerwona strzałka wskazuje grupę komórek nazywanych zespołem Funcka. Jest on tak mały, że od czasu odkrycia pierwszych telepatów nie podejrzewano nawet jego istnienia. W moim mózgu tworzy go na przykład około stu komórek, niewiele różniących się od swoich sąsiadek. Zwróć uwagę na jego położenie.

Wziął z pliku papierów następny arkusz. Było to duże zdjęcie rentgenowskie. Wyraźnie widniał na nim białawy zarys czaszki ze szczęką i kręgiem szyjnym.

– Przypomnij sobie jak robiliśmy zdjęcie rentgenowskie twojej głowy, Gerry, po podaniu ci substancji kontrastującej, która selektywnie... eee... „zabarwia" komórki wchodzące w skład zespołu Funcka. Spójrz, co uzyskaliśmy.

Howson wpatrywał się w zdjęcie.

– Ta biaława plama u podstawy mózgu – powiedział Singh – to twój zespół Funcka. Jest największy z dotychczas zbadanych; prawie o dwadzieścia procent większy od największego, jaki widziałem. Potencjalnie, dysponujesz najpotężniejszymi na świecie zdolnościami telepatycznymi, bo jest to zespół rezonujący z impulsami powstającymi w innych systemach nerwowych. Jesteś zdolny do poradzenia sobie z ilością informacji, która przyprawia o zawrót głowy.

– I dlatego jestem kaleką? – spytał Howson.

– Tak – Singh odłożył powoli zdjęcie. – Tak Gerry. Twój zespół zajmuje miejsce zarezerwowane dla obrazu ciała i z tego właśnie powodu nie możemy uczynić nic, co pozwoliłoby na poprawienie twojego wyglądu zewnętrznego. Każda operacja zakrojona na skalę wystarczająco szeroką, żeby ci pomóc, jednocześnie musiałaby zakończyć się twoją śmiercią.

*

– No i co, Danny ? – spytał Singh, gdy znaleźli się z powrotem w jego gabinecie. Telepata, którego specjalnością było odkrywanie i szkolenie nowych członków jego kasty, potrząsnął powoli głową.

– Nie ma żadnego bodźca, który zachęciłby go do współpracy z nami – powiedział. – Mój Boże, czy można mieć o to do niego pretensję? Wczuj się w jego położenie! Ta jego twarz, którą widzi, ilekroć spojrzy w lustro – twarz debilnego dziecka! Cóż to dla niego za pociecha, że po dwudziestu latach tego koszmaru został telepatą? Wyłapałem parę rzeczy z jego umysłu... – przerwał i głośno przełknął ślinę.

– Pomyśl tylko! Po raz pierwszy usłyszano go na orbicie poprzez łącznościowca kosmicznego, a więc potencjalnie jego „głos" jest najdonośniejszy w historii. Ale jego prawdziwy głos nigdy się w pełni nie wykształcił – wciąż wydaje te idiotyczne piski kastrata! Na miłość boską, on jeszcze nie stracił mlecznych

zębów, na szczęście, biorąc pod uwagę jego hemofilię, ale pomyśl, jak to wpłynęło na jego psychikę. Wyhodowanie sobie włosów, z którymi można się pokazać u fryzjera, zabiera mu trzy miesiące. Nie ma nawet zaczątków brody. Co do życia płciowego, to ma do niego stosunek powierzchowny i nigdy jeszcze nie odczuwał w związku z tymi większych emocji. Bóg jeden wie, jak wpłynie na niego zetknięcie się po raz pierwszy z kimś cierpiącym na zaburzenia seksualne.

– Czy potrafimy sobie z tym poradzić? – zapytał Singh.

– Nie ma mowy! – uciął zdecydowanie Waldemar. – Nie możesz myśleć poważnie o możliwości pogorszenia jego stanu – a wierz mi, doprowadziłbyś do tego czyniąc go, za pomocą hormonów, dojrzałym seksualnie i pozostawiając w tym pokracznym ciele. A zresztą nie jestem pewien, czy by ci się to udało. Jego obraz ciała tak bardzo odbiega od normy, że nie śmiem zgadywać, czy zareagowałby na działanie hormonów czy nie.

– Co do mnie, to myślałam... – wtrąciła się Christine Bukwa, ale urwała. Waldemar spojrzał na nią.

– Zastanawiałaś się, czy potrafimy rozmontować jego umysł, a potem złożyć go z powrotem, tak? Żeby usunąć tę straszną zazdrość, jaką budzi w nim jego przyjaciółka?

– Tak, o to właśnie chciałam spytać – neurolog uczyniła nieokreślony gest. – Rozumiem, dlaczego jest obrażony na cały świat. Wyposażenie tej dziewczyny w mowę i słuch było tak łatwe, że podświadomie musi niedowierzać, że jemu nie możemy dopomóc, sam zaś fakt, że tylko pod tym warunkiem poszedł z tobą, przemawia za jego wysokim ładunkiem empatii.

– Zgoda – przyznał Waldemar – tylko że... że on jest potężny.

– Wydawało mi się, że kiedy go po raz pierwszy zlokalizowałeś, zdołałeś przejąć nad nim kontrolę.

– Na krótko. Nigdy by mi się to nie udało, gdyby nie to, że cierpiał strasznie, zdając sobie sprawę, iż przez niego rozbił się helikopter z ludźmi na pokładzie. Zresztą w końcu wyrwał mi się. Nie, gdy będzie spokojny, potrafi oprzeć się wszelkiej próbie ingerencji w swój umysł i nie jestem pewien, czy telepata, który podjąłby się tego zadania, pozostałby przy zdrowych zmysłach.

Zapadło niezręczne milczenie. Przerwał je cichy brzęczyk telefonu stojącego na biurku Singha, który wyciągnął rękę, żeby nacisnąć klawisz odbioru.

– Tak?

– Jest tu pan Hemmikaini, doktorze Singh – zakomunikował głos. – Mówi, że był z panem umówiony.

– Ach tak, tak! Bardzo dobrze! Przyślij go na górę – Singh puścił przycisk i spojrzał na swoich podwładnych. – Idzie tutaj jeden ze specjalnych agentów Sekretarza Generalnego ONZ. Wydaje mi się, że będę miał nowy problem i przestanę martwić się przez cały czas Howsonem. Ale przy potencjale, jaki reprezentuje Howson...

Wstając, Waldemar dokończył to zdanie za niego.

– ... można by sobie życzyć – mruknął, – żeby reszta tego przeklętego świata przestała nam przez kilka dni zawracać głowę i pozwoliła przebić mur jego oporu. Ktoś powinien to kiedyś zbadać – czy my, telepaci, nie sprawiamy czasem więcej kłopotów, niż ich oszczędzamy.

Obdarzył Singha kwaśnym uśmiechem i wyszedł.

X

Hemmikaini był postawnym mężczyzną o okrągłej twarzy, jasnych, bardzo krótko przystrzyżonych włosach i bardzo różowej skórze. Wyglądał na tego, kim był – zdolnego funkcjonariusza na kierowniczym stanowisku, bez reszty oddanego swojej pracy. Z tym, że natura jego obowiązków służbowych była nietypowa.

Podał Singhowi dłoń o pulchnych palcach i położył na rogu biurka swoją czarną aktówkę po czym opadł na fotel, wygodnie się w nim sadowiąc.

– No cóż, wie pan, co mnie tu sprowadza, doktorze Singh. Wie pan również, że czasu mamy mało, więc nie będę go tracił na zbędne konwenanse. Mamy problem. Analizy komputerowe wykazują, że potrzebny jest nam ktoś o talencie i doświadczeniu rzędu tych, jakimi dysponuje Ilsa Kronstadt. Ergo, potrzebujemy właśnie jej – ona jest jedyna w swoim rodzaju. Jednak nasza prośba o oddelegowanie jej

Może wtedy będą istnieć tylko takie przypadki, jak przypadek Choonga...

Wkroczył na salę i kiwając głową rozejrzał się wokół. Nie przyjrzał się w pierwszej chwili obecnym – był zbyt zaabsorbowany własnymi problemami – a więc kiedy ujrzał wśród nich pannę Moreno, był zaskoczony. Zerknął na Singha zadając nieme pytanie.

Odpowiedziała mu sama, zanim Singh zdążył otworzyć usta.

Chciałabym popatrzeć, jak pan pracuje, doktorze Howson. Jestem pod wrażeniem tego, co słyszałam od doktora Singha.

– Proszę, proszę – Howson odruchowo powiedział to na głos. – Cóż za zmiana! – patrzył na nią nieruchomym wzrokiem i dostrzegał grymas na jej twarzy, nie blokowała mu jednak dostępu do swego umysłu. Odebrał to jako wyraz życzliwości i siły – umysł był stabilny, prężny, w pewnym stopniu porównywalny z umysłem Choonga, ale z silną składową żeńską.

– Rozumiem – powiedział w końcu. – Muszę pamiętać, że nie wszyscy telepaci odeszli tą drogą, którą obrał sobie Choong. Zresztą jesteśmy przecież tutaj... proszę patrzeć, jeżeli pani chce, ale tylko patrzeć. I bez względu na to, co tu się będzie działo, proszę nie spieszyć z jakąkolwiek pomocą.

Nie czekając na odpowiedź, podszedł do łóżka. Gorliwa pielęgniarka chciała mu pomóc. Nie było potrzeby, już chyba po raz trzydziesty zajmował to miejsce przed rozpoczęciem zabiegu. Rozglądał się dookoła, podczas gdy na jego ciele rozmieszczano czujniki aparatury medycznej.

Pomyślał, że ta sala zmieniła się bardzo niewiele od czasu, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy. Rozwój wiedzy wymusił pewne zmiany. Nastąpił przecież postęp w technice medycznej, a świetne urządzenia rejestrujące i protezy organów ludzkich zastąpiły prymitywne aparaty z czasów Ilsy Kronstadt. Ale poza tym sceneria nie zmieniła się od czasu, gdy zaczynał swą karierę telepaty.

Spojrzał na Singha, który posłał mu szeroki uśmiech na wpół wchłonięty przez brodę i wąsy. Popatrzył na Deirdre van Osterbeck, która była zbyt zaabsorbowana sprawdzaniem encefalografów, żeby to zauważyć. W umysłach obojga zauważył nadzieję zabarwioną niepokojem.

W swoim fotelu naprzeciwko Howsona usadowił się obserwator medyczny – przysadzisty skośnooki młodzieniec nazwiskiem Pak Chang Mee. Pracował już z Howsonem dwukrotnie i szybki wgląd w jego umysł wykazał, że jest on pewien sukcesu.

No i był tam Choong.

– Gotowe – powiedziała lakonicznie Deirdre. Technicy, jak echo, powtarzali za nią zgłoszenie gotowości kiwając w kierunku Singha głowami. W głębi sali, w pobliżu drzwi, Howson wyczuł pannę Moreno zajmującą miejsce w wygodnym fotelu. Nie widział jej, bo zamknął oczy.

– Włączyć rejestrację – powiedział. W chwili gdy zaczął się odprężać i dążyć do nawiązania kontaktu, pojawiły się obrazy. – Odbieram tło: miasto, góry... Poprzednio meldowałem zimę. Dobiega końca. Sceneria przygotowana jest na jakieś wielkie wydarzenie. Spróbuję dostać się tam szlakiem bocznym, szlakiem handlu i podróży. Do miasta przybywają karawany i wykryłem co najmniej jedną wtórną osobowość schizoidalną bardzo wysokiego rzędu, która wykorzystuje to tło.

Budując swój bank informacji wielokrotnie sondował ostrożnie umysł Choonga. Teraz ten wyimaginowany świat wydawał mu się znajomy, niemal przyjazny. Świadomość szpitala zbladła i pozostał tylko...

XVIII

...kołyszący ruch, jakby znajdował się na małej łódce unoszonej przez fale lekko wzburzonego morza i zapach, jakiego do tej pory nie znał.

Wielbłądy. Otworzył oczy. Złudzenie było pełne, ale nie spodziewał się przecież, że będzie inaczej. Mimo wszystko miał do czynienia z genialnym przeciwnikiem.

Stopniowo oderwane fakty układały się we wzór. Był... był Hao Senem, najemnikiem, dowódcą eskorty karawany i niedbale dosiadał swej wspaniałej wielbłądzicy o imieniu Gwiezdny Promień, wjeżdżając wśród zbieraniny kupców i pielgrzymów przez bramę Miasta Tygrysa. Powietrze było ostre i orzeźwiające. Zima kończyła się już i była to pierwsza z wiosennych karawan, jaka przedarła się przez zasadzki zastawiane przez zbójców i pokonała góry od północy.

Zbójcy... to słowo niosło ze sobą wspomnienie zmęczenia i satysfakcji. Pamiętał te potyczki. Zbójcy czekali na nich w zasadzce. Otaczający go ludzie nosili jeszcze pamiątki po spotkaniu z nimi – jeden utykał, drugi miał głowę zawiązaną bandażem. On sam – rozprostował swe barczyste, muskularne ciało – też nosił niemało sińców w miejscach, gdzie jego zbroja z brązowych płytek naszytych na skórzany kaftan ochroniła go przed cięciami noży. Ale wyszli z potyczki zwycięsko, a tej wiosny, jak głosiła plotka, Cesarz powoła armię, która na dobre wykurzy zbójców ze wzgórz.

Pragnęła odzyskać męża i jeżeli w jej pamięci znajdowało się coś, co Howson mógłby wykorzystać, chciała, aby się o tym dowiedział.

Była niską, pękatą i niezbyt atrakcyjną telepatką recepcyjną o sporym dorobku zawodowym. Jej przodkami byli w większości Polinezyjczycy, ale obecnie zajmowała się przede wszystkim regulacją kulturową na Nowej Gwinei - wytłumieniem szoku, powodowanego nową technologią u ludzi, których dziadkowie urodzili się w epoce kamienia łupanego. Nie było jej w domu od ponad trzech miesięcy, a męża nie spodziewała się zobaczyć przez następne sześć.

Już przy pierwszym sondowaniu jej umysłu Howson przewidywał, co w nim znajdzie. Jeżeli gdziekolwiek istnieje informacja o krytycznej sytuacji, od której usiłował uciekać Choong, musiała znajdować się tylko tutaj. Szukał śladów małżeńskich tarć, najprawdopodobniej na podłożu seksualnym - i był zaskoczony.

Nie znalazł ich. Odkrył tylko bolesne zdumienie, nieme pytanie:

Dlaczego odszedł beze mnie?

Nie znalazł na nie odpowiedzi. Ze wszystkich danych wypływał wniosek, że Choong jest najbardziej stabilnym telepatą, na jakiego natknął się Howson i że jego stałość względem własnej żony była tak samo idealna, jak względem każdego innego elementu jego egzystencji.

Wstrząśnięty, walczył ze wzmagającym się impulsem popychającym go do przerwania przygotowań. Wiedział, że Ho i Lockspeiser stają się coraz bardziej niespokojni, wiedział, że nawet Singh, który tak bardzo wierzył w niego, zaczął podejrzewać, że tak drobiazgowe opracowywanie środków ostrożności nie jest w gruncie rzeczy konieczne i stanowi pretekst do odwlekania właściwego zabiegu. On natomiast nie odważyłby się stanąć do potyczki z Choongiem nie znając jego słabych punktów.

Ponieważ jednak nie znajdował ich u samego Choonga, pozostawali tylko jego towarzysze.

Tutaj zadanie było nieporównywalnie łatwiejsze. Chociaż żadna z tych dziewięciu osób sama nie uległaby pokusie eskapistycznej fantazji, nie trzeba ich było długo namawiać, aby przyłączyli się do Choonga. W konsekwencji, znalazł pewne rokujące nadzieje wskazówki w ich zapisach psychologicznych. Skrywana żądza władzy, wykryta w analizie sprzed kilku lat fantazja na temat król-niewolnik.

Sprawa kłamstwa z okresu dzieciństwa, pomniejsza kradzież, drobne wybryki.

Próba samobójstwa po zawodzie miłosnym.

I tak dalej, i tak dalej.

*

Jestem wampirem - myślał nie po raz pierwszy Howson. - *Mam przed sobą ludzi doprowadzonych do kresu wytrzymałości, którzy w rozpaczy usiłują wyrwać się na wolność. A co ja robię? Igram z ich osobistymi niepowodzeniami i nawet ucieczkę czynię nie dającym się znieść koszmarem.*

*

- Przygotuj ich, Deirdre. Schodzę na dół.

- Dobrze, będziemy gotowi, kiedy zejdziesz. Trzymałam personel w pogotowiu przez cały dzień.

Howson wyłączył interkom,wstał i przeciągnął się. Pragnął rozprostować całkowicie nigdy nie ćwiczone mięśnie pleców, jednak było to zadanie niewykonalne.

Kuśtykał w kierunku sali, w której oczekiwał na niego pacjent. Umysł miał oszołomiony informacjami, wtłoczonymi weń przez ostatnie kilka dni tak, że wydawało mu się, że ściga go rój szerszeni.

Mimo to, pamiętał każdy metr tej drogi. Może było błędem, że wciąż mieszkał w tym samym pokoju, który przydzielono mu na samym początku pobytu w szpitalu. Może powinien był przenieść się do apartamentu w mieście. Wtedy nie chodziłby wciąż tą samą trasą, którą przemierzał zaślepiony łzami, kiedy Ilsa Kronstadt spoglądała śmierci w oczy podczas zmagań z Peryklesem Phranakisem.

Czy teraz nadeszła godzina jego własnego kryzysu? Ilsa również miała niesplamione konto, dopóki nowotwór wielkości (do czego ona go porównywała?) - pocisku - tkwiący w mózgu nie osłabił jej. Fizycznie nie czuł się gorzej niż zwykle, ale obawy, które wyjawiła Singhowi panna Moreno podkopały nieco jego pewność siebie. Angażował się w przedsięwzięcie, w którym mogła mu dodać skrzydeł tylko niezachwiana wiara we własne siły. A nie istniał obecnie żaden nowicjusz, który mógłby mu przybyć z odsieczą.

Dojdzie wreszcie do pracy w zespołach. Do ujarzmienia ich indywidualnych ego będziemy mogli korzystać z pomocy dwóch albo trzech telepatów projekcyjnych niższego stopnia i stawiać na ich czele teleterapeutę... ależ to niemal tworzenie grupy katapatycznej.

Nie, to nie była metoda. Jeszcze nie. Nie, dopóki zwykli ludzie nie zaakceptują istnienia telepatów. A do tego czasu może już nie być nacisków, które najczęściej wpędzają nas we frustracje i zmuszają do ucieczki w świat fantazji.

do pracy z nami, którą skierowaliśmy do dyrektora naczelnego tutejszej placówki spotkała się z sugestią, aby ktoś od nas przyjechał i porozmawiał z panem osobiście. Dlaczego?

Singh oparł się łokciami o biurko i spuściwszy wzrok na swoje dłonie złączył je starannie czubkami palców. Nie podnosząc głowy powiedział:

- W rzeczywistości chce się pan jedynie dowiedzieć, cóż takiego może tu robić Ilsa Kronstadt, że uważamy to za ważniejsze od akcji pacyfikacyjnej ONZ.

Hemmikaini zamrugał powiekami. Po chwili pauzy skinął głową.

- Ponieważ stawia pan sprawę tak jasno, przyznam, że tak jest w istocie.

Singh westchnął w zadumie.

- Przypuszczam, że to znowu Południowa Afryka?

- Nietrudno zgadnąć, jeśli czyta się gazety. Ale dokonam jednej poprawki - Hemmikaini pochylił się żeby dodać znaczenia swoim słowom. - To nie jest „znowu Południowa Afryka"! Od czasu Czarnej Wędrówki Ludów, kiedy połowa siły roboczej Południowej Afryki wyemigrowała z kraju, jest to - i był - cierń w naszym boku. Cofaliśmy się i cofaliśmy, żeby posprzątać po każdym kolejnym wybuchu i sądziliśmy, że ostatecznie rozwiązaliśmy ten problem. Ale nie rozwiązaliśmy go... do końca. Tym razem jednak, chcemy wreszcie doprowadzić do tego, co mieliśmy nadzieję zrobić od czasu, kiedy po raz pierwszy mieliśmy do pomocy telepatów.

- Chcecie stłumić to w zarodku - mruknął Singh.

- Właśnie. Mamy teraz niemal wszystkie dane po temu. Makerakera był tam przez trzy miesiące ze wszystkimi ludźmi jakich mieliśmy do dyspozycji. Ale termin wybuchu jest bardzo bliski. Żeby zdążyć, potrzebujemy Ilsy Kronstadt.

Singh wstał gwałtownie zza biurka i podszedł wielkimi krokami do okna. Kciukiem włączył pełną przezroczystość szyb i zapatrzył się na panoramę Ułan Bator. Nie odwracając się do Hemmikainiego powiedział.

- Przykro mi, ale nic z tego.

- Co takiego? - Hemmikaini ledwo opanował się. - Niech pan posłucha, doktorze Singh...! - urwał uświadamiając sobie obcesowość swojego tonu i ciągnął dalej bardzo uprzejmie. - Czy to odpowiedź doktor Kronstadt?

- Nie mam zielonego pojęcia. Wasza propozycja nie została jej wcale przedstawiona.

- A więc o co, u diabła, panu chodzi? - Hemmikaini tym razem nie czynił wysiłków, żeby zachować spokój.

- Musiał się pan prawdopodobnie zastanawiać - powiedział Singh - dlaczego Ilsa odeszła z Komisji Pacyfikacyjnej ONZ, gdzie była praktycznie pionierem metod pokojowej kontroli, które z czasem stały się standardową procedurą.

- Tak, oczywiście, zastanawiałem się - warknął Hemmikaini.

- No i?

- No więc... a więc wydaje mi się... zakładam, że potrzebna jej była zmiana. Bardzo często przepracowywała się.

Singh odwrócił się teraz do gościa i wpadające przez okno światło prześwietliło siwe końce jego włosów i brody.

- Ilsa Kronstadt jest umierająca.

Jasnoróżowe usta Hemmikainiego rozchyliły się. Nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

- Normalnie - ciągnął nieubłaganie Singh - ktoś tak niezastąpiony, jak Ilsa znajduje się pod bezustanną obserwacją lekarzy, psychologów, hordy specjalistów. Jednak kilka lat temu miała miejsce cała seria kryzysów: Indie, Indonezja, Portugalia, Gujana i na jakiś czas poniechano tych środków ostrożności. Jakiś czas potem, wykryliśmy w mózgu Ilsy jakiś złośliwy guz. Gdyby został wykryty w odpowiednio wczesnym stadium rozwoju, moglibyśmy go usunąć metodami mikrochirurgicznymi, jeżeli trochę później, można by było zastosować ultradźwięki, albo spójną wiązkę elektronów. Guz rozwinął się jednak do tego stopnia, że nie ma teraz możliwości usunięcia go spod kory mózgowej bez uciekania się do chirurgii klasycznej.

– O mój Boże – jęknął Hemmikaini. Nie patrzył na Singha. Prawdopodobnie nie mógł. – Chce pan przez to powiedzieć, że aby się do niego dostać, musielibyście przeciąć jej zespół telepatyczny.

– Tak właśnie wygląda sytuacja.

– Czy ona wie?

– A czy próbował pan kiedykolwiek utrzymać coś w sekrecie przed telepatą? Może tego dokonać tylko inny telepata, a w przypadku Ilsy Kronstadt, nie jestem wcale pewien, czy urodził się już taki, któremu by się to udało. Ona jest zdolna do opanowania całej osobowości innej ludzkiej istoty, albo świadomości aktualnego istnienia tuzina osób jednocześnie.

Singh odwrócił w powietrzu dłonie, jakby zsypywał z nich piasek.

– Nie może dla was pracować, panie Hemmikaini. Dopóki przebywa tutaj, możemy utrzymywać ją przy życiu i umiejętnie gospodarować jej energią. Nie jest inwalidką w pełnym tego słowa znaczeniu – prowadzi taki tryb życia, jak wszyscy członkowie personelu szpitala – ale podejmuje się tylko jednego rodzaju pracy, a i to rzadko.

– Ze względu na stres?

– Naturalnie.

Hemmikaini oblizał wargi.

– Jaki rodzaj pracy zatem wykonuje?

– Czy orientuje się pan, co to są grupy katapatyczne? – spytał Singh. Widząc zaprzeczające potrząśnięcie głowy swego rozmówcy, ciągnął dalej. – To cholerne słowo ukuto oczywiście z terminów katalepsja i telepatia. Co jakiś czas, jakiś telepata okazuje się osobowością nieadekwatną. Może dlatego, że bierze się za pracę przekraczającą możliwości? Może dlatego, że po prostu nie może stawić czoła odpowiedzialności, z jaką wiąże się jego talent? A może stwierdza w jakimś momencie, że świat jest w ogóle nie do zniesienia – pomyślał przez chwilę o kalekim, niewyrośniętym Howsonie i ciągnął dalej.

– Woli wycofać się w siebie i tworzyć własne, fantastyczne światy, które są bardziej znośne. No cóż, od czasu do czasu, każdy to czyni. Jednak telepata może to zrobić na wielką skalę. Może postarać się o audytorium, które, jeżeli jest on wystarczająco silny, może się składać nawet z ośmiu osób i zabierać je ze sobą. Ludzi tych nazywamy „osobowościami odbitymi" – odbijają jak lustro i karmią się osobowością telepaty.

W trakcie seansu zapominają nie tylko o całym świecie, ale i o własnych ciałach. Nie odczuwają ani głodu, ani pragnienia, ani bólu. I jak się można domyślać, wcale nie chcą się budzić.

– Czy nigdy się już nie budzą? – spytał Hemmikaini.

– No nie, w końcu się budzą. Ale sam pan rozumie – to, że nie odczuwają głodu i pragnienia nie oznacza, iż one nie istnieją. Po pięciu, niekiedy po siedmiu dniach, w mózgach zachodzą nieodwracalne zmiany i w końcu ludzie ci budzą się na skutek wyczerpania sił telepaty poniżej poziomu, przy którym może on jeszcze podtrzymywać złożone sprzężenie umysłów. Ale wtedy nie ma już dla nich nadziei.

– A co to ma wspólnego z Ilsą Kronstadt?

– Nawet telepata o nieadekwatnej osobowości jest cenny – powiedział Singh. – Jedyna szansa ocalenia grupy katapatycznej leży w szybkim jej zlokalizowaniu. Następnie trzeba wtargnąć do tego fantastycznego świata i uczynić go jeszcze mniej znośnym od rzeczywistego. A Ilsa jest jedyną osobą na świecie, która odnosi na tym polu nieprzerwane sukcesy. A więc sam pan rozumie, panie Hemmikaini – tu pozwolił sobie na ponury uśmiech – ... mam odpowiedź na pańskie pytanie: jaka praca może być ważniejsza dla Ilsy od wielkich akcji pacyfikacyjnych ONZ? Ocaliła dla świata niemal dwa tuziny telepatów. Działając wspólnie dokonali dużo więcej, niż zdołałaby ona sama, chociaż jest kobietą wyjątkową.

Hemmikaini milczał przez chwilę, a potem zapytał:

– Ile jeszcze dajecie jej życia?

– Może umrzeć z wyczerpania podczas następnej sesji terapeutycznej, a równie dobrze może jeszcze pożyć pięć lat. Trudno powiedzieć.

Znowu zapadła cisza. Przedstawiciel ONZ wstał z fotela.

– Dziękuję za te wyjaśnienia, doktorze Singh. – mruknął. – Będziemy chyba musieli skorzystać z usług waszego drugiego po Ilsie Kronstadt telepaty.

Zapadło niezręczne milczenie. Z zamkniętymi oczyma, kołysząc się lekko w swym specjalnym fotelu, Howson czekał na odpowiedź, jaką otrzyma Singh. Nie chciał sondować umysłu panny Moreno, skoro wzbraniała się przed kontaktem.

– Skąd pan wie, że nie zauważyłam? Wypełniam swoje zadanie i mam polecenie nie informować pana o jego charakterze. Poza tym sądzę, że jasno dałam Howsonowi do zrozumienia, że ja...

– Nie musi pani nic więcej mówić! – Singh odtrącił te słowa zniecierpliwionym machnięciem ręki. – Widziałem ponad dwustu telepatów – chorych i zdrowych, wyszkolonych i nowicjuszy. Dalej jednak żądam odpowiedzi. Jak to się stało, że nie orientuje się pani, iż Gerry jest tym jedynym, żyjącym człowiekiem, który jest w stanie sprowadzić Choonga z powrotem?

– Ponieważ... – urwała zbierając siłę woli na podjęcie decyzji. – Ponieważ, jeżeli mam być szczera, Choong mnie przeraża! Już od czasu zapoczątkowania przez Vargasa sprzężenia katapatycznego powodowanego... no nie wiem... frustracją, nieprzystosowaniem... Och, dajmy temu spokój. W każdym razie, już od tamtego czasu taka ucieczka stanowi dla nas nieustanną pokusę. Jest pan zapewne wyjątkiem, jeżeli miał pan do czynienia z tyloma telepatami, ale większość ludzi wyobraża sobie, iż posiadanie takich umiejętności przynosi same profity i satysfakcje. Pomimo całej szczegółowo przygotowanej propagandy, że jest wprost przeciwnie, są zazdrośni – jej głos był teraz pełen goryczy. – A jednak telepata może też być sfrustrowany, albo przygnębiony, albo może stracić chęć do życia. I każdy z nas może sobie w dowolnym momencie powiedzieć „Niech diabli porwą cały ten świat! Mogę sobie stworzyć własny!" Ale powstrzymujemy się. Myślimy „Poddają się tylko słabeusze". A teraz zrobił to Choong. Czy on jest słabeuszem? On? Nigdy! Najwyraźniej wszedł w trans po prostu z wyboru, w pełni zdając sobie sprawę z tego co robi. Czy i ja tak skończę? Albo Howson? Albo wszyscy z nas? Będę unikała kontaktu z Gerry Howsonem, doktorze. Wiem, że go to denerwuje. Ale sam pan rozumie... boję się, że jeżeli stwierdzę, iż ulega on tej samej pokusie co ja i jeżeli on odkryje tę pokusę u mnie, stracimy nie tylko Choonga, ale i jego, a także mnie.

Singh nie odpowiedział. Opuścił tylko głowę.

*

Był tam, w całej swej nagości – strach. Niechęć Howsona do panny Moreno nagle się ulotniła. Chciała dobrze. Po prostu nie zdawała sobie sprawy, że większym wsparciem dla niego byłaby wiedza, że przerażenie które odczuwa, dzieli z nim ktoś inny.

Jak to było o tych towarzyszach w nieszczęściu? Nie mógł sobie przypomnieć. Zresztą nie miało to znaczenia.

Jego ręka powędrowała do przełącznika interkomu. Po chwili rozległ się głos Deirdre van Osterbeck.

– Tak?

– Mówi Gerry, Deirdre. Przyślij mi, proszę, materiały dotyczące przypadku Choonga. Jestem gotowy do zapoznania się z nimi.

XVII

Dążąc do końcowego sukcesu opierał się zazwyczaj, przynajmniej częściowo, na intuicji. W przeszłości wiele razy doprowadzał do gwałtownego i drastycznego rozerwania grupy katapatycznej wykorzystując słaby punkt wykryty już w samej fantazji, do którego pacjent – telepata nie przyznawał się przed własnym analitykiem, a nawet przed własną żoną. (O ile był żonaty. W przewidywaniu minimalnego prawdopodobieństwa posiadania potomstwa obdarzonego zmysłem telepatycznym, niewielu telepatów wstępowało w związki małżeńskie).

Tym razem jednak, nie było miejsca na improwizację w ostatniej chwili. Wykorzystywał wszystko.

Najpierw były długie, długie godziny spędzone pod kapturem – dopasowanym do kształtu głowy urządzeniem stanowiącym kombinację przeglądarki mikrofilmów, mikrofonu i akustycznych wyjść informacyjnych. Zażywał łagodny środek pobudzający, który pomagał w zapamiętywaniu niezliczonych faktów. Z każdej sesji wychodził wykończony psychicznie i zlany potem.

Następnie przyszła kolej na wywiady bezpośrednie. Sprowadzono mu każdego, kto choć trochę znał Choonga i kogo można było odszukać – kolegów szkolnych, podstarzałych krewnych, eks-przyjaciółki, kolegów z pracy – w sumie ponad dwieście umysłów, w których musiał kopać, przesiewać, wyłapywać fakty i aluzje.

Na koniec sprowadzono żonę Choonga.

Nie chciał się z nią spotkać. Starał przekonać siebie, ją i Singha, że nie jest to konieczne, że zebrany materiał w zupełności mu wystarcza. Ale w końcu musiał poddać się tej próbie. Sama tego zażądała.

Podniósł wzrok i napotkał oczy panny Moreno. Nie odwróciła ich, gdy kończył.

– A to nie jest takie proste!

– Czy mówiłam, że jest? – Na oliwkowej skórze jej policzków ciemniał lekki rumieniec.

– Powiedziała pani, że im wcześniej zajmiemy się Choongiem, tym lepiej. – Howson sparodiował gest zaproszenia. – Proszę uprzejmie, droga wolna! Tylko jedna sprawa – musi się pani najpierw nauczyć obiektu swych zainteresowań na pamięć. Jeżeli pani tego nie zrobi, może ukryć się przed panią za nieskończoną ilością masek, dopóki tak go pani nie zdenerwuje, że w ogóle nie będzie go pani mogła znaleźć albo tak się pani zmęczy, że nie będzie już o to dbać, albo... albo będzie tak zafascynowana... – przełknął ślinę i oblizał wargi wciąż patrząc w oczy panny Moreno, ale już jej niedostrzegając. – Po drugie, intruz musi się wślizgnąć niepostrzeżenie. Jeżeli jest niezdarny i łatwy do rozpoznania, bije głową w mur złożonych źródeł obrony uczestników grupy katapatycznej, którzy zaprzeczają jego istnieniu, tak samo jak wyparli się własnych ciał. Ta grupa katapatyczna liczy sobie dziesięć osób, a mogę się założyć, że do udziału w niej nie zaprosił Choong gamoni i niedołęgów! I na koniec jeszcze jedno... – urwał. Wszyscy czekali w milczeniu. Pauza zaczynała przypominać przerwę między błyskawicą, a grzmotem gromu.

– I na koniec jeszcze jedna sprawa – powtórzył bardzo wolno Howson. – Choong nie jest uciekającą od świata osobowością nieadekwatną.

A więc dlaczego? Dlaczego? DLACZEGO?

★

Potem opuścił salę obrad. Trzeba było jeszcze tylko zadać mniej ważne pytania, a kto je zada, nie było istotne. Wszystko można było z góry przewidzieć.

– Czy ich opór można osłabić... na przykład narkotykami?

– Narkotykami nie. Czasami pomaga szok elektryczny doprowadzony do zespołu Funcka. Ale każdy ze środków farmakologicznych wpływałby zarówno na funkcje motoryczne – serce, odruch oddychania – jak i na wyższe ośrodki związane z wyobraźnią. Nie znamy leku, który działałby selektywnie na sam system nerwowy.

– No a ... sztuczne serce i płuca?

– Nie ma mowy, dopóki nie zostanie zerwana więź telepatyczna. Co więcej, powitaliby to z radością. Znaczyłoby to, że mogą przestać zajmować się swoimi ciałami i funkcje naturalne ustałyby całkowicie.

– Czy mogłaby pomóc separacja fizyczna?

– Wykorzystujemy telepatów do komunikacji z Marsem. To jest chyba odpowiedź na pańskie pytanie! – Singh stawał się coraz bardziej rozdrażniony. Jego umysł nie koncentrował się na zadających pytania, ale na nieobecnym Howsonie. Zastanawiał się, czy Gerald nie podsłuchuje z jakiejś innej części budynku. Oczywiście robił to. Nie potrafił oprzeć się pokusie.

Wyczuwając narastające zniecierpliwienie naczelnego dyrektora, zebrani zrezygnowali z dalszych pytań i Lockspeiser przeszedł prosto do sedna sprawy.

– W porządku, doktorze Singh. Pozostaje tylko ustalić, czy doktor Howson upora się z takim zadaniem i jakie są szanse na sukces w przyzwoicie krótkim czasie?

Sam chciałbym to wiedzieć – Singh wprawnie zamaskował tę myśl. Być może nie odczytała jej nawet panna Moreno. Głośno powiedział:

– Jestem przekonany, że Howson sobie poradzi. Co do sukcesu w przyzwoicie krótkim czasie, to Howson od lat odnosi same sukcesy, a niewiele zabiegów, które prowadził, trwało dłużej, niż czterdzieści osiem godzin. Pamiętajcie jednak państwo, że jak sam powiedział, musi się najpierw przygotować. Zanim wejdzie w fantazje swego pacjenta, musi poznać na pamięć całego jego życie, poczynając od dnia narodzin.

– To mi wystarcza – chrząknął Lockspeiser i wstał. Panna Moreno ociągała się z wyjściem z sali zerkając na Singha. Przemówiła, gdy za Ho i Lockspeiserem zamknęły się drzwi.

– Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, doktorze Singh, jeszcze raz postawię to pytanie. Chodzi mi o zmniejszenie ryzyka do minimum. Czy jest pan całkowicie pewien, że doktor Howson sprowadzi Choonga z powrotem?

Singha opanowała niepohamowana wściekłość. Wybuchła z pełną siłą, na co sobie nieczęsto pozwalał. Powiedział podniesionym głosem:

– Nie pozwalam pani mówić, ani nawet myśleć w ten sposób! Cholera, pracuję z Gerrym od jedenastu lat. Obserwowałem jak przeradza się z wystraszonego, nieśmiałego, opóźnionego w rozwoju chłopaka w zdolnego – diabła tam, genialnego – terapeutę. Jego umysł jest jak skalpel. Wiem to. Jak pani mogła tego nie zauważyć? Przecież sama jest pani telepatką?

★

Jeszcze tego samego dnia Singh, wiedziony niewytłumaczalnym impulsem, udał się do zachodniego skrzydła szpitala, gdzie mieścił się apartament Ilsy Kronstadt. Zastał ją nad maszyną do pisania. Jej wysmukłe dłonie śmigały nad klawiaturą jak kolibry. W powietrzu unosił się cichy pomruk silnika.

– Wejdź, Pan – zaprosiła go. – Za chwilę skończę.

Singh usłuchał i zamknął drzwi. Patrzył na nią nie potrafiąc powstrzymać się od refleksji, jak bardzo się zmieniła od czasu, kiedy ją poznał. Gęste włosy były teraz zupełnie siwe, promieniująca energią twarz pokryła się siecią zmarszczek, a zdrowa śniadość jej skóry przechodziła z wolna w woskową bladość.

– Tak, Pan, wiem – powiedziała łagodnie. Wykręciła z maszyny arkusz papieru i odwróciła się do niego. – Czasami mnie to przeraża... Dlatego właśnie staram się odpędzić od siebie te myśli.

– O czym ty mówisz? – mruknął pod nosem Singh.

– Postanowiłam napisać swoją biografię – powiedziała. Przez jej twarz przemknął figlarny uśmiech. – Powiedziano mi, że będzie to murowany bestseller! – No usiądź, Pan! Nie musisz się ze mną bawić w ceregiele, prawda? Zwłaszcza że cię wezwałam.

W tym samym momencie poczuł zaskoczenie i zrozumiał dlaczego miał ochotę odwiedzić ją właśnie dziś. Zachichotał i podszedł do fotela. Ilsa Kronstadt położyła łokieć na oparciu swojego krzesła i wsparła dłonią ostry podbródek.

– Coś cię martwi, Pan – powiedziała poważnym już tonem. – Dlatego od wielu dni tak tu ponuro. To głównie z powodu tego nowicjusza, którego znalazł Danny – biedny chłopak! – ale dziś rano zauważyłam, że i ja mam w tym swój mały udział, pomyślałam więc sobie, iż dobrze by było porozmawiać. Mam nadzieję, że docenisz fakt, iż zaczekałam, aż będziesz wolny.

– Czy naprawdę musiałaś mnie wzywać, Ilso? – Singh wypowiedział te słowa zdając sobie sprawę, że ta myśl zbyt silnie przebija z jego podświadomości, żeby ją jakoś zataić.

– Tak, Pan – te słowa padły jak kamienie. – Jest coraz gorzej. Muszę teraz ekonomicznie gospodarować moimi siłami. Szybko się męczę. Czuję się przez to bardzo stara.

Zapadło milczenie. Nie patrząc na niego podjęła w końcu.

– Wiesz, chciałam kiedyś wyjść za mąż, mieć dzieci... wydaje mi się, że mimo wszystko próbowałabym, gdybym nie miała świadomości, co to za piekło być nieobdarzonym darem telepatii dzieckiem telepatów. Pamiętasz Nolę Gruning?

– Pamiętam – mruknął Singh. Nola Gruning poślubiła, naturalnie, telepatę – to było jedyne rozsądne posunięcie – i miała z nim dziecko, które nie odziedziczyło po rodzicach zdolności telepatycznych. Potem uwikłała się w grupę katapatyczną złożoną z dzieci. Jej fantazje były jasnymi obrazami dziecięcego pokoju, z których Ilsa Kronstadt musiała, jedną po drugiej, oddzielać osobowości refleksyjne, pozostawiając Nolę nieuleczalnie obłąkaną.

– A więc – powiedziała Ilsa z wymuszonym ożywieniem. – A więc autobiografia. Pozostawię po sobie przynajmniej słowa. Powiedz mi teraz, co sprawia, że i ja przyczyniam się do twojego zmartwienia.

Singh nie silił się nawet na mówienie, uporządkował tylko w umyśle fakty tak, żeby je mogła sobie odczytać.

Westchnęła.

– Oczywiście, masz rację, Pan. Nie potrafię stawić czoła tak skomplikowanej sytuacji – już nie. To by mnie zupełnie rozbiło. To jest frustracja, rozumiesz? Stoisz przed wielkim problemem, a to pozostawia nierozwiązalnymi może tysiące małych problemików i każdy z nich nie daje spokoju... zwykłam rezygnować sama. Teraz jestem do tego zmuszona.

Wzdrygnęła się, jakby otrząsając ze złego snu.

– Od zarania dziejów ludzie wciąż ślepną, popadają w szaleństwo. Ja, mimo wszystko, jestem wciąż człowiekiem! Nawiasem mówiąc, czy Danny doszedł już do jakichś wyników z tym swoim nowicjuszem?

– Jeszcze nie. Właśnie dlatego się martwię.

– Jaka szkoda! Czasami myślę sobie, Pan, że miałam jednak niewiarygodne szczęście. Inteligentni

rodzice, beztroskie dzieciństwo, pierwszorzędna edukacja... Zakładając, że późne objawianie się tych zdolności – nigdy przed ukończeniem siedemnastu lat, najczęściej w wieku lat dwudziestu, albo nawet i później – jest naturalnym zabezpieczeniem przed zniszczeniem niedojrzałej osobowości, uważam, że miałam wszystko, co mogłam mieć. Ale on jest prawdziwą ruiną, prawda? Osierocony, kaleki, cierpiący na hemofilię...

– Może masz jakiś pomysł, który pomógłby Dannemu? – odważył się spytać Singh.

– Spóźniłeś się, Pan! – roześmiała się gorzko. – Danny pytał mnie już jakiś tydzień temu, czy nie mogłabym mu pomóc.

– I możesz?

Jej twarz spoważniała, jakby zgasło podświetlające ją światło. Powiedziała lodowato.

– Nie mam odwagi, Pan. Sondowałam peryferie jego umysłu. Wycofałam się. Dawniej może bym zaryzykowała – przeciwstawiłabym moje doświadczenie nie okiełznanej potędze, jaką on dysponuje. Nie dopuściłabym, żeby wpadł w panikę. Teraz jestem już za stara, żeby sobie z nim poradzić, Pan... i zbyt schorowana.

– Co więc z nim będzie? Czy możemy go stracić? – spytał ponuro Singh.

– Nie potrafię wniknąć wystarczająco głęboko w jego osobowość, żeby ci to powiedzieć. Najwyraźniej odznacza się empatią, która tylko czeka, aby ją wyzwolić. Jeżeli do tego dojdzie, będzie moim następcą. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę? Jeżeli jej nie wyzwolicie, może zwariować z nienawiści do siebie. Co można zrobić, żeby naruszyć panujący stan równowagi, po prostu nie wiem. Mówię ci, nie śmiem sięgać tak głęboko w jego umysł!

XI

Wkrótce potem zaczęto zostawiać Howsona samego i – gdyby był na tyle obiektywny, żeby to przyznać – to również stało się przyczyną jego urazy. Nadal podświadomie pragnął być traktowany jako ktoś ważny i to wpływało na sposób, w jaki analizował swoje odczucia. Jego uparta postawa objawiająca się w nieuleganiu prośbom Singha i telepatycznym perswazjom Waldemara przynosiła na razie pożądane skutki, wciąż ściągając na niego ich zainteresowanie. Gdyby raz ustąpił i zgodził się z nimi współpracować, większość szkolenia upływałaby mu w samotności. Inny telepata mógłby mu tylko pomagać w unikaniu ślepych zaułków. Każdy był jedyny w swoim rodzaju i każdy musiał uczyć się sam.

Oczywiście była to tylko jedna z przyczyn. Druga spoglądała na niego z lustra.

Tyle rozumiał. Inne sprawy stanowiły dlań zagadkę. Przez dłuższy czas po przybyciu do Ułan Bator zastanawiała go ostrożność, z jaką Waldemar nawiązywał z nim kontakt. Pewnego jednak dnia kontrola Waldemara nad blokadą tej tajemnicy przypadkowo zelżała i jasno jak na dłoni wyłoniła się przyczyna takiego postępowania. Waldemar bał się, że Howson może oszaleć, a perspektywa istnienia szalonego telepaty o energii Howsona była przerażająca.

Jeszcze bardziej przerażające było odkrycie wynikające z pierwszego – pomysł ucieczki w szaleństwo fascynował go, oferując szansę posługiwania się rozpasaną potęgą bez ograniczeń nakładanych przez świadomość, aby nie powodować cierpień, których sam by z kolei doświadczył, tak jak odczuł ból ludzi z rozstrzaskanego helikoptera.

Przed wypadkiem, który odciągnął od niego uwagę wszystkich, pokazywał się na terenie szpitala i lubił od czasu do czasu przejść się korytarzem sam, nie zaczepiany przez personel, który otrzymał od Singha instrukcje nie przeszkadzania mu w niczym. Jednak za każdym razem, kiedy spotykał na swojej drodze pacjenta odzyskującego zdrowie po przebytej chorobie, czy to fizycznej czy psychicznej, odczuwał nawroty zazdrości i teraz wolał spędzać czas na rozmyślaniach w swoim pokoju. Temu nie mógł się oprzeć. Jak się już przekonał, kiedy jego dar dał o sobie znać po raz pierwszy, nie istniał sposób odcięcia się od niego tak prosty, jak na przykład zamknięcie oczu.

Gdy otwierał swój umysł, szpital i otaczające go miasto stawały się chaosem nonsensu. Rozwijał jednak w sobie umiejętność selekcji i ćwicząc ją odkrył podświadomie, że dokładność była funkcją nie tyle zasięgu, co ubocznego „szumu" myślowego i silna koncentracja umożliwiłaby mu wychwycenie jednego umysłu z tysięcy w ten sam sposób, w jaki można słuchać jednego mówcy pośród gwaru hucznego przyjęcia.

– Przepraszam za szczerość doktorze Singh – powiedział Kanadyjczyk – ale ten materiał jest dla lekarzy, ja nim zaś nie jestem. Reprezentuję Komisję Koordynacji Handlu i moje zainteresowanie doktorem Choongiem wypływa z faktu, że miał on prowadzić sprawę, o której pewnie pan słyszał – chodzi o Indonezję.

A więc chciał się wymigać od tego zadania. Ta myśl dziwnie podniosła Howsona na duchu. Ale tylko na kilka sekund. Singh podniósł głowę.

– Czy powiadomiono go o tym?

– Nie wiem – mruknął Lockspeiser. – Oczywiście zawiadomiłem jego biuro w Hongkongu. Pan tam pracuje, prawda? – spojrzał na Chińczyka o zmartwionej twarzy, siedzącego naprzeciw niego, a przedstawionego zebranym jako Jeremy Ho.

– Tak. Hmmm... – Chińczyk sprawiał wrażenie bardzo nieszczęśliwego. – Odpowiedź na pytanie doktora Singha jest negatywna. Od ponad tygodnia nie mieliśmy kontaktu z doktorem Choongiem.

– I nie zastanowiło was to? – spytał z niedowierzaniem Lockspeiser.

– Ujmijmy to w inny sposób. Nie mieszaliśmy się do spraw doktora Choonga – w głosie Ho pobrzmiewała nutka lekkiego wyrzutu. – Zakładaliśmy, że doktor Choong odbywa jedną ze swych regularnych podróży służbowych. Jeździł często po świecie, zbierając dane, które w przyszłości mogły się okazać przydatne. Tylko on jeden wiedział, co ma dla niego znaczenie.

Singh zakasłał znacząco.

– Nie wydaje mi się, aby rozstrząsanie tej sprawy było konieczne. Znaleźliśmy Choonga. Obecnie problem polega na tym, jak do niego dotrzeć. Lepiej skoncentrujmy naszą uwagę na tym.

– Racja – to powiedziała opanowana kobieta o kasztanowych włosach, w wieku trzydziestu pięciu, co najwyżej czterdziestu lat, siedząca obok Lockspeisera. Howson nie wiedział jeszcze kim ona jest, ale zainteresowała go. Był pewien, że ma przed sobą telepatkę, ale kiedy dokonał ostrożnej próby kontaktu, natknął się na gest umysłu, równoważny wzruszeniu ramion. Ten afront zirytował go.

Singh spojrzał na nią mrugając powiekami.

– Dziękuję, panno Moreno. Jak na razie, o ile się orientuję, nie wiadomo nic konkretnego o towarzyszach doktora Choonga. Czy mam rację?

Panna Moreno skinęła stanowczo głową.

– Żaden z nich nie znalazł się dotąd w kręgu naszych zainteresowań – przytaknęła.

– Naszych zainteresowań? – spytał Howson. Wszystkie oczy spoczęły na nim i momentalnie się odwróciły z wyjątkiem oczu panny Moreno. Jej odpowiedź była natychmiastowa i zdawkowa.

– Wywiad Światowy, doktorze Howson.

Oczywiście. Kiedy znika człowiek trzymający w swoich rękach klucz do pokoju na ponad szóstej części globu, można się spodziewać, że przybędą w te pędy.

Howson wybąkał coś niewyraźnie, zakłopotany swoim brakiem przenikliwości i jeszcze bardziej niż dotąd speszony jej niechęcią do odkłonienia mu się na poziomie telepatycznym. Singh przyszedł mu w sukurs.

– Naturalnie wszyscy państwo zostaliście powiadomieni o tym, co się stało z doktorem Choongiem. Nie wiemy, dlaczego to zrobił. Analizujemy poufne raporty psychomedyczne przywiezione przez pana Ho z Hongkongu, ale dopóki nie dobrniemy do końca, możemy tylko snuć przypuszczenia. Wczoraj powiedziano mi, że przyczyna zawiązania tej grupy katapatycznej była taka sama, dla której może uciec w trans każdy telepata – ucieczka przed poważnym kryzysem w życiu osobistym. Nasze dane sugerują jednak, że Choong jest człowiekiem świetnie przystosowanym do zajęcia, którym się para. Jego życie prywatne układa się pomyślnie, ma wielki talent... Tak, panno Moreno?

– Czy rzeczywiście musimy przeciągać tę konferencję? – zapytała kobieta. Howson stężał. Pomimo uważnej kontroli, jaką sprawowała nad swoim umysłem, dotarł doń przecież niezaprzeczalnego niepokoju. – Istnieje tylko jeden kierunek działania i im szybciej zostanie podjęty, tym lepiej!

Lockspeiser walnął otwartą dłonią w stół.

– Wspaniale! Czy ktoś mi, z łaski swojej, wyjaśni, co to za kierunek działania? Nigdy się z tym nie spotkałem – z tym katapatycznym czymś tam – zanim nie usłyszałem o Choongu. Wygląda na to, że odciął wszystkie drogi dostępu do siebie... a może się mylę?

– Trzeba zrobić rzecz następującą – powiedział Howson głosem piskliwym i twardym jak krzyk. – Ktoś musi pójść za nim w jego fantazje. Ktoś musi zaryzykować swoimi zdrowymi zmysłami, żeby wykryć reguły, według których działa jego wszechświat, żeby wśród dziesięciu realnych i Bóg wie ilu wtórnych osobowości schizoidalnych odnaleźć ego telepaty. Żeby z tego fantastycznego świata uczynić miejsce tak zniechęcające do zamieszkania, że ze zwykłego obrzydzenia przerwie on kontakt z innymi i powróci do normalnej percepcji.

YANS – WIĘZIEŃ WIECZNOŚCI (8)

ROSIŃSKI ● DUCHATEAU














OGIEŃ!






HAAAAAAHH!
WAAAAAHH


TO STRASZNE... STRASZNE...


HA! HA! JEŚLI NIE WYDACIE NAM WIĘŹNIÓW, SPALIMY CAŁY LAS!


CZY NAS WY-DASZ?
TRZEBA BYŁO TAK ZROBIĆ! ALE TERAZ JEST JUŻ ZA PÓŹNO... PÓJDZIECIE Z NAMI JAKO ZAKŁADNICY... SKORO ONA CHCE MIEĆ WAS ŻYWYCH, BĘDZIEMY MOGLI PERTRAKTOWAĆ!


MUSIMY UCIEKAĆ! ONI PODPALAJĄ LAS!

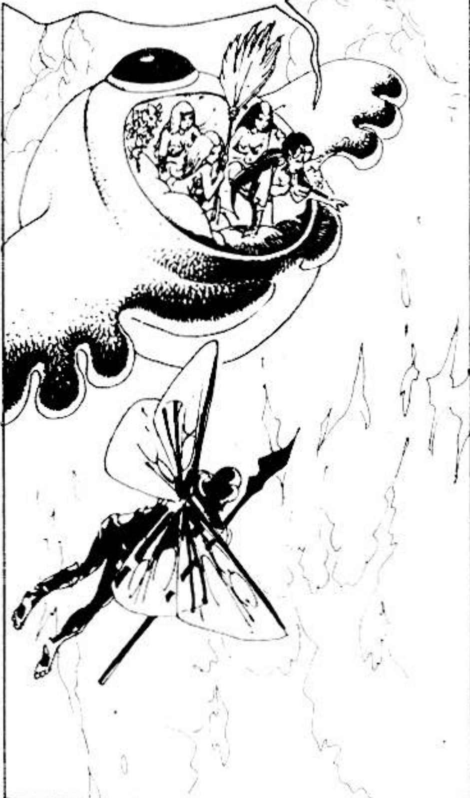

JESTEŚMY WASZYMI ZAKŁADNIKAMI, ALE POSPIESZMY SIĘ!
CHODŹCIE SZYBKO! PO KONARACH PRZEDOSTANIEMY SIĘ DO BAGIEN...

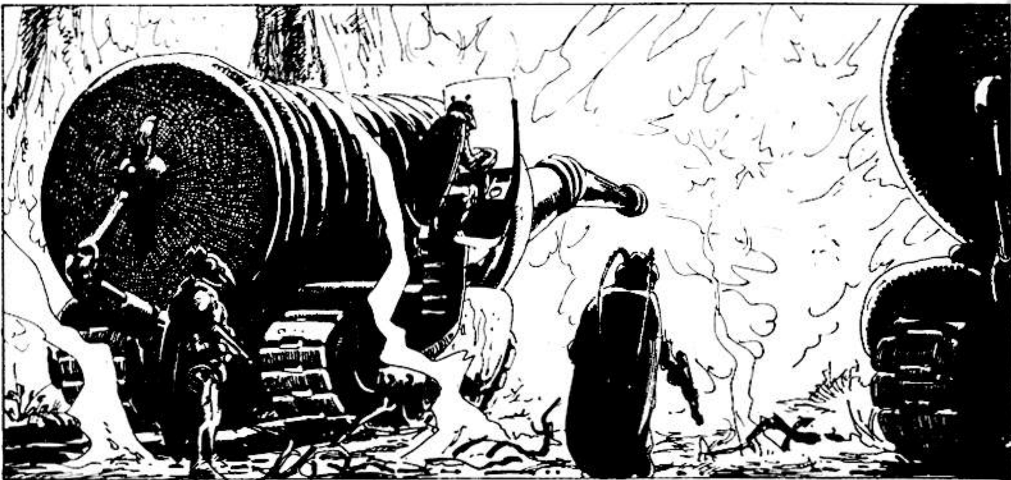









URUCHOMIĆ DMUCHAWY! CHCĘ, ŻEBY TE PSY ZOSTAŁY ZWĘGLONE W PŁOMIENIACH!




OGIEŃ DOCHODZI JUŻ TUTAJ... NIE DAMY RADY DOTRZEĆ DO MOKRADEŁ...


UWAGA!







Wściekłość Howsona rozpłynęła się pozostawiając po sobie tylko apatię. Wykonał nieokreślony gest i odwrócił się do Choonga plecami.

– Nie chce, aby ktokolwiek dotarł za nim tam, dokąd odszedł.

– Nie jestem tego taki pewien – zaoponował Singh. – Spójrz tylko! – podszedł po puszystym dywanie do wiszącego na ścianie telefonu i wskazał na coś, co leżało na niskim stoliczku poniżej. Śledził go przygasły wzrok Howsona.

– Telefon jest wyposażony w programator czasowy i nastawiony na ósmą rano. A to jest odtwarzacz. Zobaczymy co ma nam do powiedzenia. – Podniósł małe urządzenie w lakierowanej obudowie i stwierdził, że jest podłączone do telefonu cienkim, jak pajęcza sieć, przewodem. Przewód zerwał się od jednego pociągnięcia. Singh wcisnął klawisz odtwarzania.

Od razu rozległ się stanowczy głos.

– Z hotelowej nadbudówki mówi Hugh Choong. Dzień dobry. Na wstępie śpieszę poinformować, że niniejsze oświadczenie odtwarzane jest z taśmy i zostanie powtórzone kilkakrotnie, proszę się więc nie denerwować, jeżeli za pierwszym razem jego treść nie będzie należycie zrozumiana. Proszę o powiadomienie naczelnego dyrektora centrum terapeutycznego Światowej Organizacji Zdrowia, dyrektora Pandita Singha, podanie mu moich personaliów i przedłożenie mojej prośby o oddelegowanie na spotkanie ze mną jednego z jego starszych asystentów. Drzwi windy zaprogramowane są automatycznie na otwieranie, nie będzie miał więc żadnych trudności z dostaniem się do środka. Z góry dziękuję.

– Wyłącz to! – krzyknął dziko Howson. – A więc wszystko to ukartował! Najlepszy w terapii, bez żadnego powodu! A teraz przewiduje... – urwał, ale jego usta poruszały się nadal.

– Tak Gerry? – przynaglił go Singh.

– Wiesz bardzo dobrze, co chciałem powiedzieć! – Howson szalał. – Teraz ktoś musi pójść za nim, wyciągnąć go z transu, tracić czas i energię, które powinny służyć komuś, kto tego naprawdę potrzebuje!

– Moim zdaniem, Gerry – powiedział Singh tonem, w którym wyraźnie było słychać naganę, – stan, w jakim zastaliśmy Hugha Choonga, czyni go osobą potrzebującą pomocy. Czy się mylę?

Howson zarumienił się. Przez chwilę zdawało się, że chce odpowiedzieć, ale zanim zdążył dobyć głosu, z windy towarowej wyszli sanitariusze z noszami i Singh zajął się całkowicie nadzorowaniem ich pracy.

Howson wycofał się w głąb pokoju, schodząc im z drogi i wpatrywał się w zastygłą w maskę twarz Choonga, którego akurat kładziono na nosze.

Niech cię diabli, to dlatego rozchodzi się wokół ciebie taki swąd samozadowolenia! Tak zatroszczyłeś się o zapewnienie sobie pomocy, że nie możesz jej potrzebować!

Ale otrzymasz ją – po dwakroć, niech cię diabli. Każą mi teraz gonić za tobą w tę krainę-nigdzie, zniszczyć twoje marzenia, napastować cię i dręczyć, dopóki nie zdecydujesz się wrócić. I ja podejmę się tego zadania, bo to jest wszystko, co mam – moje umiejętności, którym nie dorówna nikt na świecie.

A kto pójdzie za mną, żeby mnie pomóc, Choong? Kto pozostaje? Niech cię diabli porwą na same dno piekła.

XVI

Jego zawziętość podsycana brakiem snu, jeszcze wzrosła, gdy następnego ranka zwołano specjalną naradę. Dla zwykłego pacjenta wystarczała linijka w harmonogramie dziennym; dla jakiegokolwiek innego pracownika ONZ korzystano, w najlepszym przypadku, ze specjalnego kanału łączności, celem przedyskutowania przypadku z zainteresowanymi. Ale dla Choonga, hipersonicznym ekspresem przybył rój wysoko postawionych osobistości.

Howson siedział w zarezerwowanym dlań fotelu po prawicy Singha i starał się myśleć o sprawach nieważnych. O długim, niskim, seledynowym suficie sali, o mistrzostwie wykonania bukowych mebli. Zbyt był świadom ukradkowych, zaciekawionych spojrzeń zebranych, które pytały wyraźnie:

Najlepszy na świecie terapeuta? On?

Ledwie się powstrzymywał od wygarnięcia im. A czego się właściwie spodziewaliście? Supermana? Boga?

Na szczęście ich uwagę odciągały właśnie kopie wyników badań Choonga i jego grupy. Przekopywali się teraz wytrwale przez kłębowisko szczegółów, żeby nie zadawać później niepotrzebnych pytań i nie wyjść na głupców.

Zauważył nagle, że jest ktoś kto tego nie robi. Lockspeiser, wielki Kanadyjczyk o czerwonej twarzy i z łysiną na czubku głowy zatrzasnął swoją teczkę z papierami i odepchnął ją od siebie.

Niektóre osobowości były bardzo łatwe do wychwycenia – promieniowały jak ogniste kule na tle czarnego nieba. Najłatwiej było wychwytywać umysły telepatów wchodzących w skład personelu szpitala, ale niechętnie nawiązywał z nimi kontakt. Czyniąc to, wyczuwał przychylność – dominującą, ale odbarwioną, ponieważ dla nich satysfakcja wypływająca z posiadania zmysłu telepatycznego była tak oczywista, że depresja Howsona intrygowała ich i irytowała.

A zresztą wszyscy oni, prócz jednego, byli pochłonięci swoją pracą. Tym wyjątkiem był posiadacz umysłu rozświetlającego całe skrzydło szpitala promieniowaniem tak jasnym, że przesłaniało ono stojącą za nim osobowość. Sondował obrzeża tego promieniowania i wyczuwał aurę pewnej siebie siły, co sprawiało, że na jakiś czas zaprzestał tych prób. Potem, zupełnie niespodziewanie, w osobowości tej zaszły pewne zakłócenia i aura przygasła, niemal znikła. Jeżeli można sobie wyobrazić gwiazdę pokonaną przez zmęczenie, to do niej właśnie można było porównać to wydarzenie. Ponieważ przekraczało to siły Howsona, wolał on skierować swą uwagę gdzie indziej.

Oczywiście, zapytał do kogo należy ten nadzwyczajny umysł, a gdy dowiedział się, że była to na wpół legendarna Ilsa Kronstadt, do której nawiązywała postać bohaterki filmu oglądanego wspólnie z mężczyzną w brązowym ubraniu, jeszcze bardziej się zniechęcił do jej niepokojenia.

Zdarzali się też wybijający się ponad przeciętność nietelepaci. Najbardziej uderzającym przedstawicielem tej grupy był Singh. Miał umysł tak przejrzysty, jak spokojna woda, w której można nurkować w nieskończoność i nie natknąć się na granice miłości jaką żywił w stosunku do ludzi. I w tym przypadku Howson wolał nie zanurzać się głęboko w świadomość Singha. Za dużo w niej było współczucia dla niego oraz wiedzy, że nie można wyleczyć deformacji jego ciała.

Wolał mieć do czynienia ze zwyczajnymi umysłami – umysłami personelu i pacjentów. Z początku poruszał się wśród nich z jak najdalej posuniętą ostrożnością, potem, w miarę jak nabierał wiary w swoje umiejętności, zaczął poczynać sobie coraz śmielej i spędzał długie godziny na seansach, które przemawiały do jego wyobraźni w ten sam sposób, jak wcześniej kino i telewizja. Były to doznania do tego stopnia bogatsze, że Howson, od siódmego dnia pobytu w szpitalu, nie włączał telewizora stojącego w rogu jego pokoju.

Pacjenci i personel szpitala reprezentowali ponad pięćdziesiąt narodowości. Ich języki, obyczaje, nadzieje i obawy stanowiły dla Howsona niewyczerpane źródło fascynacji i wracając do rzeczywistości po podróży przez tuzin umysłów, pijany zachwytem dzielonych doświadczeń, stwierdzał u siebie wyraźną skłonność do zadośćuczynienia zabiegom Singha i Waldemara.

W dalszym jednak ciągu zwlekał z podjęciem ostatecznej decyzji. Była w szpitalu taka grupa pacjentów, której umysłów nie mógł przeoczyć i która była czasami odpowiedzialna za to, że budził się w środku nocy zlany potem, ogarnięty niewytłumaczalnym przerażeniem. Byli szaleńcami zagubionymi w swych prywatnych światach nielogiczności i to właśnie oni byli obiektami zawodowego zainteresowania telepatów.

Raz i tylko raz obserwował telepatę-psychiatrę przygotowującego się do sesji terapeutycznej. Pacjent by paranoikiem cierpiącym na obsesyjną zazdrość seksualną i telepata usiłował zlokalizować korzenie stojących za nią doświadczeń. Oczywiście zadanie było zbyt skomplikowane by telepata sam mógł je doprowadzić do końca. Po zidentyfikowaniu przyczyn obsesji przyjdzie kolej na hipnozę, lekoterapię i prawdopodobnie powrót w transie do wydarzeń z przeszłości, by skłonić tego człowieka do pogodzenia się z nimi. W tej jednak chwili jego mózg był piekłem irracjonalnych katuszy, przez które telepata miał na ślepo wyszukiwać drogę, jak człowiek przedzierający się przez dżunglę pełną czyhających na każdym kroku potworów.

Howson nie śledził dalszych poczynań telepaty. Ale nigdy potem nie odczuwał już takiego strachu.

*

I wtedy rozpoczął się kryzys, a w wirze szaleńczych prób jego zażegnania, sprawa odmawiającego współpracy Howsona odsunięta została w cień.

Przez dłuższy czas nie bardzo zdawał sobie sprawę, co się właściwie dzieje. Od wielu tygodni nie zadawał sobie trudu, aby zajrzeć do gazety, czy włączyć telewizor. Gdyby to uczynił, dowiedziałby się

natychmiast, że drugi po Ilsie Kronstadt najlepszy telepata Hemmikainiego nie okazał się dostatecznie dobry i kryzys w Południowej Afryce załamał go.

Podczas gdy Makerakera, ekspert zajmujący się sprawami agresji, stawał na głowie, żeby sklecić zespół zastępczy ze wszystkich, którzy byli akurat wolni – Choonga z Hongkongu, Jenny Pender z Indiany, Stanislawa Danquah z Akry i paru niewyszkolonych jeszcze telepatów – mały Grek Perykles Phranakis odwrócił się do katastrofy plecami i odszedł swoją własną drogą do krainy, gdzie sukces ukoronował jego wysiłki.

W Południowej Afryce spływali z nieba żołnierze. Za nimi szpitale polowe, transportowe helikoptery, pojemniki, worki i paczki podstawowych artykułów żywnościowych, za nimi prawnicy i politycy. A po tym zamieszaniu nastała dziwna cisza.

W tym czasie, mknący z szybkością pięciokrotnie większą od prędkości dźwięku stratoplan niósł cielesną powłokę Peryklesa Phranakisa do Ułan Bator. Okazało się, że komputery miały rację. Żeby poradzić sobie z tym kryzysem trzeba było Ilsy Kronstadt i jeżeli ona nie mogła udać się do niego, on przyjdzie do niej.

Howson wychwycił luźne obrazy fantazji snutych przez Phranakisa i był wstrząśnięty. Przypomniał sobie wyraźnie swoje własne marzenia na jawie, które – jeżeli wierzyć słowom Waldemara – mogły go w końcu skusić do zawiązania grupy katapatycznej z głuchoniemą dziewczyną. Przypomniał też sobie kurz na powiekach Vargasa i niemal jęknął na głos.

Przez zwrócenie uwagi wszystkich na Phranakisa powstało dziwne uczucie izolacji i w panice Gerry doświadczał teraz samotności gorszej niż poprzednio przez kontrast z ostatnim okresem wzmożonego zainteresowania jego osobą, którym tak się rozkoszował i pośpieszył, by włączyć się w wir problemów zajmujących wybitne mózgi otaczających go ludzi.

Nie zaryzykował od razu wtargnięcia w prywatny świat samej Ilsy Kronstadt, ale wyczuwał jej niepokój jak zły zapach. Wychwycił instynktownie fakt, że Phranakis, chociaż zawiódł, nadal był uważany za największego rywala, jakiego miała w swej oryginalnej specjalności – eliminacji agresji. Stała przed zadaniem wdarcia się w jego fantazje i lękała się.

Zakłopotany, skierował swoją uwagę na coś innego i natknął się na Phranakisa snującego paranoidalne wizje przed umysłami ludzi, których pociągnął za sobą. Jak stado wron podążające śladami siewcy, przewijały się przez szpital osoby, które go znały, aby wraz z głosami zmarłych, zarejestrowanymi na papierze, taśmie magnetofonowej i filmowej służyć Ilsie Kronstadt wskazówkami. Mając pięć lat robił to i to, ze swoją pierwszą dziewczyną lubił robić tamto, podczas szkolenia telepatycznego miał trudności z tym i tym.

Tak jak rzeźbiarz potrafi z kawałków złomu stworzyć dzieło sztuki, podobnie Ilsa Kronstadt zbierała te informacje i tworzyła z nich obraz psychiki Phranakisa. Howson był zafascynowany. Tak go to zaabsorbowało, że nie zauważył nawet, kiedy po raz pierwszy wkroczył, nieproszony, do jej świadomości. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że ją „podgląda", a i ona była zbyt zajęta, by zwrócić na to uwagę. Uświadamiając to sobie, poczuł ukłucie wstydu za odmowę współdziałania przy wykorzystaniu swojego talentu w sposób, w jaki ona wykorzystywała swój.

Siedząc nieruchomo jak głaz w specjalnym fotelu, najwygodniejszym ze wszystkich, jakich dotąd używał, chłonął metody samodyscypliny, za pomocą których umacniała swą zachwianą pewność siebie. Wspominała wcześniejsze przypadki, które wydawały się również zniechęcające, a jednak zakończyły się sukcesem, podsycała w sobie ambicję doprowadzając ją niemal do próżności, aby wzmocnić swoje zdecydowanie.

Howson śledził to wszystko z koncentracją wywołującą skurcz szczęk. Ale i tak, kiedy pozwolił swemu umysłowi powędrować w kierunku Phranakisa, doznał wstrząsu. W jaki sposób – będąc nawet wspaniałą Ilsą Kronstadt – można przebić pancerz fantazji, który otacza teraz tego człowieka?

Zapomniał, że jest Geraldem Howsonem. Zapomniał, że jest kaleką, karłem, hemofilitykiem, sierotą. Pamiętał tylko, że jest telepatą zdolnym do odczytywania cudzego umysłu, jeżeli jego właściciel udzieli mu na to zezwolenia i z desperacką gorliwością gromadził swoją wiedzę o tym, co doprowadziło do impasu.

cholernie blisko, nie kazałbyś mi zatrzymać tu samochodu, a nie mogę sobie wyobrazić innego miejsca pobytu dla telepaty spoza miasta, niż hotel wysokiej kategorii. Znajdziemy go prawdopodobnie w następnym.

*

Następny hotel był pretensjonalnym budynkiem przypominającym chińską pagodę, udekorowanym ogromnymi, spiralnymi kolumnami z brązu i czerwono-czarnymi smokami wymalowanymi na ścianach. W recepcji siedziała tęga kobieta w średnim wieku, przez cały czas rozmowy z nimi trzymająca jedną rękę na przycisku alarmowym. Bała się gwałtu i jego wizja płonęła w jej umyśle jasno jak latarnia. Howson musiał stłumić w sobie odruch odrazy dostrzegając masochizm kryjący się za jej świadomym przerażeniem.

Singh nakłonił ją do wyciągnięcia pliku kart meldunkowych, przewertował tuzin z nich i zatrzymał się ze stłumionym okrzykiem. Bez słowa wyrwał ze skoroszytu kartę, która go zainteresowała i pokazał ją Howsonowi. Pewnym charakterem wypisano na niej nazwisko Hugh Choong.

– Ależ to jest...! – zaczął Howson i urwał widząc zmarszczenie brwi Singha. Nie używając już słów, ciągnął dalej – *Ależ on jest bardzo znany!*

– *Nie mylisz się* – jedenaście lat współpracy z Howsonem nauczyło Singha werbalizowania myśli niemal tak jasno, jak telepata. –*Sędzia arbitrażowy rezydujący w Hongkongu. Praktycznie jedną ręką utrzymuje spokój w rejonie Pacyfiku. Jest również terapeutą angażowanym od czasu do czasu przez wyższe czynniki ONZ. Nie poznałeś go jeszcze osobiście?*

– *Nie.*

– *Ani ja. Ale zaraz to nadrobimy, prawda?*

Ale Howson nie potrafił dostosować swego nastroju do tego kpiąco-cynicznego komentarza. Czuł tylko konsternację. Sędzia arbitrażowy formujący grupę katapatyczną? Wybierano ich spośród najbardziej zrównoważonych, zdolnych, wysoko doświadczonych telepatów. Musieli być, jak żona Cezara, poza wszelkim podejrzeniem, bo od ich samokontroli zależał chwiejny pokój planety.

Jeżeli taki człowiek wybiera ucieczkę od rzeczywistości w świat marzeń, to co ma powiedzieć on – kaleka, który nie potrafi nawet spojrzeć śmiało w oczy obcemu?

Singh mówił już z ożywieniem do recepcjonistki:

– Który pokój zajmuje pan Choong? Będę musiał zakłócić mu spokój.

– Pan Choong zajmuje apartament – poprawiła go posępnie recepcjonistka. – Dziś wieczór zameldował się ze swoją grupą w nadbudówce, na ostatnim piętrze. Ale chyba nie wolno mi...

– Ze swoją grupą – przerwał jej Singh.

– Łącznie dziesięć osób – a po chwili niechętnie dodała – proszę pana.

– Miałeś rację, Gerry. Potrzebny będzie drugi ambulans – mruknął Singh. – W porządku – zwrócił się znowu do recepcjonistki – proszę wezwać portiera, czy kogoś takiego, aby zawiózł nas na górę. I proszę się pośpieszyć! To sprawa życia i śmierci, słyszy pani?

Howson z ulgą poddał się biegowi wydarzeń. Nie odzywał się, kuśtykając do windy w asyście zaspanego portiera w piżamie. Sanitariusze z ambulansu przeszli ze swoimi noszami do windy towarowej. Howson zostawił dowodzenie akcją Singhowi, sam zaś zajął się całkowicie poskramianiem swego umysłu, który groził wyrwaniem się spod kontroli, ilekroć pozwolił swej uwadze na wędrówkę w kierunku telepatycznych fantazji snutych przez Choonga.

Staraj się nie myśleć o białym koniu...

Winda zatrzymała się na poziomie nadbudówki. Singh odruchowo chciał użyć prywatnych kluczy, które otrzymał od recepcjonistki, ale drzwi otworzyły się zanim zdążył włożyć je w zamek. A za nimi...

– To mi przypomina finałową scenę z Hamleta – ponuro powiedział Singh.

Wszędzie ciała! Ale... jednak nie trupy. Woskowobladzi ludzie siedzieli, albo leżeli bez ruchu na krzesłach, kanapach, stosach poduszek. Było ich dziewięcioro, otaczali kręgiem dziesiątego – zażywnego mężczyznę o euroazjatyckich rysach twarzy, ubranego w jedwabne kimono, siedzącego wygodnie w przepastnym fotelu. Na stoliku obok niego, leżały, jakby dopiero co zdjęte i odłożone, staromodne okulary w rogowej oprawie. A więc to był Hugh Choong.

Pięści Howsona zacisnęły się śmiesznie. Jak źle zmontowana lalka pokuśtykał do zagubionego w transie telepaty. Furia jego wściekłości zatruwała powietrze.

Niech cię diabli, niech cię diabli, niech cię diabli...

– Gerry! – głos Singha przeniknął do jego mózgu. – Nie możesz do niego dotrzeć, a więc nie trać energii!

kami weszła Deirdre van Osterbeck, następczyni Singha na stanowisku ordynatora terapii A – wyglądała jak chmura gradowa w swej obszernej fałdzistej opończy, z której wystawała głowa o okrągłej, bladej, jak księżyc w pełni, twarzy. Z gabinetu lekarza dyżurnego wyszedł zdenerwowany Ludwig Schacht, żeby oznajmić, że samochód i ambulans są już w drodze.

– Myśli pan, że jeden ambulans wystarczy? – spytał na koniec zerkając na Singha.

Singhowi cisnęła się na usta automatyczna odpowiedź – grupa katapatyczna nigdy nie składa się z więcej niż ośmiu osób, a więc wystarczy jeden ambulans i jeden samochód służbowy. Howson powstrzymał go niemym myślowym gestem.

– Wezwij jeszcze jeden, Ludwigu – powiedział. – Boję się, że ten człowiek łamie wszelkie reguły.

A w myślach powtórzył: *Boję się...*

*

W samochodzie mknącym szeroką autostradą w kierunku miasta nawiedzały Howsona fragmentaryczne obrazy. Ukazywały mu się wyraźnie niemożliwe zdarzenia, które – jeżeli im na to pozwoli – mogą na zawsze zastąpić rzeczywistość. Szum silnika samochodu, ciemne frontony budynków, światła uliczne, nawet obecność w pobliżu innych ludzi można było wymazać bez użycia przemocy. Kim mógł być ten nieznajomy? Realne wspomnienia przykryte były tak grubą warstwą, że Howson obawiał się, iż zanim znajdzie jakikolwiek trop, będzie musiał nurkować głęboko w wir jego psychiki.

– Gerry! – wykrzyknął Singh. Howson ocknął się. Nie zdając sobie sprawy z tego dał się ponieść wyobraźni.

– Przepraszam – wymamrotał. – To jest takie silne... Muszę skupić swą uwagę na źródle, jeżeli mam je zlokalizować, ale kiedy tylko zaczynam o tym myśleć... w każdym razie powiedz kierowcy, żeby skręcił w prawo. To już bardzo blisko.

Samochód skręcił w szeroki bulwar, wzdłuż którego ciągnęły się dwa szeregi wielopiętrowych budynków. Po fasadach – czerwonych, zielonych, niebieskich Singh zorientował się, że są to hotele.

– Sądzisz, że w jednym z tych hoteli? – zasugerował.

– Bardzo możliwe – mruknął Howson głosem matowym ze znużenia.

– Więc oderwij umysł od obiektu! – rzekł Singh. – Możemy obejść je po kolei i sprawdzić ostatnie meldunki. Parę minut zwłoki nie stanowi teraz żadnej różnicy.

– Potrafię ich znaleźć – zaprotestował Howson. – Jeszcze trochę...

– Powiedziałem, oderwij umysł od obiektu! Jesteś zbyt cenny, żeby cię wykorzystywać w charakterze psa gończego, słyszysz? – Singh z premedytacją wyobraził sobie wielkiego, zaślinionego węszącego psa z uszami ciągnącymi się po ziemi i tak długimi, że zwierzę przydeptowało je sobie przednimi łapami. Howson odebrał ten obraz i musiał się uśmiechnąć.

Wygrałeś.

Samochód podjechał do krawężnika i zatrzymał się. Singh otworzył drzwiczki i wysiadł. Howson chciał pójść w jego ślady.

– Nie musisz ze mną iść, Gerry! – zaoponował Singh.

– Jeżeli się czymś nie zajmę, jestem skłonny...eee... wrócić myślami do obiektu – odparł Howson. – Idę z tobą.

Przez następne pół godziny dreptali od hotelu do hotelu. Marmurowe ściany, ozdobne wywieszki, imitacje zwierzęcych skór i podświetlone zbiorniki zabarwionej na zielono wody były świadkami podnoszenia głów prez kolejnych sennych recepcjonistów, ich zdziwionych spojrzeń witających Howsona i Singha, udostępnienia z ociąganiem ksiąg meldunkowych, uważnego oglądania legitymacji Singha, która otwierała wszystkie drzwi, a w końcu niechętnego ustępowania.

Sześć hoteli i nic. Gdy wyszli z szóstego i dali podnieconym obserwatorom oczekującym na ulicy w ambulansie i samochodzie znak, że nie poczynili żadnego postępu, Singh spojrzał z ukosa na Howsona.

– Wciąż unikasz kontaktu z obiektem, Gerry?

Howson uśmiechnął się z miną winowajcy.

– Jak ty dobrze mnie znasz, Pan – odparł z wymuszoną lekkością.

– W porządku przerwij go – powiedział szorstko Singh. – Gdyby nasz człowiek nie znajdował się tak

Phranakis – to czuł do siebie, zanim uciekł w fantazję, to była twarz, którą oglądał codziennie w lustrze, to była matka, którą pamiętał, ojciec, bracia, siostry; to była droga, która zaprowadziła go do Aten i rozczarowań wczesnego wieku męskiego; to był pokój, w którym po raz pierwszy doznał szoku dowiadując się o swojej prawdziwej tożsamości...

Południowa Afryka to był wrzód ropiejący pod gładką, nowoczesną powłoką. Ujrzał ogromnego Polinezyjczyka, Makerakere, idącego słonecznymi ulicami i absorbującego nienawiść jak kamera. Należał do tej rzadkiej kategorii telepatów, którzy odbierają myśli, ale nie posiadają żadnego „głosu" projekcyjnego, jak obserwatorzy terapeutyczni i niefachowi analitycy, których Howson spotykał tu, w szpitalu. Wyczuwał reakcję Phranakisa, gdy ten zdał sobie sprawę, że jego praca poszła na marne; widział to jako Nemezis, karę za próżność, która obrażała bogów jego przodków.

I zajrzał również w umysły i wspomnienia tych, których Phranakis zabrał ze sobą. Zabrał – to był naprawdę unikalny aspekt całej tej sprawy i on właśnie najbardziej przerażał Ilse Kronstadt.

Bo Phranakis dysponował taką potęgą, że nie musiał czekać na zgodę osobowości reflektywnych na udział w grupie katapatycznej. Po prostu zabrał ich – czworo swoich najbliższych współpracowników nietelepatów – i pociągnął za sobą w swój nierealny świat.

Przerażony i zafascynowany jak królik w obliczu węża, Howson śledził bieg rozgrywających się wokół niego wypadków. Kilka pięter niżej, gdzie zebrali się specjaliści, wielcy politycy, rodzina i przyjaciele, niesiono Phranakisa do sali, w której Ilsa Kronstadt miała stoczyć z nim bój. Szpital zdawał się kurczyć w sobie, naprężać do granic, przy których zacznie wyśpiewywać lęk, jak struna skrzypiec. Howson napiął się razem z nim, zapominając o całym świecie i ledwo ważąc się oddychać.

XII

Ulicami jego mózgu przesuwała się procesja. Podczas gdy młodzieńcy i dziewice, przystrojeni girlandami kwiatów, tańczyli na jego cześć, uroczyści starcy zebrali się w świątyni Pallas Ateny. Tam przygotowywali wieniec laurowy, który miał przyozdobić skronie zwycięzcy. Pomimo swych bojowych łodzi i całej przebiegłości, barbarzyńcy ponieśli klęskę. Miasto było bezpieczne, cywilizacja i wolność ocalone, a gdzieś tam, daleko, tyran wściekał się i skazywał na śmierć swoich wodzów.

Miasto było tam na pewno. W pewnym sensie była tam też i starszyzna zebrana, by powitać swego bohatera. Ale bliższy ich umysłom niż Atena był Eskulap, korona zaś, którą przygotowywali na jego głowę, była stalową obręczą z przewodami odchodzącymi od niej do skomplikowanego encefalografu. Nie było tam tyrana, nie licząc demona nienawiści, ale byli na pewno barbarzyńcy, chociaż dopóki nie zostali pokonani i zdemoralizowani, uchodzili za ludzi cywilizowanych. Oni występowali przeciwko Peryklesowi Phranakisowi i wciąż przeciwstawiali się wysyłanym przeciwko nim siłom. Nie chciał przyjąć tego do wiadomości, a teraz zapomniał.

Jego smagła twarz promieniowała zadowoleniem. Leżał na czymś, co w zasadzie było łożem, ale w razie potrzeby mogło stać się przedłużeniem jego ciała. Poza instrumentami kontrolującymi każdą fizyczną funkcję – bicie serca, oddech, rytm mózgu, ciśnienie krwi i tuzin innych – podłączono do jego ciała mnóstwo skomplikowanych protez. Był teraz sztucznie karmiony, reszta zaś przyrządów pozostawała wyłączona. Gdyby szok odzyskania świadomości okazał się równie gwałtowny jak szok zapaści, mógł odrzucić wszystkie wysiłki utrzymania go przy życiu. Wtedy do akcji wejdą urządzenia do masażu ciała, sztuczne płuca, sztuczna nerka i inne i będą walczyły o podtrzymanie funkcji życiowych jego ciała dopóty, dopóki z bólem nie zaakceptuje frustrującej świadomości swojej planowanej ucieczki ze świata.

W pobliżu, pośród podobnej scenerii przygotowywała się Ilsa Kronstadt. Po jej lewej ręce siedział w fotelu młody człowiek o czujnej, bladej twarzy – nowo wyszkolony telepata recepcyjny pełniący rolę obserwatora terapeutycznego. Gdy Ilsa Kronstadt zagłębi się w świat samouwielbienia Phranakisa, nie będzie zdolna do porozumiewania się słowami ze zdenerwowanymi lekarzami nadzorującymi proces. Przez wiele godzin ten młody mężczyzna i trójka innych będą „słuchać" przebiegu jej zmagań i meldować o wszystkim, o czym muszą wiedzieć lekarze.

Technicy, specjaliści i telepatka, jedno po drugim, skinieniami głowy zgłaszali swoją gotowość Singhowi, który stał w nogach łóżka Ilsy Kronstadt wspominając jej poprzednie sukcesy i usiłując nie myśleć

o masie rakowatej tkanki rozprzestrzeniającej się pod powierzchnią jej mózgu. Leżąc tak pośród aparatury otaczającej jej łóżko, wydawała się bardzo mała i stara, a chociaż nie powiedziała mu tego głośno, wiedział, że się boi.

– Jesteśmy gotowi, Ilso – powiedział najspokojniejszym tonem, na jaki mógł się zdobyć.

– Jak też – odparła nie otwierając oczu. – Zachowajcie teraz ciszę.

Potem, bez żadnego uprzedzenia, zaczęła. Singh nie umiał wytłumaczyć po czym to poznaje, ale nie było żadnych wątpliwości – jeszcze przed sekundą była przytomna i świadoma swego ciała, teraz było ono tylko powłoką, ona zaś znajdowała się w innym świecie.

Utkwił zatroskane oczy w bladej twarzy obserwatora i nim upłynęły dwie minuty, przeraził się widząc odmalowujący się na niej wyraz zaskoczenia. W tym samym momencie Ilsa poruszyła się.

– Silny... – przemówiła dalekim głosem.

Zaalarmowany zespół emanował niemal namacalne napięcie. Oblizała usta i ciągnęła dalej:

– Odbieram teraz obraz jego fantazji. Jest wielkim bohaterem Aten, ulubieńcem bogów i idolem ludzi... Nie mogę się przebić, Pan! Nie mogę tego zrobić bez zwrócenia na siebie uwagi, a wtedy on przywoła całą swoją wolę, żeby mi się przeciwstawić.

– Nie śpiesz się – uspokajał ją Singh. – Na pewno istnieje możliwość stworzenia roli pasującej do fabuły jego fantazji. Znalezienie jej może potrwać, ale na pewno się znajdzie.

– Wiem – głos Ilsy był słaby jakby dochodził zza grobu. Singh nie był pewien ile z tego słyszy, a ile odbiera telepatycznie. Blade usta telepatki ledwie się poruszały. – W niewiarygodny sposób kontroluje sytuację, Pan. Wtórne osobowości schizoidalne są nieprawdopodobnie kontrastowe. A stworzył je zarówno z osobowości reflektywnych, jak i ze swojej własnej.

Singh zagryzł usta. Tylko potężna siła samozakłamania może tworzyć wtórne osobowości schizoidalne – grające swoją rolę w dramacie, których myśli i reakcje były obserwowane przez ego telepaty, ale wymykały się spod jego kontroli. Jednak – bez chwili wahania – pospieszył z nowym pocieszeniem.

– Przecież to powinno upraszczać sprawę! Nie będzie zaskoczony pojawieniem się intruza.

– Nie pozostawił miejsca dla intruzów! – uwaga ta została podana przeszywającym krzykiem. – To przypomina kwiat, który rozwija płatki – jest kompletne, można powiedzieć doskonałe.

Pomimo desperackich wysiłków, Singh nie potrafił znaleźć żadnych słów pocieszenia. Tak złożona fantazja musiała prześladować Phranakisa od lat i nurtując jego podświadomość, polerowana i udoskonalana, mogła się teraz rozwinąć jak film – bez żadnych luk czy niedociągnięć, które ułatwiłyby wejście terapeucie, ukrywającemu się pod maską zwykłego mentalnego statysty.

Powiedział ochryple.

– No cóż, uzbrój się w cierpliwość, Ilso. Kiedy sytuacja będzie rokowała jakieś nadzieje, zakłócimy rytm jego mózgu i ułatwimy ci wejście.

Nie było odpowiedzi. Bo i jakaż miałaby być? Do tak brutalnych środków uciekali się inni, gorsi terapeuci. Ilsa Kronstadt nigdy nie była zmuszona do korzystania z nich. Już teraz, zanim operacja weszła w decydującą fazę, w sali unosiło się widmo klęski.

*

„Alicja po drugiej stronie lustra". Droga, która zawsze wraca do punktu wejścia, bez względu na to, jak bardzo się starasz, dojść do jej końca.

Pojęcie z teorii względności. Zwinięcie się przestrzeni.

Kadr z filmu sf: jarzące błękitem pole siłowe z rozgałęzieniami wyładowań.

Fragment legendy: ściana magicznego ognia otaczająca miejsce, gdzie śpi od wieków zaczarowana dziewica.

Zafascynowany tajemniczością tego co się dzieje, Howson wychwytywał te i inne obrazy myślowe z umysłów ludzi, biorących udział w próbie uratowania Phranakisa. Były jedynie skojarzeniami, niczym więcej – etykietkami doczepionymi grupie katapatycznej przez ludzi, którzy nie mogli znieść pojęć nieopatrzonych etykietkami. Początkowo sam też akceptował wyjaśnienia Waldemara. Nie przypuszczał, że rzeczywistość będzie tak daleka od wyobrażeń, jak słońce od księżyca.

NIE

Kierował ten rozkaz do samego siebie, ale wydał go tak ogłuszającym, telepatycznym krzykiem, że pozostali telepaci przebywający w szpitalu, włączając w to dziewczynę z Nepalu, zareagowali sennym zdziwieniem. Sięgnął po omacku na półkę wiszącą obok łóżka, gdzie trzymał zapas leków i odszukał buteleczkę z proszkami uspokajającymi. Łyknął dwie pastylki i znieruchomiał, czekając aż opaszą jego umysł kaftanem bezpieczeństwa.

Jego oddech stał się bardziej miarowy. Pokusa powrotu do obserwacji jaskrawych fantazji wysyłanych przez nieznajomego ustąpiła, jakby opanował nieprzepartą chęć popróbowania językiem popsutego zęba i wywołania w nim bólu. Kiedy uznał, że jest już zdolny do poruszania się, wstał niezdarnie z łóżka i sięgnął po ubranie, zdecydowany wyruszyć na poszukiwanie anonimowego wroga.

XV

Wysiadłszy z windy pokuśtykał wolno głównym holem szpitala mijając po drodze gotowe do użycia aparaty – butle z tlenem spoczywające na kanciastych wózkach jak modlące się modliszki, rzucające garbate cienie na kremowe ściany; nosze na kółkach ze starannie złożonymi kocami; maszynę zwaną sztucznym sercem, maszynę zwaną sztucznymi płucami, maszynę zwaną sztuczną nerką, jak gdyby można je było poskładać ze sobą i stworzyć sztucznego człowieka.

Z czyim mózgiem? Z moim? Wolałbym raczej...

Drzwi wejściowe otwarły się gwałtownie i stanął w nich Pandit Singh ubrany w czarny sweter i czarne spodnie. Światło tworzyło aureolę wokół grzywy jego siwych włosów.

– Gerry! Co z tą grupą katapatyczną? Tuż pod naszym bokiem? Kto? A poza tym, co ty tu robisz? Czy Ludwiga Schachta nie ma na dyżurze?

Mróz zawziętości w tych słowach nie bardziej świadczył o jego zdenerwowaniu niż szron siwizny na jego krzaczastych brwiach o jego wieku. Wydawał się niezmiennie młody. Awans z dawnego stanowiska ordynatora terapii A na dyrektora naczelnego szpitala nie zmienił go ani na jotę. Howson polubił tego człowieka od pierwszego wejrzenia, teraz po wielu latach współpracy kochał go tak, jak kochałby swego ojca.

Kiedyś pragnął, by odebrano mu jego dar, nie chciał go. To pragnienie powracało jeszcze od czasu do czasu, ale teraz nie chciał, by telepatia całkowicie znikła ze świata. Obdarowałby nią Pandita Singha, człowieka najodpowiedniejszego do władania taką potęgą.

Dlaczego właśnie ja? Dlaczego ja, słabeusz?

Był straszliwie zmęczony. Ale potrafił zapanować nad swym piskliwym głosem, kiedy korygował przypuszczenia Singha.

– Gdy szedłeś tutaj, pewnie nie zatrzymałeś się, Pan, żeby wypytać Ludwiga o szczegóły. Ta grupa nie jest w trakcie zawiązywania. Ona już istnieje w tym mieście. Ta dziewczyna z Nepalu odebrała we śnie jakieś rozproszone obrazy – tak się akurat składa, że fabuła fantazji pasuje z grubsza do jej własnej przeszłości – i obudził mnie jej instynktowny strach.

– Rozumiem! – Singh pogładził brodę. – Możesz ich nam zlokalizować, czy będziemy musieli sami poszukać?

– Tak, potrafię ich wytropić – zapewnił Howson. – Dlatego właśnie się ubrałem.

Singh przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. Potem, wiedziony jednym ze swych olśniewających przebłysków intuicji, powiedział.

– Gerry, tu nie chodzi tylko o to, że wyrwano cię ze snu. Czy to szczególnie zły przypadek?

Howson skinął z przygnębieniem głową.

– To sprawia wrażenie czegoś godnego potępienia, Pan. Nie ma w tym normalnych tonów ... słabości, albo ucieczki. Wyczuwam... jak to u diabła określić? Ironię? Upór? Zdecydowanie?

Umysł Singha zareagował powagą. Była ona jednak w jakiś sposób kojąca: gdyby wyrazić ją słowami, przybrałaby następującą formę: *Jeżeli on jest przestraszony, ma ku temu powody, a więc nie mogę się z nim spierać. On jest przecież największy – wiem co potrafi.*

Howson spróbował się uśmiechnąć. Drzwi wejściowe otwarły się ponownie i do holu wielkimi kro-

– Zamknij się – powiedział Howson. – To robi na mnie wrażenie czegoś wielkiego, Ludwigu. Wielkiego... i złego.

Wyczuł niedowierzanie Schachta, ale zignorował je. Schacht starał się przynajmniej panować nad swoją instynktowną niechęcią do telepatów, a to było więcej niż coś na co mogli się zdobyć inni ludzie.

Wysłał swój umysł na wędrówkę nad śpiącym miastem, gdzie między wysokimi, białymi wieżami i po prostych szerokich alejach szumiał sennym poszeptem wiatr wzniecany milionami mózgów. To była świadomość kosmopolityczna rozciągająca się na cały świat, a czasami jeszcze dalej, aż po Księżyc, albo po Marsa...

Znalazł wytłumaczenie swej niechęci do podróżowania. Po co tłuc się po świecie, skoro on sam może przyjść do niego? W umyśle jednego człowieka znaleźć mógł wspomnienia z pustyni, inny był w dżungli, jeszcze inny wrócił niedawno z pustej przestrzeni, bolesnej gwiazdami ostrymi jak noże.

Ale to nie było dobre wytłumaczenie. Życie na czyjś rachunek było pasożytnictwem, a nawet symbiont może przejawiać odrobinę ambicji.

Zapanował znowu nad tokiem swoich myśli. Tej nocy spał tylko godzinę i czuł się skrajnie wyczerpany. Mimo wszystko, zanim znowu uśnie, musi skończyć to, co zaczął.

I nagle znalazł.

– Masz już coś? – zapytał Schacht z rosnącym zniecierpliwieniem. Howson ledwie go usłyszał, był zbyt przybity uświadomieniem sobie tego, co się dzieje.

– Gerry!

– Tak... słucham, Ludwigu – wykrztusił Howson. – Lepiej skontaktuj się z Panem i każ mu tu przyjść. Zawiadom też Deirdre. I wezwij ambulans oraz samochód.

– Co w końcu, u diabła, stwierdziłeś?

– Formuje się kolejna grupa katapatyczna. Gdzieś poza szpitalem. W mieście. Wydaje mi się, że potrafię ich wytropić. – Wizje rządów absolutnych zarówno nad prawami natury, jak i nad umysłami ludzi zepchnęły te słowa na dalszy plan.

– Och, cudownie – powiedział zgryźliwie Schacht. – Tylko mnie się mogła przydarzyć taka noc! Jak dotąd, odkąd objąłem dyżur dwie rany kłute od pchnięcia nożem, trzy poparzenia, wypadek samochodowy i dwa przedwczesne porody.

Howson nie zwracał uwagi na jego narzekania. Gwałtowność zdarzeń atakujących jego umysł przyprawiła go o zawroty głowy. Nie związane w żaden sposób z rzeczywistością, ale mimo to naładowane pełnią świadomości – jak sny, chociaż te nie były nigdy równie nielogiczne – nie dawały mu żadnego punktu zaczepienia czy odniesienia. Oglądając je za pośrednictwem umysłu dziewczyny (którą chroniła prawdopodobnie przed tym bombardowaniem zażyta wcześniej tabletka nasenna), nie zdawał sobie sprawy ze stojącej za nimi potęgi. A co gorsza, otaczała je aura doskonałego opanowania zabarwiona...rozbawieniem...

Wytężył każdą uncję siły woli i przerwał kontakt. Paznokcie miał wbite głęboko w dłonie. Nic dziwnego. Tego właśnie obawiał się najbardziej.

Przemówił do nieznanego telepaty zarówno głośno, jak i umysłem, wkładając w poszczególne pojęcia całą swą wściekłość i nienawiść.

– *Kimkolwiek jesteś, bądź przeklęty!*

Bezpieczny w swoim wymyślonym świecie, z sobie tylko wiadomych przyczyn snujący barwne fantazje, nieznajomy odebrał chyba ten przekaz, bo zachichotał, zachęcając Howsona, by przystąpił do oblężenia fortecy jego mózgu, jeżeli ma tylko na to ochotę. A może był to tylko wytwór wyobraźni Howsona? Czuł się zbyt roztrzęsiony, żeby to z całą pewnością stwierdzić.

Udręczony, stanął oko w oko z nieodwracalną przyszłością. Nie można było zrezygnować z żadnego telepaty projekcyjnego, a sądząc po odebranych przez niego sygnałach, był to człowiek wyjątkowy wśród wyjątkowych. Mniejsza z tym, co za koszmar pchnął go do wycofania się z rzeczywistości; będą go chcieli z tego wyciągnąć. Wezwą Howsona, ponieważ on to robi najlepiej i będzie się musiał tego podjąć, chociaż jest w najwyższym stopniu przerażony i może tym razem stwierdzi, że...

Sondował umysły czuwających telepatów. Znalazł w nich odzwierciedlony znajomy świat – zdarzenia toczyły się według określonych praw, ciało stałe było ciałem stałym, zmysły wymrukiwały swoje komunikaty o kondycji ciała. Ale Phranakis zamknął za sobą na klucz wszystkie drzwi prowadzące do świata normalnego i chociaż pozostały jeszcze okna – można by rzec, o szybach ze szkła spolaryzowanego, przez które można było tylko zaglądać do środka – to wszystko, co się za nimi działo, było szalone.

Wiedząc o tym, Howson gorąco pragnął znaleźć w sobie tyle siły woli, żeby móc oprzeć się pokusie, która w nim kiełkowała. Widział swoje własne fantazje powtarzane przez Phranakisa – on sam w roli bohatera, wszystko toczy się zgodnie z ustalonymi przez niego zasadami, tak by nic nie denerwowało, nic nie niepokoiło wszystkowiedzącego władcy. Tutaj ludzka żądza władzy, tłumiona u świadomych telepatów obawą przed przysparzaniem cierpień innym ludziom, mogła znaleźć swój upiorny upust. Sadomasochistyczne impulsy, tak długo hamowane przez Phranakisa, wypełzały już z cienia i podbarwiały jego wizje.

Strącali jeńców z Akropolu, żeby wybawca miasta, przy akompaniamencie ich wrzasków mógł się jeszcze bardziej cieszyć swym tryumfem.

Nagle płynny bieg akcji został zakłócony. Przypominało to trzęsienie ziemi – budynki zadrżały w posadach, ludzie zachwiali się, niebo pociemniało. Trwało to tylko chwilę, ale skutki były oszałamiające. Howson stracił kontakt i ponowne jego nawiązanie zajęło mu kilka minut.

*

– Weszła – zameldował obserwator terapeutyczny. Jego twarz była ściągnięta w nieludzką maskę. – Jest jeńcem skazanym na śmierć. Stara się zwrócić na siebie uwagę bohatera.

Singh skinął w zamyśleniu głową.

– To by się zgadzało. Pasuje do danych, jakie mamy na temat jego preferencji seksualnych. Czy wiadomo coś o planie długoterminowym?

– Nie. Strategia ustalana jest tylko na krótką metę – powiedział obserwator. – Idea jest następująca – uwikłać go w sytuację seksualną, licząc na to, że wtedy straci kontrolę nad całością i przejść do ataku... widzę trzy główne sekwencje... chcesz wiedzieć jakie?

– Jeżeli nie szykuje się nic bardziej interesującego...

– Nie – obserwator musiał przerwać, żeby przełknąć ślinę. – Jeńcy nadal są strącani ze skały. Tak, albo ona wprowadzi do scenariusza quasi-rzeczywisty nóż – może przy okazji uczty – i wykastruje go publicznie, albo doprowadzi go do stanu zamroczenia alkoholowego i wywoła pożar w świątyni, albo zacznie wyłapywać poszczególne osobowości reflektywne i wznieci bunt niewolników.

Singh zamknął oczy. Mając za sobą tyle lat pracy w zawodzie lekarza, wciąż wzdragał się przed bezwzględnością metod stosowanych przez swoich kolegów i siebie samego. Co oznaczałaby dla Phranakisa publiczna kastracja, wolał nie myśleć – ale mógł to sobie wyobrazić. Jeżeli cokolwiek miało wyrwać go z transu, to właśnie to. Cały materiał dotyczący życia Phranakisa świadczył o dręczącej go potrzebie ciągłego potwierdzania swojej męskości. W realnym świecie nie było nic, co bardziej by go przerażało niż to, co szykowała mu Ilsa.

*

Howson śledził teraz uważniej bieg wypadków. Odkrył przyczynę „trzęsienia ziemi". Do zespołu Funcka Phranakisa przyłożony został jakiś impuls elektroniczny celem uczynienia wyrwy dla Ilsy Kronstadt. Teraz podpatrywanie było dużo łatwiejsze. Z odrazą, lecz i fascynacją pojął, do czego ona teraz zmierza i chociaż nie przyszło mu to łatwo, uświadomił sobie w końcu, że jeżeli coś nie wyrwie tego człowieka z jego rozkosznego snu, jest on już właściwie martwy, a razem z nim czworo cennych, ciężko pracujących nietelepatów, których indywidualności bez skrupułów podeptał. W pewnym sensie zasłużył na to, co się miało stać. Ale... tak naprawdę, czy ktokolwiek mógł na to zasłużyć?

*

– Jest coraz bardziej zmęczona – obserwator zakomunikował szeptem, jakby Ilsa Kronstadt mogła go usłyszeć. To był absurd, nie mogło teraz dotrzeć do niej nic z wyjątkiem projekcji innego telepaty prowadzonej z pełną mocą. Cała jej energia przeobraziła się w siłę woli ukierunkowaną na zmienianie, rozbudowywanie i podkopywanie scenariusza wizji Phranakisa.

– Czy zbliża się kryzys? – mruknął Singh.
– Zbiera wszystkie swoje siły. Wprowadzając nóż stara się odwrócić jego uwagę wizjami seksualnymi... O Boże!
Ten skamlący okrzyk zmroził wszystkich obecnych na sali oraz Howsona przebywającego kilka pięter wyżej. Z wywróconymi z przerażenia oczyma, nie widzącymi otoczenia, lecz tylko straszny dramat psychiczny rozgrywający się pomiędzy Ilsą a Phranakisem, obserwator wydyszał prawdę.
– Ona słabnie! Traci kontrolę, on zaś stwarza sobie strażników, całą armię! Wciela się w Kadmosa, rzuca na ziemię smocze zęby, a z nich rodzą się żołnierze!
– Sprowadź ją z powrotem! – krzyknął Singh i jeszcze zanim skończył, uświadomił sobie, że to nic nie da. Ktoś – nawet nie patrzył kto – wyraził to słowami.
– Jeżeli ją teraz obudzisz, Pan, zostawi za sobą połowę swego ego i będzie bardziej trupem niż człowiekiem.

*

A więc to się czuje tracąc...
Była bardzo zmęczona. Niemal z ulgą zauważyła, że jej wyobraźnia, niezdolna do dalszych wysiłków, sama podcina sobie skrzydła. Zewsząd otaczali ją żołnierze – ogromni mężczyźni o smagłych twarzach i zmierzwionych brodach, w pancerzach z brązu i skóry. Ich zastępy ciągnęły się w dal pod ciemnym sklepieniem marmurowej sali. Trwała uczta i tysiąc uczestników – kukieł, ludzkich atrap – fetowało na cześć swego władcy i pana, którego próbowała zdetronizować.
Czy to na pewno uczta? Nie była już pewna gdzie kończy się iluzja – istniał rzeczywisty ból od brutalnego uścisku na jej ramionach co utrudniało koncentrację. Świat zafalował. Była... była... jeńcem. Tak, wrogiem oszczędzonym przez łaskę władcy, złapanym teraz na zdradzie. Wyrok był już wydany, nieodwołalnie, przez niedoszłą jej ofiarę.
– Śmierć.
– Śmierć! – rozległ się ryk tysiąca głosów powtórzonych tysiącem ech pod sklepieniem jej czaszki – Śmierć.
No cóż, jednak – klęska. Można było tego spodziewać. Przecież w pewnym sensie ponosiła porażki we wszystkim, czego próbowała, bo ani jedno zadanie – trysnęła powódź wspomnień – ani jedno zadanie nie zostało doprowadzone do końca.

XIII

Howson, sparaliżowany przerażeniem śledził zmierzch tej jasnej potęgi, którą teraz z trudem można było nazwać Ilsą Kronstadt. Przypominało to obserwowanie, jak w zalewanym przez deszcz ognisku, zamierają ostatnie iskry, podczas gdy wokół obozowiska wilki czekają tylko na sposobność, kiedy będą mogły podejść bliżej.
Krzyczał głośno swoim cienkim, śmiesznym głosikiem, powtarzając w kółko NIE, NIE, NIE. Po policzkach spływały mu strumienie łez, bo umysł Ilsy Kronstadt był tak piękny, tak wyraźny i jasny, jak dziecinne wyobrażenie anioła. Wandale rozbijali tafle witraży ciskając nieczystościami w portrety Pana, wdeptując w błoto arrasy. Szaleniec, niczym Czas pożerający swoje potomstwo, odgryzał głowę własnemu dziecku. Krew spływała mu po brodzie, ochrypły, bulgotliwy rechot drwił z ludzkich nadziei.
I nagle, bez ostrzeżenia, jak zajmujący się płomieniem ostatni patyk, powrócił blask. W jego świetle, jak ścieżka widziana od końca z wyraźnie zaznaczonym każdym etapem podróży, ukazało się całe życie Ilsy Kronstadt. Howson przypatrywał się mu zdezorientowany i przerażony.
Blask zaczął zamierać. Pojawiło się uczucie bezgranicznego żalu – nie goryczy, bo inny bieg wypadków był niemożliwy do pomyślenia. Łagodna rezygnacja. Mgły zawarły się ponad ścieżką, pozostawiając tylko majaczące w mroku szare cienie niepowodzeń. I to jedno ponad wszystko. Dziecko – symbol przeznaczenia, przeklęte na całe życie przez bezmyślność niedoszłego tyrana, egoizm kobiety, która nigdy nie powinna była zostać matką i kaprys bezwzględnej dziedziczności.
To kalekie dziecko, któremu nie potrafiłam pomóc.

*

obrazy. Uczucie poddaństwa i władzy absolutnej, nastrój wyzywającej arogancji. One nie pochodziły od tej dziewczyny. A tym bardziej to poczucie męskości, podbarwiające wizje. Podobnie jak większość ludzi ze wsi, miała mocno zakorzeniony sąd o męskości i kobiecości. Pragnąc uniknąć najgorszych konsekwencji jakie mógł na nią ściągnąć jej rozwijający się talent, dostosowała się do panującego w jej domu religijnego wzorca społecznego.
W interkomie rozległ się znużony głos:
– Tu Schacht, lekarz dyżurny. Co się stało?
– Mówi Gerry, Ludwigu. Dzieje się coś złego z tą dziewczyną z Nepalu, z Oddziału Czwartego. Coś na tyle złego, że się obudziłem.
– Hmmm? – wymrukując to niesformułowane pytanie, Schacht omiatał wzrokiem tablicę lampek alarmowych Oddziału Czwartego. – Nic tu od niej nie mam. Zgodnie z sygnalizacją śpi.
– Ona nie jest źródłem – powiedział Howson. Pocił się. Na tle tego, co przechwytywał, była straszliwa otchłań i złożoność i im bardziej się w to wgłębiał, tym mniej stawał się pewien, że wie co one oznaczają.
– Czy leżą u nas jacyś paranoicy z Chin? Chodzi mi o mężczyzn.
– Tak, jest jeden przechodzący śpiączkę i regres. Leży w tym samym skrzydle co dziewczyna – Schacht zawahał się. – Powiedziałeś, że ona nie jest źródłem. Czy to ma znaczyć, że ona przechwytuje myśli jakiegoś szalonego umysłu?
– Odbiera czyjeś myśli i przeraża to ją jak diabli. Sprawdź paranoika, o którym wspomniałeś. To może być on. – Sam słyszał wątpliwość w swoim piskliwym głosie.
– Na tablicy chemoterapii też nie pali się żadna lampka alarmowa. Sądziłem, że w czasie śpiączki ego jest całkowicie wyłączone – znajduje się poza czyimkolwiek zasięgiem.
– Może przerwany został dopływ środków uspokajających. Sprawdź go w każdym razie.
Pauza. Wrażenie wzruszania ramion.
– Dobrze, ale jeżeli źródłem nie jest ten Chińczyk, to czy masz całkowitą pewność, że nie jest nim sama dziewczyna?
– To na pewno nie ona – zapewnił go Howson. – Pośpiesz się Ludwigu, proszę cię.

*

– Gerry? On jest całkowicie nieprzytomny. Jesteś pewien, że to nie sama dziewczyna – może wtórna osobowość schizoidalna?
Howson opanował pokusę warknięcia na Ludwiga. Był pewien swego, ale nie umiał tego powiedzieć.
– Wyłącz się – powiedział z rezygnacją. Koniec nadziei na niezakłócony odpoczynek nocny.
Dotknął przycisku, za pomocą którego można było podnieść podgłówek łóżka tak, żeby stanowił wyprofilowane oparcie dla jego zdeformowanych pleców i opadłszy wygodnie na poduszki zapatrzył się w ciemność.
Na początku będzie musiał wyciągnąć z szeregu telepatycznych pojęć trochę więcej wskazówek. Mężczyzna – Azjata rozkoszował się władzą – nie była to zbyt rzadka cecha po tej, gęsto zaludnionej, stronie planety. Zbadał ostrożnie głębiej położone poziomy. Można przynajmniej stwierdzić, że nie sprawia to wrażenia emanacji chorego umysłu. Nie nosiło nawet tych cech irracjonalności, tak właściwych ludzkim marzeniom sennym.
Nie, chwileczkę. Coś nie tak. Zaczął od początku. Czyżby podczas pierwszego kontaktu nie dostrzegł czegoś dziwnego, co roboczo zdefiniował jako magię?
Coraz bardziej zaintrygowany, przyjrzał się temu bliżej.
Niedobrze. Niekompetencja dziewczyny zamazywała szczegóły i prawdopodobnie czyniła całość nieczytelną. Będzie musiał poszukać pierwotnego źródła. Z jednej strony nie powinno być to trudne – aby dotrzeć do świadomości śpiącej nowicjuszki, sygnał musiał być bliski i silny. Z drugiej jednak strony zadanie było ogromne. „Blisko" mogło oznaczać jakiekolwiek miejsce w mieście, które liczyło sobie milion z okładem mieszkańców.
– Gerry? Jesteś tam? – odezwał się z interkomu Schacht.

Część trzecia

MENS

XIV

Ponieważ był tym, kim był, poprosił pewnego razu – i jego prośba została spełniona – o prywatny samolot. Myślał o podróżowaniu po świecie i ucieczce przed skonsternowanymi spojrzeniami i ukradkowymi szeptami zwykłych ludzi. Ale ponieważ był taki jaki był, nawet lekkie zaskoczenie na twarzy pilota przy ich pierwszym spotkaniu bolało i to bardzo. Znosił to przez jakiś czas, potem przerwał nagle podróże i nigdy więcej nie poprosił o samolot.

Ponieważ był tym, kim był, rzadko dane mu było korzystać z luksusu samotności. Z dwojga złego, lepiej już było nie ruszać się z centrum terapeutycznego w Ułan Bator, gdzie ci, którzy go znali, przyzwyczaili się do jego wyglądu, a ci, którzy go nie znali, mogli sądzić, że jest pacjentem, takim jak oni.

Ostatnie jedenaście lat przyniosło wiele zmian, ale on był wciąż taki sam i tylko na jego drzwiach widniała teraz inna tabliczka: GERALD HOWSON psi D, TELEPATA PIERWSZEJ KLASY, ŚWIATOWA ORGANIZACJA ZDROWIA. Był jedną ze stu najbardziej niezastąpionych osób na Ziemi. Z tego był dumny. To trochę pomagało. Ale poza tym nadal był karłem i wciąż powłóczył krótszą nogą kuśtykając korytarzami szpitala i wciąż, każdego ranka, witała go w lustrze ta sama, szkaradna twarz.

Długo karmił się nadzieją. Wciąż żywe było wspomnienie głuchoniemej dziewczyny, której darowano mowę oraz słuch i dnia, kiedy ze łzami w oczach przyszła mu podziękować – jemu, Geraldowi Howsonowi. Ale jej wdzięczność nie trwała długo. Odwiedzała go coraz rzadziej. W końcu przestała przychodzić, a potem dowiedział się, że poślubiła mężczyznę z miasta, w którym spędziła dzieciństwo.

A on wciąż był odrażającym kaleką.

Czasem coś podsycało jego nadzieję – nowe techniki, nowe metody chirurgiczne. Raz nawet poddano go próbnej operacji przeszczepu skóry. Ale na długo przed zabliźnieniem się wolno wrastającej tkanki, na długo przed wpleceniem się do przeszczepu rozgałęzionej sieci naczyń krwionośnych, uległ on gangrenie i odpadł. Od tego czasu Howsona ogarnęła tępa rezygnacja. Bez względu na to jak długo będzie myślał, nie doda wymarzonego łokcia do swego wzrostu – zamiast użalać się nad sobą, lepiej zająć się innymi sprawami.

Kiedy jednak w czasie snu opadały ochronne zasłony świadomości, nie było ucieczki przed rozpaczą.

★

Ocknął się nagle z przygnębiającego snu. To nie była zwykła zmora z jego nocnych koszmarów! Nawiedzały go tak często, że rozpoznawał już korzenie łączące je z rzeczywistym życiem, to zaś, co go teraz przestraszyło, nie wiązało się z żadnym bezpośrednim doświadczeniem.

Nie otwierał oczu. Nie miał po co, pokój i tak pogrążony był w ciemnościach, a źródło sygnału, który drażnił jego mózg znajdowało się gdzieś dalej, zamaskowane przez „szum" ludzkich marzeń sennych. Komunikat rozległ się nagle, jak krzyk w czasie cichej rozmowy. Był to krzyk trwogi.

Oddychając miarowo starał się zachować spokój i w napływającym doń strumieniu myśli szukał obrazów identyfikujących. Wysokie góry, przykryte czapami śniegu, karawany sunące dolinami i zdania wypowiadane językiem, którego nie rozumiał.

Chyba mam.

Na Oddziale Czwartym leży przecież ta dziewczyna z Nepalu – telepatka-nowicjuszka, którą znaleziono za późno, kiedy została ukamieniowana przez swoich zacofanych i przerażonych ziomków, którzy uważali ją za narzędzie szatana. Musiała mieć zły sen.

No cóż, jeżeli naprawdę tak się sprawy miały, mógł sobie z tym poradzić nie wstając z łóżka. Przygotował się do otwartego kontaktu z dziewczyną i wyssania z niej tego bezpostaciowego strachu. Powstrzymał się jednak w ostatniej chwili i poczuł, jak niezadowolenie ściąga mu brwi.

To już nie był Nepal. Nawet kraj tak odizolowany od świata, otoczony zewsząd górami, nie mógł być tak prymitywny. Stosunki feudalne? Magia? Magia?

Zanim zdał sobie sprawę z tego, co robi, siedział już na łóżku i naciskał kciukiem przycisk interkomu. Czekając na zgłoszenie się lekarza dyżurnego, wniknął głębiej w docierające doń echem fantastyczne

Był ślepy, a jednak poruszał się. Biegł powłócząc krótszą nogą, znajdując skądś siłę do otwierania drzwi, schodzenia krętymi schodami i pokonywania niekończących się korytarzy, których nie widział poprzez łzy wypełniające mu oczy i ściekające na zapadnięte policzki. To tylko jego ciało odbywało tę podróż. On odszedł gdzie indziej.

★

– O mój Boże! – wykrzyknął obserwator i zerwał się na równe nogi, jakby poderwała go z fotela dłoń olbrzyma. Singh wyciągnął rękę, żeby go podtrzymać, choć rozpacz zaciemniała mu umysł.

– Czy odeszła? – wyszeptał.

– Skąd to nadchodzi? – krzyczał obserwator. – Mój Boże, skąd to się bierze? – kręcił się w kółko, jak zapędzone w pułapkę zwierzę. Z jego oczu wyzierał strach.

– Co? – krzyknął Singh. – Co?

Technik obserwujący przebiegi kreślone przez encefalograf wydał stłumiony okrzyk.

– Doktorze Singh – rzucił – aparat rejestruje obcy rytm! Jest przesunięty w fazie... proszę tylko spojrzeć na amplitudę!

– Jej serce podejmuje pracę! – zameldował z niedowierzaniem inny technik.

Singh poczuł, jak w odpowiedzi zamiera jego własne serce. Wyciąganie bliższych informacji od zaszokowanego obserwatora, nie miało większego sensu. Zamiast tego, podbiegł do encefalografu.

– Niech pan tu spojrzy! – technik stukał palcem w falujące linie. – Wygląda się teraz, wpada w fazę, ale kiedy pojawiło się po raz pierwszy skoczyło tak bardzo, że myślałem, że już z nią koniec.

– Czy to znaczy, że Phranakis przejmuje kontrolę nad całym jej umysłem?

– To nie to! – powiedział z pasją technik. – Znam jego przebieg jak... charakter pisma. To nie pochodzi od niego.

Powietrze zdawało się tężeć tak szybko, jak zamarza przechłodzona woda. Zupełnie zdezorientowani, patrzyli jeden na drugiego, szukając wyjaśnienia.

– Nie mamy na to żadnego wpływu – powiedział w końcu Singh. – Możemy tylko czekać.

Odpowiedziały mu powolne skinienia głów. I kiedy przygotowywali się do przetrwania ostatnich, krytycznych minut, z korytarza prowadzącego do sali dobiegł ich hałas.

Składały się nań poddenerwowane głosy ludzi usiłujących kogoś zatrzymać. Słychać było tupot biegnących nóg, lekki i dodatkowo tłumiony przez pochłaniającą dźwięki wykładzinę podłogową. W końcu rozległo się walenie w drzwi zewnętrzne i dał się słyszeć cienki, ledwie słyszalny krzyk.

Zaszokowany wciąż obserwator postąpił dwa kroki w kierunku drzwi wejściowych podrygując, jak źle poruszana kukiełka. Singh odwrócił się powoli. Cisnące mu się na usta słowa o konieczności zachowania ciszy i niebezpieczeństwie uwięzły mu w krtani, gdy pojął prawdę i starał się przypomnieć sobie, co to jest nadzieja.

Potem drzwi otworzyły się gwałtownie i wpadł przez nie utykając na jedną nogę ten gigant, wysoki zaledwie na pięć stóp i zalany łzami.

★

Tak bardzo chciałam pomóc temu dziecku, a musiałam wypowiadać wyświechtane frazesy o wielkich problemach i małych problemikach... Tamten lekarz powiedział – jedno ramię wyższe, jedna noga krótsza, nieźle jak na jednego noworodka. A potem dowiedziałam się o jego dziadku i wydobyłam to z umysłu tej kobiety – ona wiedziała, a pomimo to miała dziecko, żeby wykorzystać je jako narzędzie szantażu... Wielkie problemy! Jakiż problem może być większy? A ja tak chciałam pomagać i takie było całe moje życie, bo tylu jest ludzi chorych i nieszczęśliwych, a ja mogę im pomóc... mogłam im pomóc... NIECH WSZYSCY DIABLI PORWĄ TEN GUZ NA MOIM MÓZGU! Nie jest większy od pocisku i zabija mnie jak pocisk, zanim będę gotowa na śmierć. I w tym właśnie momencie Howson nie wytrzymał.

★

Z początku nie rozumiała skąd wziął się ten przypływ potężnej energii. Kojarzył się jej z rwącą, ogromną, głęboką i straszną rzeką. Ta potęga była nieokrzesana, bo była nowa jak nowo narodzone dziecko, ale pałała wielkim blaskiem.

Siła życia??? To nie może być nic innego – to siła życia.

Klęska? KLĘSKA?

Nie pozostało miejsca na pojęcia śmierci i klęski!

Powoli, na chłodno, tak jak przed chwilą, gdy rozważała widmo nadchodzącej śmierci, zaczęła czerpać z ładunku, który został jej dany. Nie znajdowała żadnego oporu ani nie pytała o źródło nowych sił – zbyt już przywykła do napotykania w swoim umyśle obcych, żeby tracić siły na próżne szukanie. Fatalne wizje narzucone jej przez Phranakisa zbladły, stając się widmowo przezroczyste. Wyczuła jego przerażenie i natychmiast przestała się nad tym zastanawiać. Sama była też trochę przestraszona, ale udawało jej się zachować spokój.

Poszukując dźwigni, za pomocą których mogłaby manipulować tą siłą, zauważyła niemal natychmiast znajome pojęcie. Wiązało się ono tak silnie z jej ostatnimi, świadomymi przemyśleniami, że była wstrząśnięta.

Matka – dziecko – obrazy porodu, karmienia, ciepła, miłości.

Dziecko – matka – obrazy dumy macierzyńskiej, nadziei, wdzięczności, miłości.

Pojęcia te były źle zdefiniowane, jakby pochodziły ze źródła, które w rzeczywistości mało wie o takich sprawach. Zaintrygowało ją to, ale szybko przestała o tym myśleć. Swoją oddzieloną świadomością wiedziała, że musi wykorzystać tę potęgę, zanim się zmęczy i straci nad nią kontrolę, pierwszą zaś i jedyną koniecznością było uwolnienie się od nienawiści, jaką czuł do niej Phranakis.

*

– Wyrywa mu się! – krzyknął ktoś.

– Widziałem, jak zatrzepotała powiekami – szepnął Singh. Czuł w piersiach ucisk, którego nie potrafił wytłumaczyć. Oczy bolały go od wpatrywania się w encefalograf, cała jego wola zsumowała się w nadzieję, że jego stara, droga, cudowna przyjaciółka przeżyje. Nie obchodziło go, skąd nadchodzi ratunek. Później... później!

– Ale ona się tylko wyrywa! – powiedział technik obsługujący encefalograf. – Nie pociąga za sobą Phranakisa... Nie, poczekajcie! – pochylił się nisko nad taśmą Phranakisa, jak gdyby mógł przeniknąć teraźniejszość i zobaczyć to, co jeszcze nie zostało zarejestrowane. – Coś się tam dzieje, ale diabli wiedzą co!

*

Zastraszony, zdezorientowany, zagubiony bohater czuł, jak jego tryumf obraca się w niwecz. Jeszcze przed chwilą był bezpieczny, pewien siebie, wytrzymał atak na... co tu ukrywać, na jego życie – to brzmiało lepiej niż prawda, która była dlań straszliwa. Ostatnia zdradziecka próba barbarzyńców dążących do wyrównania z nim starych porachunków została odparta. Największe miasto wszechczasów – Ateny, kwiat cywilizacji – było jego, a mieszkańcy gotowi byli mu służyć na każde skinienie. Będą go pamiętać przez wieki – Peryklesa Wielkiego!

Teraz jednak odczuwał bezsensowną trwogę. Wydawało mu się, że miota się w koło z mieczem w dłoni jak przestraszony królik szukając nieprzyjaciół, histerycznie prowokując ich do ujawnienia się, do wyjścia z marmurowej sali pod błękitne sklepienie nieba, gdzie, jeżeli zajdzie potrzeba, będzie mógł wyryczeć wyzwanie samym bogom!

Odrzucił w tył głowę, napełnił płuca i nie mógł dobyć z siebie głosu. Strach mącił jego zdolność widzenia, wydawało mu się, że niebiosa odwijają się jak przecięta płachta namiotu i w powiększającym rozdarciu pojawili się bogowie.

Chciał paść na twarz, ukryć głowę w pyle, zaprzeczyć temu, jak zaprzeczył... właściwie, czemu? Czemuś straszliwemu, ale nie tak przerażającemu, jak to! Był sparaliżowany. Skamląc o litość musiał patrzeć na to, co rejestrowały jego oczy, a co wydawało mu się majestatem Zeusa Gromowładnego, który unosi swoją błyskawicę i ciska ją z nieba w śmiertelnika, który poważył się uzurpować sobie prawa boskie.

Perykles Wielki stał się Peryklesem Phranakisem. Perykles Phranakis przebudził się z sennego koszmaru płacząc jak dziecko i ci, którzy czuwali nad jego ciałem, rzucili się ku niemu, aby mu pomóc.

A Zeus Gromowładny, zużywszy całą swoją energię na pojedynczy, straszliwy udar mentalnego mistrzostwa, padł twarzą na podłogę i zemdlał.

*

– Jak on to zrobił? – mruknął Danny Waldemar spoglądając z niedowierzaniem pomieszanym z podziwem na małe ciało leżące bez sił w szpitalnym łóżku.

– Obserwator był zbyt przeciążony, żeby śledzić to dokładnie – odparł Singh. Nie mógł doczekać się chwili, kiedy Howson odzyska przytomność. Wiedział, że nigdy nie potrafi wyrazić mu swojej wdzięczności za oszczędzenie Ilsie upokorzenia, ale chciał, żeby ten kaleka odczytał z jego umysłu przynajmniej tę wdzięczność. – Mało z tego zrozumieliśmy. Naturalnie, przeważyła w końcu sama siła. Potrafił ogarnąć wyobraźnią wszystko, co miał do zaoferowania Phranakis i obrócił to w jakąś wrogą, nienawistną wizję. Zdaje mi się, że kiedy Phranakis się ocknął, bełkotał coś o greckich bogach – może ujrzał ich, gdy Howson wtargnął w jego fantazje... Nieważne, wkrótce się dowiemy.

– Nie rozumiem tylko, co skłoniło go do pośpieszenia z pomocą – powiedział Waldemar. – Oczywiście nie kontaktowałem się z Ilsą. Jest jeszcze zbyt osłabiona... Może ty coś o tym wiesz?

– Tak, kiedy odłączano aparaturę była wystarczająco długo przytomna, żeby mi to powiedzieć – Singh urwał i otarł twarz. – Wszystko wskazuje na to, że ojcem Howsona był Gerald Pond. Mówi ci coś to nazwisko?

– Ten... terrorysta? Ten sam? No tak, Ilsa zaprowadziła kiedyś po nim ład, kiedy jeszcze pracowała w Komisji Pacyfikacyjnej ONZ!

– Właśnie! I kiedy w zbieraniu danych na temat agresji prowadziła wywiady z rannymi w tamtejszym szpitalu, poznała matkę Howsona, która była kilka godzin po porodzie. Czy wiesz, że ten chłopak nigdy nie zaznał miłości? Matka urodziła go, żeby szantażem zmusić Ponda do małżeństwa i nigdy się nim zbytnio nie przejmowała. A ludzie widzieli zawsze najpierw jego twarz i... i to ich do niego zrażało. Tak więc poza tym jednym wyjątkiem, nigdy nie zaznał miłości.

– Mówisz o Ilsie?

– Tak, nigdy go nie widziała i dlatego nie poznała go, kiedy znalazł się tutaj po dwudziestu latach. Ale zobaczyła go za pośrednictwem umysłu jego matki zaraz po porodzie i od tego czasu jest dla niej czymś w rodzaju symbolu, symbolu łączącego w sobie wszystkie frustracje, jakie ją gnębią, gdyż nie jest w stanie pomóc wszystkim ludziom, których kocha. I pomyślała o nim w chwili, która, jak sądziła, była jej ostatnią.

– Obserwował – powiedział Waldemar. – Wszyscy obserwowaliśmy przebieg tych zmagań. Gdy energia telepatyczna, jaką dysponuje Ilsa, zostaje w pełni rozwinięta, nie można tego uniknąć. Ale ja nie potrafiłbym zejść z nią w głąb tej czarnej otchłani, aż na samo dno, więc przeoczyłem to. Byłem tak rozbity, że musiałem wycofać swój umysł, żeby jej przypadkiem nie osłabić.

– On nie tylko z nią został. On ją uratował.

– Czy będzie jeszcze mogła pracować?

– Nie. Ale nie wybiera się jeszcze na tamten świat. Jestem tego pewien. Zamierza pożyć jeszcze wystarczająco długo, by zdążyć przekazać Howsonowi całe swoje doświadczenie.

– To lepsze niż mieć własne dzieci – powiedział Waldemar. – Oczywiście dotyczy to nas, telepatów. – Spojrzał na Singha. – Czy wiesz, że wam zazdrościmy?

– Wiem – mruknął Singh – a my wam.

– Howsonowi też?

– O nie – Singh potrząsnął głową. – Jemu nigdy nie będzie łatwo. Może znajdzie kompensację, rozwijając swój talent. Znalazł teraz sposób na jego wykorzystanie, sposób który go usatysfakcjonuje. Ale zawsze będzie musiał walczyć z nieufnością do ludzi, którzy mogą chodzić ulicami nie utykając i patrząc innym prosto w oczy.

Waldemar zamyślił się. Po chwili jednak zachichotał.

– Zamierzałem ci to powiedzieć – oznajmił. – Ale jeżeli sam już na to wpadłeś... co tu dużo mówić, mając za nauczycieli ciebie i Ilsę, przetrwa.

– On nie tylko przetrwa, on zrobi dużo więcej – odparł Singh.

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ

UWAGA – SCENARIUSZ!



Dziś zamiast zestawu mniej lub bardziej konwencjonalnych opowiadań SF proponuję Państwu prozę fantastyczną innego rodzaju – scenariusz filmowy! Rzecz wyszła spod pióra reżysera i scenarzysty młodego pokolenia, realizacja scenariusza rozważana jest w jednym z zespołów.

Paweł Solski

KRÓL KOMPUTERÓW

Rys. Grzegorz Komorowski

Scenariusz na motywach „Króla olch" Johanna Wolfganga Goethego

Akcja filmu (projektu filmu) dzieje się w scenerii współczesnej Warszawy. To dość rzadko stosowany chwyt w fantastyce polskiej i w dodatku bardzo interesująca propozycja dla kina. Kinematografia nasza, uboga w sprzęt, nie dysponująca nowoczesnymi środkami kreowania fantastycznych iluzji, potrzebuje pomysłów intelektualnych. Nie stać nas przecież na kosztowne plany i wymyślne efekty. Jeden wystawny i dający pewność powodzenia „Kingsajz" Juliusza Machulskiego wyczerpuje przecież wszystkie nasze nerwy w tym zakresie na parę lat.

Także dlatego scenariusz, który Państwu prezentuję, wydał mi się interesujący. Nie dość, że czyta się go jak dobre opowiadanie, oryginalne dzięki warszawskiej scenerii, to jeszcze jako projekt filmu jest propozycją tanią, nie wymagającą prawie wcale specjalnych dekoracji, nie potrzebującą trików. Kreacja fantastycznego świata, magia i groza budowane są w nim prostymi środkami. A jednocześnie całość jest przemyślana, inteligentna, przejmująca. Pokazuję Państwu tę próbą jako jeden z możliwych i ciekawszych kierunków polskiego scenopisarstwa fantastycznego, które z naszych ograniczeń usiłuje uczynić zaletę. Ponieważ rzecz zainspirowana została wierszem Johanna Wolfganga Goethego, przypominamy Państwu przy okazji i utwór poety.

(mp)

1. Barwna plama nabrała ostrości. Faktura piór mieniła się wszystkimi kolorami. Skrzydło zadrgało.

– Sztuka – rozległ się męski głos – jest najpierw twórcza, drogi Adamie, zaś dopiero potem piękna.

Papuga otrząsnęła się i przekrzywiła łeb.

– Zależy jak pojmujemy piękno, Wolfgangu – odpowiedział głos z lekkim wileńskim akcentem.

Papuga spacerowała po ramieniu. Weszła na bark. Wyciągnęła dziób i dotknęła nim wystającego języka.

– Oczywiście – odpowiedział Wolfgang – dla ciebie pięknem jest to, co służy ojczyźnie.

Papuga odchyliła łeb i nagle uderzyła dziobem w język.

– Nie uważasz, że jest to zbyt zaściankowe? – ciągnął ten sam głos.

Na języku pojawiła się plama krwi. Papuga umoczyła w niej dziób. Język cofnął się. Mignęła twarz brodatego mężczyzny.

– Aaa! – krzyczał.

Twarz zniknęła. Przez ekran monitora przelatywały poprzeczne pasy.

– Oczywiście! To Tesla – irytował się Wolfgang – znowu eksperymentuje z ptakami.

W ciemnej sali migotały rzędy monitorów komputerowych. Przebiegały po nich ukośne pasy.

– Kochany Adamie, porozmawiaj z nim. Wszak to Słowianin – odezwał się z głośnika Wolfgang.

– Nikola! Przestań – krzyknął Adam. – Wiesz, że od tamtego czasu mam kłopoty żołądkowe, a od pasów jeszcze większe mdłości mnie nachodzą.

Pasy zniknęły. Pojawił się obraz brodatego mężczyzny siedzącego pod drzewem. Ubrany był według mody z lat czterdziestych XX wieku. Przed nim stali dwaj mężczyźni w strojach z XIX wieku. Wolfgang mocno leciwy, Adam o wiele młodszy.

– Uff – odsapnął Wolfgang – te skoki obrazu wykańczają mnie.

– Co się dzieje, Nikola? – spytał Adam.

– Król coś szykuje – mruknął Tesla.

– Król? – zdziwił się Wolfgang.

– Dla ciebie – Tesla spojrzał na niego. – Król Olch.

Wolfgang spoważniał.

– A dla ciebie, Adamie? – Nikola przeniósł spojrzenie na młodszego.

– Rex mortalitas – odpowiedział ten – król przemijania.

– O nie! Tym razem to... – Tesla zerwał się z miejsca.

Obraz skoczył.

– Nie – jęknął Adam – znowu pasy.

– Tesla! – krzyknął Wolfgang. – Zrób coś! Zanika wizja, wizja...izja...izja....aaa.

◆

2. Przestrzeń wypełniały kolorowe i dziwaczne kształty. Między nimi biegł wąski korytarz. Powietrze było przesycone ludzkimi głosami. Jeden z kształtów wysunął się i otworzył się prześwit. Napis COMMODORE biegł z lewej strony i znikał w nieostrości. Prześwit zamknął się. Pozostała niewielka luka. Z prawej strony czerwienił się COMPUTER.

◆

3. Groźnie spoglądały posągi przed Pałacem Kultury i Nauki w Warszawie.

– Cóż on znowu wymyślił? – odezwał się Wolfgang. – Ten nasz król.

Posągi wpatrywały się, pochylały.

– Obaj wymyśliliśmy – odezwał się Tesla.

– Ach tak – warknął Adam. – Wy, ludzie nauki zawsze przedkładacie martwą literę nad porywy serca.

– Ojoj, ojoj, to nie do końca tak – wtrącił się Wolfgang. – Bacz na mojego doktora Fausta.

– Ale fakty. Przecież Tesla współpracuje z naszym ciemiężcą – irytował się Adam.

– Masz rację – odezwał się Tesla – ale to już się stało. Czy nie lepiej więc mieć jakikolwiek z nimi kontakt, niż darmo rozpaczać?

– Wy, naukowcy zawsze mieliście marne pojęcie o etyce – powiedział cicho Adam.

– Nam nie potrzebna jest ich etyka, raczej potrzebny jest ktoś stamtąd. Zwłaszcza geniusz od programowania. Nie ze wszystkim daję sobie radę. Chociażby te zaniki wizji...

Rozległy się trzaski, szumy, zgrzyty itp.

– Coś jakby i głosy nam szwankowały – wycharczał Wolfgang.

– Takie słabiutkie – dodał Adam zanikającym głosem.

– Dlatego potrzebny nam jest ktoś genialny stamtąd.

– Właściwie to już wybraliśmy. Będzie to... – głos Tesli utonął w szumach i trzaskach.

Posągi spoglądały w dół. Pod nimi przebiegła gromadka dzieci w wieku trzynastu, czternastu lat. Widoczne poprzez posągi wbiegły na schody prowadzące do Pałacu Młodzieży. Drzwi za nimi zamknęły się.

◆

4. W prześwicie, gdzie czerwienił się napis COMPUTER przesunęła się twarz mężczyzny. Zdjął on jeden z kształtów i odwrócił się. Napis COMPUTER poruszył się wolno do przodu.

◆

5. Drzwi do Pałacu Młodzieży otworzyły się z oporami. Wnętrze halu pałacu przesunęło się. Zza zakrętu wybiegły dwie dziewczynki wprost na kamerę. Chichotały. Nie zwracając uwagi na kamerę pobiegły dalej. Po chwili nie było ich już słychać. Na końcu korytarza widniało wejście do windy. Drzwi otworzyły się. Kabina była pusta.

◆

6. Czerwień napisu COMPUTER rozbłysła. Narastał szum ludzkich głosów. Przez napis, z góry widać było tył głowy sprzedawcy. Pudło z napisem COMPUTER poruszyło się minimalnie. Głowa sprzedawcy przesunęła się przed półką. Pudło zakołysało się. Mierzyło wprost w potylicę ekspedienta. Nagle ten odwrócił się i spojrzał na opakowanie. Wyciągnął rękę i... zdjął stojącą obok grę wideo. Postawił ją na ladzie. W martwym ekranie monitora, który tkwił pod szkłem kontuaru odbijała się twarz czterdziestoletniego mężczyzny.

– Proszę pana – zawołał w stronę sprzedawcy.

– Moment – powiedział ekspedient nie patrząc na niego.

◆

7. Kolejno przesuwały się piętra za szybą pustej windy sunącej w górę.

◆

8. Człowiek przy kontuarze znów spojrzał w stronę sprzedawcy.

– Proszę – nie dokończył zatrzymując wzrok na górnej półce.

◆

9. Winda stanęła. Drzwi nie otwierały się.

◆

10. Opakowanie komputera przechyliło się wprost na głowę sprzedawcy. Mężczyzna przy ladzie skoczył i chwycił je w ostatniej chwili.

– Miał pan fart – odezwała się z tłumu klientów staruszka w grubych okularach.

Sprzedawca i mężczyzna spojrzeli zdziwieni slangiem w jej ustach.

– Po strachu – powiedział mężczyzna stawiając pudło na kontuarze. – On mnie właśnie interesuje.

Przesunął palcami po napisie COMPUTER. Podniósł wzrok. Staruszka pokiwała z uznaniem głową.

◆

11. Drzwi do windy otworzyły się. Przesuwał się pusty korytarz na ścianach którego wisiały fotografie z życia młodzieży. Na zdjęciach chłopcy i dziewczęta pracowali nad budową komputera. Na ostatniej fotografii dzieci wraz z instruktorem pochylały się nad pulpitem. Wolno przesuwały się twarze. Jeden z chłopców przyciskał coś na programatorze.

◆

12. Piękny – zaskrzeczała staruszka patrząc z góry. Obok niej zafalowały twarze klienta i sprzedawcy.

Pochylili się.

◆

13. Kamera odwróciła się od fotografii. Korytarz przesuwał się dalej. Na jego końcu były przeszklone drzwi z napisem KLUB KOMPUTEROWY „BAJTEK".

◆

14. Dłonie uniosły do góry monitor. Postawiły go na ladzie. W ekranie odbijała się twarz sprzedawcy i klienta. Staruszka dyskretnie wycofała się. Ręce ponownie zanurzyły się w opakowaniu i wyciągnęły klawiaturę.

◆

15. Nad klawiaturą wznosił się majestatycznie ekran. Dzieci siedziały przy pulpitach i wystukiwały program. Instruktor chodził od jednego do drugiego i coś mówił. Drzwi do sali dyskretnie uchyliły się. Jeden z chłopców spojrzał za siebie, ale zaraz wrócił do komputera. Panowała cisza. Kamera wędrowała po twarzach dzieci. Aż zatrzymała się na znajomym z fotografii obliczu. Chłopiec coś sprawdzał. Odwrócił się do kolegi. Wymienili parę zdań. Roześmiał się i wrócił do monitora.

◆

16. Oczy chłopca rozszerzyły się ze zdziwienia.

– Panie instruktorze – zawołał spoglądając na mężczyznę.

– Tak? – odezwał się tamten.

– Ja tego nie pisałem – odezwał się chłopiec wracając do ekranu.

– WITAJ – migotały czerwone litery.

– Niech pan spojrzy – zwrócił gło-

wę w kierunku instruktora, który zatrzymał się nad nim.

– W porządku – odpowiedział mu.

– Jak to? – chłopak spojrzał na ekran.

Było tam równanie z jedną niewiadomą.

– Ależ... – powiedział niepewnie.

– Dobra, dobra – mężczyzna klepnął go po głowie i podszedł do dziewczynki siedzącej dalej.

◆

17. Opakowanie z komputerem uniosło się do góry.

– Urodzinowy prezent dla syna – powiedział do sprzedawcy mężczyzna.

– Niezły grosz – odparł ekspedient uśmiechając się kwaśno.

– Ta pani to kto? – klient pochylił się w stronę sprzedawcy.

– Emerytowana nauczycielka matematyki, zwariowana na punkcie komputerów.

Za sklepową wystawą panował ruch uliczny. Nagle do okna przylgnęła twarz staruszki w grubych szkłach.

◆

18. Ręka uniosła się nad klawiaturą. Niespodziewanie równanie na monitorze zniknęło samo. Ręka chłopca zawisła w powietrzu.

– KABEL – zajarzył się ekran.

– No wiesz! – żachnął się chłopak.

– Co? – odezwał się kolega obok.

– Nic – odparł pochylając się tak, żeby zasłonić sobą ekran. Tamten zaraz zajął się swoim komputerem.

– O KEY – rozbłysł ekran.

– Co się dzieje – wystukał chłopak.

– PODOBASZ MI SIĘ – widniało.

Chłopak podrapał się po głowie i napisał.

– Mam nadzieję, że jesteś normalny.

– NIE BĄDŹ TAKI BEZCZELNIE DOWCIPNY – odpowiedział komputer.

– Kim jesteś? – wystukał.

– DOWIESZ SIĘ. ZAGRAJ – dodał.

Na ekranie pojawiła się siatka do gry w kółko i krzyżyk.

– Eee – chłopak wzruszył ramionami – w to nie można wygrać.

– PUNKT DLA CIEBIE – zaświecił ekran, a potem zjawiło się pole szachowe.

– Może być – pochylił się nad pulpitem.

◆

19. – Marcin – na ramieniu chłopca spoczęła ręka instruktora – na dziś skończyliśmy.

Marcin podniósł głowę. Instruktor patrzył na niego z góry.

– Wszyscy poszli.

Chłopiec rozejrzał się nieprzytomnie i wstał.

– Ja mam dziś dyżur – uderzył się ręką w czoło.

Usiadł.

– Posprzątaj więc – instruktor ruszył do wyjścia – i oddaj klucz w dyżurce.

Marcin pokiwał głową. Spojrzał na monitor komputera. Widniało na nim ostatnie ustawienie figur.

– Cześć – zawołał instruktor.

Chłopak odwrócił się do niego. Machinalnie wyłączył komputer.

◆

20. Znad stanowisk wybrzuszały się rybie oczy martwych monitorów. Wydymały klawiatury. Kółka pojemnika na śmieci toczyły się po podłodze. Marcin sprzątał salę. Jedna z kartek upadła na podłogę. Pochylił się. Drzwi do sali delikatnie uchyliły się i zatrzasnęły. Zdziwiony rozejrzał się. W sali był sam. Jego postać odbijała się w wypastowanej podłodze. Pociągnął wózek za sobą i zatrzymał się przed czarną kotarą. Widoczny był w monitorze. Podniósł rękę, aby odsłonić kotarę. Niepodziewanie usłyszał elektroniczny dźwięk. Rozległa się melodyjka. Roześmiał się i spojrzał na zegarek. Cyfry w zegarku zupełnie zniknęły. Manipulując przy zegarku odwrócił się do sali. Nic w nim nie działało. Oderwał od niego wzrok. Na twarzy pojawił się wyraz zdziwienia. Na każdym z monitorów była sytuacja z nieskończonej rozgrywki szachowej.

◆

21. Marcin przełknął ślinę. Spojrzał na najbliższy monitor.

– TWÓJ RUCH – pojawił się napis. Stał niezdecydowany.

– NIGDY MNIE NIE WYŁĄCZAJ, GDY TEGO NIE CHCĘ. ZE MNĄ SIĘ TAK NIE POSTĘPUJE.

Chłopiec pochylił się nad pulpitem. Zastanawiał się. Uśmiechnął się i wystukał posunięcie. Przez wszystkie monitory przebiegły poprzeczne pasy. Po chwili obraz uspokoił się.

– DAŁEŚ MI MATA– napisał komputer.

– Hura! – krzyknął Marcin.

Podniósł ręce do góry, a później wolno je opuścił. Zatrzymał wzrok na zegarku.

– MUSIAŁEM UŻYĆ TWOICH BATERII. TAK POCHOPNIE MNIE WYŁĄCZYŁEŚ – pojawił się napis.

Marcin podszedł do pulpitu. Przez chwilę wahał się, później wystukał.

– Kim jesteś?

– CHODŹ ZE MNĄ, A PRZEKONASZ SIĘ – powiedział.

– Dokąd? – zapytał.

– CHCĘ, ŻEBYŚ BYŁ ZE MNĄ JUŻ NA ZAWSZE.

– Gdzie? – szepnął.

– TU, WEWNĄTRZ A NIE NA ZEWNĄTRZ. WOLNY OD NIEWOLI CZASU. POZA CZASEM. CHODŹ! – odpowiedział komputer.

Marcin cofnął się pod ścianę. Dotykając jej plecami skradał się w stronę wyjścia. Zobaczył leżący na pulpicie klucz do sali. Wyciągnął po niego rękę.

– CHODŹ – rozbłysło znów. – ZAPRASZA CIĘ KRÓL KOMPUTERÓW.

Marcin chwycił klucz i uskoczył pod ścianę. Uderzył o nią plecami. Klucz upadł na podłogę i poleciał wprost pod blat stołu z komputerem. Patrząc na ekran pochylił się.

– NIE PRZYJDZIESZ? – świeciło mu prosto w oczy.

Wyciągnął rękę po klucz. Niezgrabnie palcami popchnął go dalej. Musiał przyklęknąć, aby wydobyć go spod stołu.

– PORWĘ – zaświecił ekran.

Głowa chłopca była tuż pod monitorem, który zakołysał się niebezpiecznie. Monitor przechylił się. Marcin wyprostował się i błyskawicznie przytrzymał go ręką.

– Aj – krzyknął odskakując.

Po ekranie ściekały krople krwi. Spojrzał na rękę. Widniała na niej otwarta rana. Do ekranu przylepiony był kawałek skóry z jego dłoni.

– PORWĘ – błyszczały czerwone litery.

Skóra przylepiona do ekranu wolno wsiąkała weń.

Marcin zerknął przez ramię. Za sobą miał główny wyłącznik mocy. Jednym szarpnięciem opuścił go. Salę zalały ciemności. Szedł przez korytarz oglądając się za siebie. Zatrzymał się przed drzwiami windy. Kabina rozsunęła się. Marcin wsiadając spojrzał jeszcze raz za siebie. Kabina ruszyła. Odsapnął i odwrócił się. Aż podskoczył. Trzy staruchy skupione pod ścianą intensywnie wpatrywały się w niego. Jedną z nich była nauczycielka matematyki.

– Już cię nie boli? – chuda twarz staruszki pojawiła się przy nim.

– Nie – odpowiedział odruchowo.

– Dobrze – wszystkie trzy kiwnęły naraz głowami.

– Ale skąd panie wiedzą? – spojrzał na nie przez ramię.

Zrobił krok do tyłu. Winda otworzyła się. Wyskoczył. Trzy staruchy kiwały głowami rozciągając w uśmiechu usta. Drzwi zasunęły się.

– Proszę pań!– zawołał.

Podniósł rękę i spojrzał na nią. Była wygojona. Z małą blizną.

◆

22. Obraz ręki pojawił się na ekranie, a palce ściągnęły z niego kawałek skóry.

– Mój ideał piękna, Adamie – odezwał się Wolfgang – dążył zawsze do abstraktu.

Palce wsunęły skórę pod mikroskop.

– Jako jedynego sensownego uję-

Paweł SOLSKI

Ur. w 1953 r. w Warszawie – absolwent Wydziału Polityki Kulturalnej na Uniwersytecie Warszawskim i Wydziału Prasy, Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Zrealizował film absolutoryjny „Dziura w głowie" (1984) oraz dokumenty telewizyjne: „Proces Kornela Makuszyńskiego" (1985), „Walka o wodę" (1985) i „Jubilat" (1986). W 1986 r. ukończył godzinny fabularny film telewizyjny „Who is this Mister Thansky?" o genialnym konstruktorze samochodowym. Paweł Solski napisał ponadto kilka nie zrealizowanych jeszcze scenariuszy, posługujących się elementami fantastyki. „Król komputerów" jest jednym z nich. (mp)

cia metafizyki absolutu. Czy ten kawałek ludzkiej skóry naprawdę był ci potrzebny? – odezwał się Adam upozowany jak w znanym portrecie Wańkowicza.

– Adamie, nie ruszaj się – Wolfgang wyzwolił migawkę aparatu fotograficznego.

Adam zeskoczył ze skały, która była teatralną zastawką i podszedł do Tesli. Naukowiec siedział przy mikroskopie i obserwował skórę. Dokoła dość niechlujnie były porozstawiane różne odczynniki i słoje.

– Dzięki niej poznam lepiej jego strukturę genetyczną i szybciej go tu ściągną.

– On naprawdę jest niezbędny? – Wolfgang podniósł duży słój z jakąś cieczą. Powąchał ją, a następnie zanurzył w niej palec.

– Uważaj! – krzyknął Tesla.

– Ja się znam na chemii – żachnął się ten – wszak napisałem „Powinowactwo z wyboru".

Wyciągnął palec i podniósł go do góry. Palec zaczął znikać.

– Utlenia się – powiedział Adam. – Śniadecki mnie tego uczył – dorzucił wyciągając papierosa i przypalając go zapalniczką.

– Iii – zaniepokoił się Wolfgang.

– To się cofnie – powiedział Tesla wracając do mikroskopu.

– Czy zamiast tego chłopca nie mogą nam pomóc Newton lub Einstein? – Adam zaciągnął się.

Tesla pokręcił przecząco głową.

– Ten chłopak to przyszły geniusz programistyki. Po co on tam, tym nieświadomym. Tu się bardziej przyda. Zwłaszcza że ci dwaj, o których mówiłeś... – wychylił się i wcisnął przycisk monitora patrząc jednocześnie na nich znacząco. Jabłko widoczne na monitorze spadało wolniej niż piórko.

– To jest niemożliwe. – Na ekranie pojawił się Newton.

– Oczywiście – Einstein poprawił kołnierz golfa pod szyją – ale to fakt.

– Spróbujmy jeszcze raz – odpowiedział Newton.

Dwaj uczeni stali na wysokich drabinach w bibliotece. Newton upuścił jabłko, a Einstein piórko. Jabłko opadało wolniej.

– Odkąd dowiedzieli się, że z prawem ciążenia nie wszystko jest po myśli Newtona, są nam tu właściwie nie przydatni – Tesla wyłączył monitor. – Zresztą król jest jak najbardziej za chłopcem. Szczególnie go sobie upodobał.

– Mam go! – wykrzyknął Wolfgang.

– Tak szybko? – zdziwił się Adam.

– Palec wraca.

Spojrzeli na rękę Wolfganga. Palec wolno wracał na swoje miejsce.

– Adasiu, wracamy do roboty – Wolfgang zatarł dłonie. – Sto odbitek twoich, sto moich. Ty rozprowadzasz je wśród moich, a ja wśród twoich. To się musi opłacać.

Adam ustawił aparat fotograficzny.

◆

23. Mężczyzna, którego poznaliśmy w sklepie stał na taborecie. Rozległ się dźwięk dzwonka. Mężczyzna zeskoczył na podłogę, szybko odstawił stołek do kuchni. Dzwonek powtórzył się. Mężczyzna przeszedł przez przedpokój zerkając do góry. Drzwi pawlacza były zamknięte.

– Dzień dobry, tato – rozległ się głos Marcina.

– Cześć!

Widoczni z góry przeszli przez przedpokój.

– Zaraz będzie kolacja – powiedział ojciec i skręcił do kuchni. Marcin wszedł do łazienki. Słychać było jak się myje. Przedpokój był pusty. W ciszy zaczął narastać szum.

– Co mówiłeś? – zawołał ojciec z kuchni.

Odgłos powtórzył się. Mężczyzna zajrzał do przedpokoju. Miał na sobie fartuszek z wiewiórką. Wzruszył ramionami i wrócił do kuchni. Odgłos powtórzył się, ale ciszej. Drzwiczki od pawlacza zaczęły się otwierać. Marcin wyszedł z łazienki. Drzwiczki natychmiast zamknęły się. Usłyszał stuk i spojrzał do góry. Wszedł do pokoju. Zatrzymał się przy regale. Na półce stało zdjęcie kobiety. Przez przedpokój przeszedł ojciec. Niósł na tacy jedzenie.

Drzwi od pawlacza wolno uchyliły się. Nie zauważył tego i wszedł do pokoju. Rozstawił kolację, spoglądając co jakiś czas na Marcina.

– Siadaj, Marcinku – powiedział – jestem okropnie głodny.

Chłopiec odwrócił się od półki i podszedł do stołu. Usiadł. Zaczęli jeść. Ojciec przyglądał mu się niespokojnie. Chłopak oglądał swoją rękę. W dzbanku od herbaty odbijał się przedpokój. Drzwiczki od pawlacza otworzyły się szerzej.

– Niedługo twoje urodziny – powiedział ojciec.

– Tak – odparł Marcin.

– Jesteś jakiś nieswój.

Chłopak wziął nóż i przełożył go do wewnętrznej strony dłoni. Pociągnął. Na ręku pojawiła się krew.

– Co robisz! – skoczył ojciec.

– Zaczekaj – powstrzymał go ruchem syn.

Nacięcie krwawiło. Przytknął serwetkę do skaleczenia.

– Nie znika, prawda? – pokazał ojcu. – A mnie zdarzyło się coś, czego na pewno nie potrafisz wytłumaczyć.

– No?

– Nie tylko, że w ciągu paru chwil zniknęło skaleczenie, ale też gadał ze mną komputer.

– Chcesz herbaty? Codziennie z nim gadasz. – Nalał sobie i odstawił dzbanek. Odbicie przedpokoju było lepiej widoczne. W drzwiach pawlacza coś się poruszyło.

– Zwykle rozmowę z komputerem programuję ja.

– A dziś? – uśmiechnął się ojciec popijając herbatę.

– Programował on.

– Powiedział coś ciekawego?

– Chce mnie porwać.

– Gdzież to?

– Tam – zrobił ruch głową w kierunku zdjęcia kobiety. – Na drugą stronę.

Ojciec odstawił filiżankę, spojrzał na fotografię kobiety, później na chłopca. Popatrzyli sobie w oczy.

– Tęsknisz?

– To nie omamy. To był król komputerów – powiedział szybko Marcin. Sięgnął po dzbanek z herbatą. – Ja się boję – powiedział Marcin i ręka zawisła w powietrzu. Wpatrywał się w dzbanek. Z pawlacza wystawał fragment dużego pudła z napisem COM...

– Patrz – wyszeptał.

– Co? – zdziwił się ojciec.

– W dzbanku.

Mężczyzna sięgnął po niego. Odbicie zniknęło.

– Ale w przedpokoju – chłopak zerwał się od stołu.

Ojciec wyszedł za nim. Marcin stał i patrzył do góry na zamknięte drzwi pawlacza.

– Przemęczasz się w tym klubie – objął syna za ramię.

– Daj mi spokój – chłopak odsunął go zdecydowanym ruchem. Otworzył drzwi do swojego pokoju. Z plakatu patrzyła twarz wampira Jacksona.

– Marcin, mam coś dla ciebie. – Ojciec sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej kopertę.

Marcin obejrzał kopertę. Wziął list. Rozerwał kopertę i wyjął z niej kartkę. Ojciec poprawił na sobie fartuszek.

– Zakwalifikowałem się na Olimpiadę Komputerową – krzyknął chłopiec.

– Tam sobie dopiero pogadasz – powiedział ojciec.

– Tato – Marcin przyjrzał mu się krytycznie. – Zdejmij ten fartuszek, bo mam wrażenie, że i mój ojciec nie żyje.

Mężczyzna zdziwiony pochylił głowę i zatrzymał wzrok na wielkiej wiewiórce.

◆

24. Marcin szedł przez wielką salę rozglądając się ciekawie. Stały tu różnego rodzaju urządzenia obrazujące rozwój maszyn liczących. Zatrzymał się przed najnowocześniejszym komputerem. Wyciągnął rękę.

– Spróbuj – usłyszał za sobą.

Przed nim stała stara nauczyciel-



Wojtek Siudmak, reprodukcja Z. Latała

Johann Wolfgang Goethe

„Król olch"

Noc padła na las, las w mroku spał,
Ktoś nocą lasem na koniu gnał.
Tętniło echo wśród olch i brzóz,
Gdy ojciec syna do domu wiózł.

– Cóż tobie, synku, że w las patrzysz tak?
– Tam, ojcze, on, król olch, daje znak,
Ma płaszcz, koronę i biały tren.
– To mgła, mój synku, albo sen.

„Pójdź, chłopcze, w las, w ten głuchy las!
Wesoło będzie płynąć czas.
Przedziwne czary roztoczę w krąg,
Złotolitą chustkę dam ci do rąk".

– Czy słyszysz, mój ojcze, ten głos w gęstwie drzew?
To król mnie wabi, to jego śpiew.
– To wiatr, mój synku, to wiatru głos,
Szeleści olcha i szumi wrzos.

„Gdy wejdziesz, chłopcze, w ten głuchy las,
Ujrzysz moje córki przy blasku gwiazd,
Moje córki nucąc pląsają na mchu,
A każda z mych córek piękniejsza od snu".

– Czy widzisz, mój ojcze, tam tańczą wśród drzew
Srebrne królewny, czy słyszysz ich śpiew?
– O synku mój, to księżyc tak lśni,
To księżyc tańczy wśród czarnych pni.

„Pójdź do mnie, mój chłopcze, w głęboki las!
Ach, strzeż się, bo wołam ostatni już raz!"
– Czy widzisz, mój ojcze, król zbliża się tu,
Już w oczach ciemno i brak mi tchu.

Więc ojciec syna w ramionach swych skrył
I konia ostrogą popędza co sił.
Nie wiedział, że syn skonał mu już
W tym głuchym lesie wśród olch i brzóz.

Przekład swobodny **Wisławy Szymborskiej**



ka matematyki w grubych szkłach. Marcin patrzył na nią z ukosa.

– Na olimpiadę – wyciągnęła rękę i chwyciła go za łokieć.

– Właśnie – podszedł do nich ojciec. – Strasznie duża ta maszyna do rachunku różniczkowego – pokazał za siebie.

– Piękna – szepnęła staruszka. – Wszystkie formalności załatwi pan tam. Proszę się pośpieszyć. Zaraz zamykają sekretariat. Ja oprowadzę po tym królestwie naszego – poklepała Marcina po ręku.

– W porządku – ojciec odszedł w stronę sekretariatu.

– Programistę – dokończyła zdanie i pochyliła się w stronę chłopca. Jej grube szkła świeciły tak, że nie widać było za nimi oczu. Zachęciła go gestem, żeby szedł za nią.

– Ja panią znam – powiedział cicho.

– Czyżby?

– Pani była wtedy w windzie.

– I na tej podstawie mówisz, że mnie znasz?

– Nie o to mi chodzi – odpowiedział.

– Nie o to mi chodzi – przedrzeźniała go. – Ty się po prostu upierasz przy życiu. Lepiej popatrz tutaj – pokazała na komputer. – To wszystko jest jego królestwem. Dajże rękę.

Marcin cofnął się.

– Nie bój się – podskoczyła do niego i pochwyciła za dłoń. Przeciągnęła nią nad pulpitem. Ekran zajarzył się.

– WITAJ. WSZYSCY TU NA CIEBIE CZEKAMY.

Marcin odskoczył. Okulary staruchy świeciły matowo.

– Nie bój się – wyciągnęła do niego rękę. – Zaprowadzę cię do króla – ruszyła ku niemu.

Odwrócił się i zaczął uciekać. Maszyny wysuwały się i zagradzały mu drogę. Przewody pod napięciem pełzły w jego kierunku. Obejrzał się. Staruszka była coraz bliżej. Wielka maszyna do rachunku różniczkowego zasłaniała mu drzwi. Błyszcząca blacha odpadała. Jarzące przewody rzuciły się ku niemu. Szpara w drzwiach zamykała się. Rzucił się szczupakiem i wypadł na korytarz. Prześwit zamknął się. Odetchnął.

◆

25. Podniósł się z posadzki i oparł o poręcz.

– Tu jest – usłyszał.

– Cicho – ktoś powiedział.

Rozejrzał się niespokojnie.

– Usłyszy – odezwał się głos.

– To nie ma znaczenia.

Popatrzył dokoła. Schodził rozglądając się.

– Może słuchać, tylko bardziej w prawo – powiedział ten sam głos.

Marcin potknął się i spadł z dwóch schodów.

– Ostrość! Gubisz ostrość – usłyszał.

Dopiero teraz spostrzegł wycelowany wprost w siebie obiektyw elektronicznej kamery. Marcin zerwał się i wpadł do sali z napisem „Leśnictwo".

◆

26. Przy wejściu do ekspozycji „Leśnictwo" stał mały telewizor. Na ekranie widać było jak po twardym podłożu przesuwają się rolki.

– To mnie nawet ekscytuje – powiedział Wolfgang.

– Ta pogoń za geniuszem? – zapytał Adam.

– Nie. Geniuszem może być tylko poeta. Ten chłopak jest tylko doskonały.

Nogi na wrotkach zakreśliły ósemkę. Obok nich pojawiły się drugie. Zatrzymały się.

– Oczywiście – odparł Wolfgang. – Między doskonałością a geniuszem jest taka różnica, jak między absolutem a wiecznością.

Obaj mężczyźni trzymając się za ręce jechali na wrotkach w wielkiej, pustej sali.

– Aha – odpowiedział Adam. – Uważasz, że wieczność jest tylko cechą absolutu, ale nie określa absolutu jako takiego. W jaki sposób wiąże się to z chłopcem?

Wolfgang puścił Adama i jak burza poleciał przez salę.

– Nie rozpędzaj się tak! – krzyknął Adam.

– Ja się nie rozpędzam – odwrzasnął Wolfgang jadąc wprost na ścianę. – Tylko nie mogę się za... – z hukiem wyrżnął w ścianę i wylądował na podłodze.

– Zatrzymałem się – zawołał radośnie spoglądając z podłogi na Adama.

– Nie wstajesz? – spytał patrząc z góry.

Wolfgang spróbował i wylądował na brzuchu.

– To jest całkiem wygodna pozycja – wyciągnął się. – Wracając do naszego programisty, jego umiejętności nie są jeszcze zaczynem geniuszu. Dopiero będąc tu, wśród nas, geniuszy, uszlachci się. Zacznie pretendować do tego wielkiego miana – zerknął w górę.

– Rozumiem – Adam przymrużył oko.

– Nie masz co tak mrugać tymi swoimi sarmackimi ślepkami – był na czworakach i usiłował się podnieść. – Robię to także w twoim interesie – mówił dalej próbując cały czas wstać. – Jakby powiedział kolega Kant, staram się zracjonalizować.

W tym momencie niezdarnie wyprostował się, ale nogi rozjechały mu się i znów wylądował na podłodze. Adam podjechał do niego i wyciągnął rękę.

– Zracjonalizować – powiedział.

Wolfgang chwycił jego dłoń i podniósł się.

– Jeżeli jesteśmy bezsilni, nie możemy się przeciwstawiać królowi. Ubliżałoby nam to jako geniuszom poezji.

– Cóż z tego, że on taki silny – krzyknął nagle Adam.

– Cicho – Wolfgang szybko rozejrzał się. – Że też wy zawsze macie skłonności do anarchizmu – powiedział szeptem.

Majestatycznie zaczął się odpychać wrotkami od podłoża.

– Wracając do mojej myśli – kontynuował – możemy głosić, że jesteśmy jak najbardziej za porwaniem. W ten sposób stajemy się równi królowi. To się nazywa uświadomiona konieczność. Całkowita wolność – zakończył uderzając znów o ścianę. Zachwiał się. Adam błyskawicznie przytrzymał go. Pochylił się do ucha Wolfganga i szepnął:

– Podobnie mówi ten kamerdyner, który ciągle nas podgląda przez dziurkę od klucza.

– Och, nie tylko nas – obruszył się poeta. – Mówiła mi też o nim ta Angielka Woolf. Jak ona się nazywa?

– Sartre – odparł Adam rozglądając się po sali.

– Ano właśnie. Czasami warto pozbyć się koturnów i zbliżyć do gminnej myśli.

– Nie żal ci chłopca?

– No wiesz! – Wolfgang aż odsunął się od poety. – Przecież jestem prekursorem romantyzmu. Musi być tragedia.

– Tragedia? – zwrócił się w jego stronę Adam.

Wolfgang podjechał do niego i wzięli się pod ręce. Zakreślając literę „S" jechali przez wielką salę. Nagle obaj zaczęli przemierzać w przyspieszonym tempie przestrzeń.

– Tesla! – Przestań na nas eksperymentować – wrzasnął Wolfgang.

– Przepraszam – odezwał się Tesla. – Mała pomyłka, ale zaraz wszystko będzie w porządku.

– Nikola, przecież to miał być relaks – krzyknął Adam.

Ściana zbliżała się nieuchronnie. Z krzykiem wyrżnęli w nią. Słychać było tylko ginący głos Tesli. Obraz zniknął.

– Przepraszam. Małe zakłócenie pola elektromagnetycznego. Udało mi się zestroić ich pole z naszym. Teraz już mamy podgląd z każdego urządzenia elektronicznego, jakie będzie w jego pobliżu.

◆

27. Głos Tesli zanikł. W matowej szybie telewizora odbijały się nogi. Weszły do ekspozycji „Leśnictwo". Zatrzymały się. Za dużym modelem tartaku poruszył się cień. Buty przeszły w tym kierunku. Marcin wyskoczył zza modelu. Nogi rzuciły się

za nim. Wpadł między różnego rodzaju piły tarczowe. Przed nim rozbłysły stalowe zęby. Urządzenia ożyły. Wolno ruszyły ich zębiska. Marcin obejrzał się. Nogi szły ku niemu. Piły kręciły się coraz szybciej. Przesuwały się w jego kierunku. Nogi biegły. Chłopak patrzył, jak ogromna piła sunie na niego. Jej zęby rozcinały powietrze. Nagle na jego ramię opadła ręka. Krzyknął.

– Co robisz! – Ojciec chwycił go za ramiona i pociągnął do siebie.

– Widzisz, że chce mnie zabić?

– Kto?

– Król komputerów.

– Głuptasie, przecież gdy wszedłem do sali, sam zacząłeś uciekać przede mną.

Pociągnął Marcina za rękę i ruszyli w stronę wyjścia.

– Patrz - pokazał – tu potrąciłeś wyłącznik.

Nacisnął przycisk. Maszyny uspokoiły się. Wyszli z sali. Ich postacie odbijały się w monitorze.

– Gdy ekspozycja jest otwarta – ojciec wskazał na telewizor – pokazują tu ciekawe filmy o produkcji papieru.

Marcin szedł cały czas ze spuszczoną głową.

– Zobacz – ojciec trącił go w ramię – tysiącletni dąb. – Wskazał przed siebie. Marcin podniósł głowę.

– Wiek drzewa określamy po liczbie słoi – dobiegł go głos ojca.

Zerknął na ekran. Oczy rozszerzyły mu się z przerażenia. Rzucił się do ucieczki.

– Marcin! – Poczekaj – krzyknął za nim ojciec.

Ekran świecił czerwonymi literami.

– CZEKAM.

◆

28. Marcin z ojcem zeszli po schodach Pałacu Kultury. Zatrzymali się przy małym fiacie. Widoczni byli z wnętrza wozu.

– Nic nie słychać – odezwał się Adam.

– Wiem – odpowiedział Tesla.

Zgrzytnął klucz w drzwiach samochodu.

– Złapałem! – krzyknął Tesla.

– Cicho – szepnął Wolfgang.

Drzwi otworzyły się. Ojciec wsiadł do auta. Marcin chciał usiąść na fotelu obok.

– Z tyłu, proszę – powiedział ojciec.

– Nie jestem dzieckiem – warknął chłopak.

Zajął miejsce na tylnym siedzeniu.

– Nie wiesz, że to jest miejsce dla samobójcy? – ojciec spojrzał przez ramię na niego. Ruszyli.

– Tak martwisz się o mnie, a nie wierzysz mi.

Ojciec pokręcił głową. Wjechali na Świętokrzyską.

– Musisz się przełamać – powiedział.

– To wszystko jest ukartowane, a ty mówisz „przełamać" – roześmiał się gorzko.

– Przez kogo?

– Króla komputerów – odpowiedział syn.

Mężczyzna zmienił bieg.

– Czy ty nie boisz się tej olimpiady? – Zahamował gwałtownie na czerwonym świetle.

Marcin popatrzył przed siebie.

– Mamy zielone – powiedział.

Samochód skręcił w Nowotki. Chłopiec spojrzał w lusterko wiszące nad przednią szybą auta. Zobaczył swoją twarz. Jechali w kierunku Żoliborza.

– Zapytałem cię – odezwał się ojciec.

Chłopak poprawił się na siedzeniu i jego twarz zniknęła z lusterka.

– Tato, zrozum, ja się boję nie olimpiady, ale tego, czego nie rozumiem. To, z tym królem komputerów, dzieje się naprawdę. Wiem, że ci trudno to pojąć, ale ja jestem w niebezpieczeństwie.

Ojciec westchnął. Marcin znów zobaczył, że cała jego twarz jest w lusterku. Przyglądał się sobie.

– Jeżeli nie chcesz, nie musisz brać udziału w tej olimpiadzie – powiedział ojciec.

Marcin raptownie przechylił głowę. Lusterko przesunęło się i znów cała jego twarz była w nim. Skręcili w Broniewskiego. Marcin ostrożnie poruszył głową. Lusterko wyraźnie przesunęło się. Ojciec skręcił w Sady Żoliborskie. Samochód podskoczył na wyboju.

– Oczywiście, pisałem do Rady Osiedla, ale co to ich obchodzi, że łamiemy resory. Można tak pisać do składu z deskami.

Marcin przez cały czas, gdy ojciec zrzędził, przeglądał się w lusterku. Chwycił rękoma za oparcie. Skulił się. Zniknął z lusterka. Lusterko milimetr po milimetrze opuściło się dół. W tafli znów pojawiła się twarz chłopca. Zatrzymali się w uliczce osiedlowej przed domem.

– Czemu nie wysiadasz? – zapytał ojciec. Spojrzał na syna. Chłopak cały zmartwiały z wytrzeszczonymi oczyma wpatrywał się przed siebie.

– Marcin! – potrząsnął go za ramię.

– On tu cały czas jest – szepnął chłopak – obserwuje nas przez lusterko.

– Jak?!- wykrzyknął ojciec.

– Nie widzisz?

Ojciec pochylił się nad nim. Marcin szybko przesunął się. Lusterko też poruszyło się za nim.

– Lusterko porusza się – szepnął mu w ucho.

Ojciec odwrócił się do lusterka.

– Porusza się? – sięgnął ręką i poprawił je. – Widzisz, ta śrubka się obluzowała no i chybocze się.

Chłopak z niedowierzaniem przyjrzał się lusterku.

– Ale ono obserwowało mnie naprawdę.

– Chodźmy już do domu – powiedział ojciec.

Chłopak wyciągnął rękę i poruszył lusterkiem. Rzeczywiście było luźne. Przytrzymująca je śrubka wystawała.

– To chyba niemożliwe – powiedział sam do siebie i wysiadł. Ojciec zamknął auto. Ruszyli w stronę bloku. Marcin obejrzał się. Lusterko było nieruchome.

– Zobaczysz, że wygram olimpiadę – powiedział do ojca i uśmiechnął się. Zmierzali do klatki. Lusterko wolno obracało się za nimi.

◆

29. Obraz na ekranie telewizora zafalował i zniknął.

– Świetnie udała się transmisja – Wolfgang odwrócił się od ekranu do Tesli.

– Tak – odpowiedział naukowiec. – Dzięki urządzeniom elektronicznym zawsze będziemy go mogli obserwować.

– Król porwie go na olimpiadzie? – zapytał Wolfgang spoglądając na Teslę.

– Na olimpiadzie, mówisz? – odpowiedział Nikola.

– Czy teraz możemy go zobaczyć? – zapytał Adam.

– Tak – Tesla manipulował przy pulpicie. – Jest tam komputer. Chyba, że zamknął się w swoim pokoju.

Na ekranie zamigotał obraz.

– Ma na ręku zegarek elektroniczny. Będziemy mieli wizję.

Na monitorze pojawiła się twarz Marcina. Mężczyźni spojrzeli po sobie i kiwnęli głowami. Raptownie twarz chłopca zniknęła, a ekran pokrył się ciemnością.

– Co jest! – wykrzyknął Wolfgang.

– Nie zbywa mu tu – Adam popukał się w głowę.

Tesla sprawdzał wskaźniki.

– Nie rozumiem – złościł się Wolfgang.

– Zdjął zegarek i schował gdzieś – odpowiedział Adam.

– Tak? – Wolfgang spojrzał na Teslę.

Konstruktor przytaknął.

– Ale są inne urządzenia – powiedział Adam.

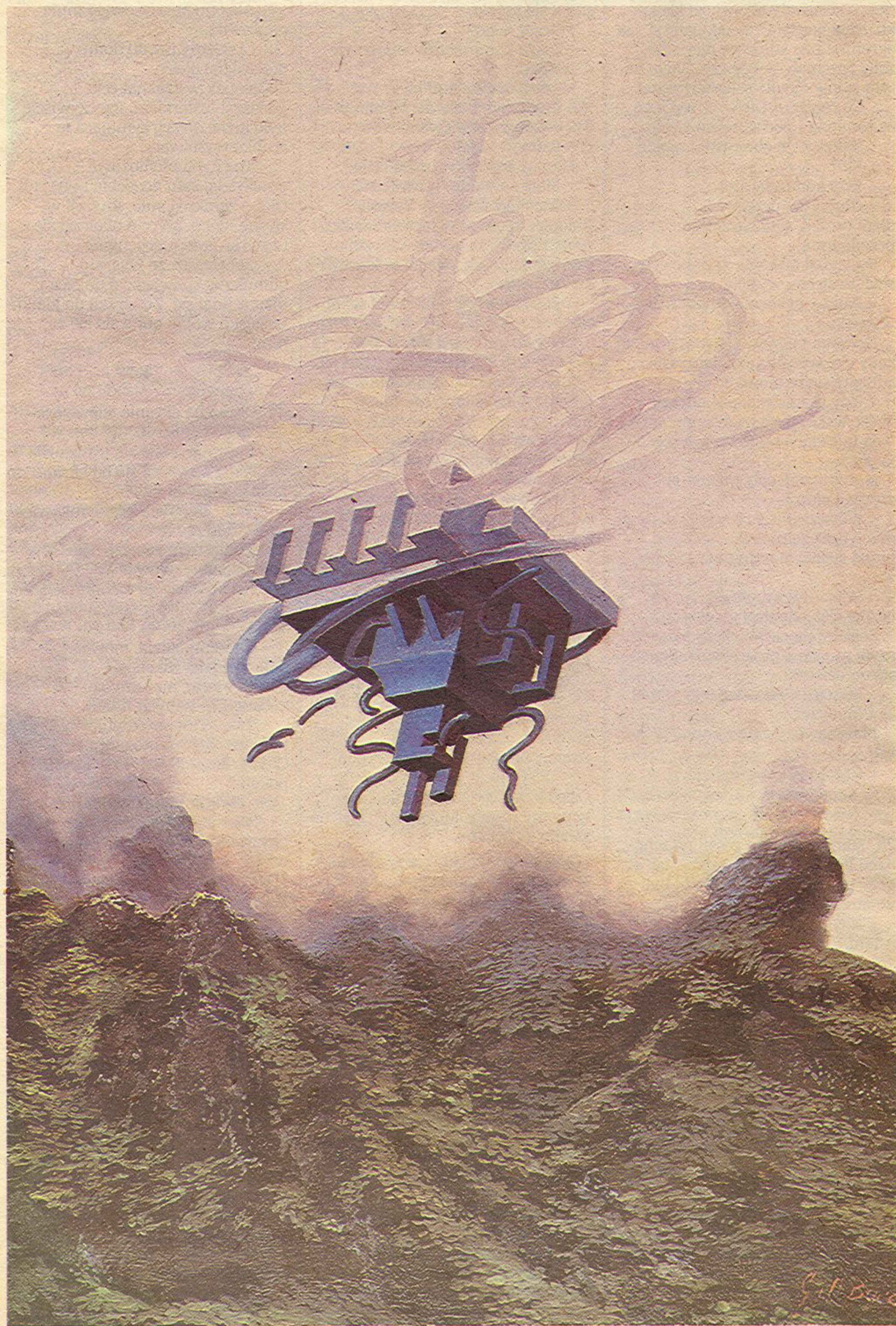
– Nie – odparł Tesla. – Musiał wszystko wynieść z pokoju.

– Interesujący dzieciak – odezwał się Wolfgang.

– Dlatego musimy go tu mieć –



GRAŻYNA & ANDRZEJ BARECCY



odpowiedział Tesla i zajął się aparaturą.

Adam ujął za łokieć Wolfganga i kiwnął na niego głową. Zatrzymali się przed krukiem. Adam włożył palce między pręty klatki. Ptak poruszył się niespokojnie. Poeta otworzył drzwi klatki.

– Leć. Leć – zachęcał szeptem.

Ptak nie zwrócił na niego uwagi. Podskoczył. Napił się trochę wody z poidła i odwrócił się do nich tyłem.

Wolfgang uśmiechnął się. Przeniósł wzrok z twarzy Adama na klatkę. Zamknął jej wyjście. Rozłożył ręce.

– Chłopiec zaprogramuje nam ten komputer, że będziemy mieli stały kontakt z tamtymi. Wpłyniemy na ich losy. Będziemy dokuczać – dodał ciszej.

– Jak strzygi?

– Kochany, ostatecznie jesteśmy martwi. Skończyło się.

Adam spojrzał na kruka. Ptak wybałuszał wielkie czarne oko na poetę.



30. W dużej sali trwała olimpiada. Ojciec obserwował syna przez oszklone drzwi.

– Na pewno mu się powiedzie – usłyszał za sobą.

Odwrócił się. Na tle okna stała stara matematyczka.

– Pani tutaj? – Podszedł do niej.

Stali na tle okna, z którego widać było panoramę Warszawy.

– Dziś są jego urodziny – powiedział ojciec.

– Co z prezentem? – zapytała.

– Właśnie powinienem jechać do domu i wszystko przygotować.

– Może w czymś pomóc? – zaofiarowała się.

– Właściwie potrzebowałbym.

– Działajmy.

Ruszyli w stronę windy.



31. Ojciec pakował komputer do pudełka. Obwiązał prezent wstążką. Zadźwięczał dzwonek.

– Już idę – zawołał.

Wszedł do pokoju. Pudło poruszyło się.

– Spokojnie – rozległ się szept.

– Ach, to jest ten prezent! – W drzwiach stała matematyczka. – Proszę uważać z tym tortem. – Podała pakunek ojcu.

– Przystroję go w kuchni – powiedział.

Zniknął w głębi przedpokoju. Kobieta rozejrzała się po pokoju i weszła do niego.

– Wszystko w porządku – szepnęła w stronę prezentu. Jej wzrok zatrzymał się na fotografii matki Marcina.

– Z tymi świeczkami to zawsze kłopot – zawołał z kuchni ojciec.

– Tak – odkrzyknęła i sięgnęła po fotografię.

Szybkim ruchem wrzuciła ją za szafkę.

– Mógłbyś przeszkadzać – mruknęła i wyszła do kuchni.

Ojciec mozolił się nad świeczkami.

– Czternaście latek pożyliśmy? Ładne mieszkanko – dodała.

– Udało mi się – odpowiedział ojciec.

– A gdzie nasz mały mieszkał?

– Chce pani zerknąć? – Ojciec pokazał kciukiem za siebie.

– Aha – odpowiedziała.

Przeszli przez przedpokój.

– Czemu powiedziała pani „mieszkał"? – zwrócił się do niej.

– Z przyzwyczajenia.

– Nie rozumiem – odparł i otworzył drzwi do pokoju Marcina.

Wbiegła do niego na paluszkach. Rozejrzała się. Na twarzy malował się wyraz zdziwienia.

– Myślałam, że znajdę tu książki matematyczne, trochę elektroniki, a tu tylko poezja i drewno.

– Właśnie ostatnio się tak zmienił – biadolił ojciec. – Posprzedawał sprzęt, zaczął czytać poezję.

Ojciec trzymał w ręku tomik „Ballady i romanse".

– Wiek dojrzewania – powiedziała – Och, jak późno. Muszę lecieć. Czy mogę pożyczyć? – Sięgnęła po książkę.



32. Ojciec odsunął się od okna. Szybko zapalał świeczki.

– Tato! Wygrałem. Byłem najlepszy! – Marcin wpadł do pokoju.

– Cicho – skarcił go ojciec – teraz życzenia.

– No tak – spoważniał Marcin.

Ojciec wziął go za rękę.

– Dużo zdrowia, pieniędzy, spełnienia wszystkich marzeń, i długich, długich lat życia.

Pocałowali się.

– Wiesz, że wygrałem jako najmłodszy uczestnik olimpiady?

– To było oczywiste – odpowiedział ojciec.

– Świeczki się topią! – Marcin nabrał powietrza w płuca. Dmuchnął. Płomień jednej zachwiał się, ale nie przygasł.

Ojciec zgasił ją palcem.

– Tato, oszukujesz.

– Prezent!

Marcin szybko rozwiązał czerwoną kokardę. Rozchylił pudło. Ich twarze odbijały się w matowej szybie monitora.

– Komputer – szepnął chłopiec. – Myślałem, że po tych dziwactwach nie kupisz mi.

Postawili monitor na stole. Odwrócili się do niego tyłem wyjmując poszczególne części urządzenia. Monitor komputera stojący na stole obracał się w ich kierunku.

– Zrozumiałeś, że to urojenia?

– Byłem zdenerwowany olimpiadą.

Monitor cały czas obracał się w ich kierunku.

– Przecież gdyby się miało coś stać, stałoby się na olimpiadzie – kontynuował Marcin. – Co się miało stać? – roześmiał się ojciec i odwrócił w stronę monitora.

– Zaraz go podłączę – powiedział Marcin. – Przynajmniej przeczytałem trochę poezji. Nie zdążyłem tylko „Króla Olch".

– „Króla Olch"? – powtórzył ojciec przypatrując się z przerażeniem w monitor, który obracał się za chłopcem.

– Zaraz go podłączę – powiedział jeszcze raz Marcin.

Ojciec chciał coś powiedzieć, ale głos uwiązł mu w gardle. Poruszał bezdźwięcznie wargami. Bezradny spojrzał na miejsce gdzie stała fotografia. Nagle zobaczył przylepioną do szyby twarz staruszki (retrospekcja).

Wielkie pudło z komputerem spadło z półki w sklepie (retrospekcja).

– Zaraz zobaczysz jak to działa – usłyszał głos syna.

Ekran monitora wydymał się.

– Nie! Marcin! – krzyknął.

Chłopiec włączył wtyczkę. Błysk łuku elektrycznego oświetlił pokój. Ojciec skoczył do syna.

– Ratuj – usłyszał jeszcze.

– Marcin – potrząsnął nim – synku!

Ciało było nieruchome. Trzymał głowę chłopca na kolanach. Usłyszał szum. Pokrywka magnetofonu kasetowego, podłączonego do komputera, zamknęła się. Spojrzał na monitor. Na ekranie widać było kruka pijącego wodę. Obraz rozmazał się. Z nieostrości wypłynęła twarz Marcina. Ojciec wyciągnął rękę. Twarz zniknęła. Zamierzył się na ekran. Monitor rozbłysł czerwonymi literami.

– UCZ SIĘ PROGRAMOWAĆ KOMPUTER. TO JEDYNA MOŻLIWOŚĆ KONTAKTU.

Usłyszał trzask. Kaseta wyłączyła się. Opuścił głowę. W blacie stołu odbijał się jakiś obraz z monitora. Zaskoczony podniósł wzrok. Zobaczył syna na ekranie. Marcin podniósł rękę i pomachał mu. Mężczyzna mocniej oparł się o stół. Obraz znów zafalował i zniknął w nieostrości.

– Synku – szepnął.

Z nieostrości wyłonił się kruk. Ptak zanurzył dziób w wodzie i podniósł go do góry. Połykał wodę połyskując białkami. Obraz rozjaśnił się aż do bieli.

Paweł Solski

Człowiek i moc

Wiadomo to już dokładnie: Wiktor Żwikiewicz zajął w polskiej fantastyce naukowej miejsce osobne, wypracował własną poetykę, własny język. Właśnie. Jest on bodaj jedynym autorem polskiej SF, który w pełni zdaje sobie sprawę z tego, że robi literaturę, że tworzenie fantastyki naukowej to nie tylko pomysł, nie tylko opowiedziana historyjka, ale również język, którym jest opowiadana. W tym, co napisałem nie ma przesady ani kpiny: większość polskich (zagranicznych zresztą też) autorów zadowala się samym opowiadaniem bez ujawnionej samoświadomości artystycznej. Mają ambicję wymyślenia atrakcyjnej fabuły, sensacyjnej czy też prognostycznej, ale dla jej relacji dysponują tylko językiem takim samym, jak na przykład Sienkiewicz. Jeśli udaje się im być postępowymi, nowoczesnymi w warstwie zdarzeniowej i dyskursywnej, to są zachowawczy i dziewiętnastowieczni w warstwie opisu (no, najwyżej ich ambicją jest osiągnięcie „szczytu" rozrywkowej literatury posługującej się np. techniką behawioralną – dalej ani kroku).

Taki model fantastyki zdominował rynek polski i wcześniej światowy, w taki model fantastyki wpisuje się na przykład fantastyka socjologiczna, szczególny powód do dumy polskiej SF. I to nie są zarzuty, aczkolwiek mogłyby nimi być: takie są po prostu reguły gry literackiej na terenie fantastyki naukowej, takie są jej prawidła rozwoju i taka jest jej rola w literaturze w ogóle. Ale też – jak to zawsze dzieje się w sztuce – nie ma nigdzie obrazu jasnego i wyraźnego: co pewien czas pojawia się pisarz próbujący pogodzić zasady istnienia fantastyki naukowej z zasadami istnienia literatury w ogóle. Taki pisarz skazany jest na samotność: autorzy i miłośnicy konwencjonalnej SF odrzucają jego twórczość jako niezadowalające ich oczekiwań wygłupy (los awangardy), ludzie związani z literaturą „wysoką" odwracają się od tych prób nie widząc w nich żadnej wartości, bo brzydzą ich elementy fantastyki, odruchowo uznawanej za coś gorszego (los ariergardy). A przecież ani jedna, ani druga postawa wobec takich usiłowań nie jest słuszna. Na to jednak nie ma rady – to trzeba przeczekać.

Na taką sytuację literacką skazał się właśnie Wiktor Żwikiewicz, który zwrócił na siebie uwagę czytelników spoza kręgu miłośników SF powieścią „Druga jesień". Powieścią zakorzenioną w różnych literackich stylistykach, niejednoznaczną, zagadkową, ale intrygującą wielkim wewnętrznym żarem, artystyczną odwagą i ryzykownym kroczeniem na przekór oczekiwaniom leniwych czytelników. Nie był to spektakularny sukces, ale okazało się, że i dla takiej fantastyki jest miejsce, choć nie da się ona do końca opisać, nie da się rozłożyć na czynniki pierwsze. Próbował tego ostatnio dokonać na tych łamach Andrzej Niewiadowski przy okazji lektury „Imago", kolejnej powieści Żwikiewicza i też mu się nie udało.

Może właśnie świetność prozy tego pisarza na tym polega, że wymyka się ona nam, czytelnikom, że fascynuje, poraża swą wizyjnością, porywa niezwykłą plastycznością opisów, a jednocześnie broni się przed analizą, broni swej niezależności.

Można dla niej znaleźć wiele paralel czy to modernistycznych, czy późniejszych (Schulz), czy też całkiem współczesnych (niektóre realizacje SF), ale przecież z tych porównań nic nie wynika, nie dają one klucza do prozy Żwikiewicza. Wyobrażam sobie, jak się z tych usiłowań śmieje w duchu tajemniczy starzec, który napisał *„historię okrutną o miłości i zbrodni, o zwycięstwach, upadkach i rozterce walecznego Tristana 43581"*.

Po „Drugiej jesieni" i po „Imago", krótka powieść „Ballada o „przekleństwie" jest pewnym novum w twórczości Żwikiewicza (przy założeniu, że jest od nich późniejsza, czego nie można być pewnym). Polega to na tym, że pisarz jakby bardziej zbliżył się do konwencjonalnej fantastyki naukowej, choć nie zrezygnował z charakterystycznej „plastyczności" opisów. To i narracyjne uproszczenia narzuciła mu przyjęta formuła: ballada.

Jest to opowieść o dwóch żyjących obok siebie cywilizacjach: jednej wyradzającej się w podziemnym świecie, karlejącej i drugiej, tajemniczej, niedookreślonej, która „naśladuje" wytwory ludzkie i samych ludzi. Ona dysponuje Mocą (interpretacja metafizyczna może tu być rozmaita), ale jakby nie ma pomysłu, co z tą Mocą robić, może zresztą sama jest Mocą. Została rozbudzona, powołana do życia, ale *„spragniona zmian dalej nie posiadała wiedzy, że – cokolwiek dotknie – musi się rozsypać, żeby coś na nowo zdołała złożyć w sobie. Tak na swej drodze spotkała człowieka – jedyny obiekt Wszechświata, potrafiący istnieć jednocześnie w zgodzie i przeciw prawom natury"*.W kilku pieśniach-legendach przedstawia Żwikiewicz zamazany obraz kontaktu cywilizacji, a w finale dramatyczne spięcie w sytuacji granicznej, w scenie szarpiącej nerwy i wrażliwość czytelnika, ale też sugerującej optymistyczne zakończenie: potężne Imperium rozpadnie się w zetknięciu z prawdziwą, czystą ludzką myślą.

Leszek Bugajski

Wiktor Żwikiewicz: *Ballada o przekleństwie.* Nasza Księgarnia. Warszawa 1986. Cena 120 zł.

Nabijanie w balon

Kiedy na ladzie księgarni zobaczyłem „Pięć tygodni w balonie" Jules'a Verne'a, kupiłem tę książkę bez zastanowienia, nie przypuszczając, że moja decyzja stanie się powodem ogromnej irytacji.

Nie wzięła się ona stąd, że utwór nie spełnił moich oczekiwań. W końcu wiedziałem czego mogę, a czego nie mogę się spodziewać po Vernie i choć wielu miłośników fantastyki wyraża się o twórczości „czarodzieja z Nantes" z niejaką pogardą, zarzucając mu anachroniczność, przeładowanie informacją naukową, dydaktyzm – to jednak nic nie przekreśli dorobku Verne'a i jego zasług dla fantastyki. No i z tym traktowaniem autora „Tajemniczej wyspy" jak szacowanej skamieliny również przesadzamy. Jego książki znajdują przecież w dalszym ciągu czytelników, miłośników i to nie tylko wśród dzieci i młodzieży.

„Pięć tygodni w balonie" zajmuje w dorobku Verne'a miejsce szczególne i choćby z tego względu warto było tę powieść przypomnieć. Jest to pierwszy utwór z liczącego, bagatela, 58 pozycji – cyklu „Niezwykłych podróży", obejmującego m.in. takie powieści jak „20 000 mil podmorskiej żeglugi" czy „W 80 dni dookoła świata", bez których trudno sobie wyobrazić literaturę – i to nie tylko fantastyczno-naukową. Jest to nader istotny argument, bowiem „Pięć tygodni w balonie" zawiera chyba wszystkie cechy charakterystyczne dla twórczości Verne'a: fascynację techniką i wiarę we wszechmoc nauki oraz posłannictwo Europy wobec „dzikich ludów"; przekonanie, że intelekt, dobroć, przyjaźń są w stanie przełamać wszelkie przeszkody; erudycję pozwalającą operować wiadomościami z najróżniejszych gałęzi wiedzy i skutecznie realizować formułę „bawić-ucząc, uczyć-bawiąc"; wreszcie poczucie humoru, którym starał się różnicować napięcie dramatyczne. Mało tego – uważny czytelnik dostrzeże bez trudu wiek analogii i bardziej szczegółowych podobieństw. Czyż bowiem podróżnicy balonem nie przypominają do złudzenia bohaterów z „20 000 mil podmorskiej żeglugi"; Joe – Obieżyświata w „W 80 dni dookoła świata" i chyba wszystkich „wiernych służących", tak licznie pojawiających się w powieściach Verne'a? Powtarzają się sytuacje - przecież scena walki o utrzymanie „Victorii" w powietrzu do złudzenia przypomina identyczną scenę z „Tajemniczej wyspy", itd.

Zasadność wydania „Pięciu tygodni w balonie" była bezdyskusyjna i gdyby tylko o to chodziło Wydawnictwu Łódzkiemu należałyby się tej inicjatywie słowa uznania. Niestety, jak to często bywa, same dobre intencje nie starczą, jeszcze trzeba je realizować.

Mam wrażenie, że dumny, choć nieco zaskakujący tytuł serii „Trzy wieki kultury europejskiej" do czegoś zobowiązuje. (A przy okazji. Dlaczego tylko trzy wieki? Wydaje mi się, że dorobek kulturalny Europy liczy sobie więcej niż trzysta lat). Tymczasem, w ramach owej „europejskiej kultury" otrzymujemy książkę wydaną wprawdzie na dobrym papierze (offsetowy III klasy), ale w burej kartonowej oprawie, przecierającej się na zgięciach po kilkakrotnym otworzeniu egzemplarza, klejoną – czyli do parokrotnego zaledwie użycia, bez tak istotnych u Verne'a ilustracji (a reprodukcja ryciny ze słoniem ciągnącym balon znalazła się nawet na znaczku pocztowym Monako). Intencje edytora są chyba dość wyraźne: niskie koszty produkcji i wysoki nakład dają (przy cenie 200 zł) zysk nie do pogardzenia. Efekt jest jednak szokujący i na usta cisną się określenia typu „kultura dla ubogich", „siermiężna" czy „tania". Sądzę, że wielu nabywców wolałoby dopłacić byleby otrzymać produkt wyglądający mniej żałośnie.

Za zdecydowany natomiast skandal uważam wyjątkowe niechlujstwo z jakim pozycja ta została oddana w ręce czytelników. Jeżeli bowiem w nakładzie 100 tysięcy egzemplarzy publikuje się książkę, w której przy zwykłej lekturze można znaleźć około s t u błędów korektorskich (błędy literowe, interpunkcyjne, różnice w rodzaju czcionki), gdzie nagminnie występują błędy druku takie jak brak znaków diakrytycznych nad dużymi literami i oznaczeń stopni geograficznych, nieodbite fragmenty wyrazów – to na coś takiego nie sposób znaleźć usprawiedliwienia. I jak tu mówić o kulturze i to... europejskiej?

Szkodę, jaką wyrządzono nie sposób mierzyć li tylko w ilości zmarnowanego papieru, nabitymi w balon czytelnikami, którzy za swoje pieniądze dostali bubel wydawniczy. Nigdy nie przypuszczałem, że będę kiedykolwiek ostrzegał przed książką Verne'a jako przed źródłem demoralizacji. To w y d a n i e jednak jest demoralizujące – zwłaszcza dla młodych ludzi, którzy zobaczą zaprzeczenie „dobrej roboty", jakiej entuzjastą i propagatorem był sam autor „Pięciu tygodni w balonie".

Stanisław Belina

Jules Verne: *Pięć tygodni w balonie.* Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1986. Cena 200 zł.

Ulubiony pokarm ludzkości

Po „Szoku przyszłości" i „Ekospaźmie", trzecia na polskim rynku książka Tofflera stawia przed nami na powrót problem futurologii. Czy futurologia ma sens? Jest nauką czy literaturą, księżycową filozofią czy rzetelnym oglądem świata? Dlaczego futurologowie najczęściej chybiają?

Na to ostatnie pytanie wielokrotnie odpowiadał Lem. Raz na kilkudziesięciu stronach drugiego tomu „Fantastyki i futurologii" w rozdziale „Epistemologia fantastyki". Kiedy indziej na przykład w krótkim eseju „Refleksje 1974" (tyg. „Kultura") przedrukowanym w tomie „Rozprawy i szkice" (WL 1975). Efekty: DIORA czyli mody, TITANIKA czyli zadufania, ARCHIMEDESA czyli szukania punktu oparcia i KATONA czyli negacji – oto przedstawione w tym eseiku przyczyny, na pewno nie wszystkie, porażek przepowiadaczy. Futurologia okazuje się zajęciem bliskim fantastyki właśnie.

Nikogo nie zdoła to odstraszyć od prób rozgarnięcia zasłony czasu. Przyszłość była i pozostanie ulubionym pokarmem ludzkości, który wszystko – pojęcie czasu i przestrzeni, konsumpcji i rynku, nawet mężowie przestaną zdradzać żony. Na pewno? Uwierzyłbym w to może gdyby w innym miejscu błyskotliwe pióro nie zniosło autora na manowce. Otóż stwierdza Toffler, że Oświęcim był dziełem... industrializmu. Cholera, przysiągłbym, że to Hitler zawinił. Industrializm potrzebował przecież i robotników, i klientów, a Oświęcim zabierał mu jednych i drugich i przerabiał ich na dymy bądź na mydło.

Książka Tofflera powstała w ciekawej rzeczywistości. Wszystko tam można powiedzieć, prawie wszystko osiągnąć. W dodatku wynurzenia optymistyczne idą tak jak świeże bułeczki, zaś ponuractwo wietrzeje na ladzie. Stąd kształt przyszłości według Tofflera jest taki ujmujący, jakby nie miał autor pojęcia o diabelstwie drzemiącym w jednostkach i systemach, we władcach i poddanych. Jakby zapominał o wizjach przeróżnych rozszczepionych światów tak wstrząsająco opisanych przez fantastów socjologicznych od Wellsa, czy Huxleya po naszego Zajdla. Prawda, wspomina Toffler o „Ucieczce od wolności" Fromma, o „1984" Orwella. Znamy jedno i drugie. Nawiązujemy z Tofflerem więź poprzez to cośmy czytali i oglądali; znacznie gorszy ten kontakt, kiedy przyjdzie rozważyć przyszłość jego i naszą. Demokracja, indywidualizacja, regionalizm, zróżnicowanie... jak między te pojęcia wcisnąć smutną korektę o wielomiliardowych długach, o rakietach i antyrakietach krążących nad naszymi głowami, o ubogich narodach szukających swej drogi.

człowiek spożywa ustami wybranych przedstawicieli – narodów bądź jednostek, myślicieli lub ludzi czynu. Kiedy Gagarin poleciał w kosmos, ludzkość w jego osobie wstąpiła w wiek XXI, prawdziwy Wiek Ery Kosmicznej. Kiedy Armstrong stawiał stopę na Księżycu, Amerykanie jako naród i my jako gatunek stawialiśmy ją razem z nim i naszymi prawnukami. Kiedy Wells w „Wehikule czasu" mówił o podzielonym między Morlocków i Elojów świecie 802701 roku, byliśmy tam razem obok jego Podróżnika w Czasie... Cóż więc dzieje się teraz, kiedy Toffler w „Trzeciej fali" zapowiada nadejście ery postagrarnej i postprzemysłowej? Kiedy wróży nam powszechną destandaryzację konsumpcji i produkcji, decentralizację decyzji, zmianę modeli politycznych, więcej swobód, odmasowienie środków przekazu, powszechną komputeryzację, a jednocześnie uprywatnienie życia?

Otóż odczuwamy przede wszystkim zazdrość i ciche zażenowanie. Zapowiedzi Tofflera – uwiarygodnione dodatkowo wstępem Wiktora Osiatyńskiego, który jakoby widział w Stanach objawy spełniania się Tofflerowskiej prognozy – z naszego punktu widzenia wyglądają nieprawdopodobnie.

Powiedziałbym to tak – ludzkość spożywa dziś swą przyszłość ustami wybranych jednostek i narodów, a Toffler bezsprzecznie należy do obu wybranych kategorii. Amerykanie zużywają najwięcej energii na obywatela (bodaj kilkanaście razy więcej niż wynosi średnia światowa). Nawet prezydenta zmienili kiedy im dokuczył, zmieniają też co parę lat mody w sztuce i kulturze, zmieniają style życia i właściwie bez specjalnej przemocy narzucają te zmiany innym narodom. Amerykanie chwycili pana Boga przyszłości za nogi, mają ją przed sobą tuż-tuż na widelcu. Z ich punktu widzenia Toffler może mieć rację. Czy jednak odmalowana w „Trzeciej fali" wizja przyszłości jest przyszłością całego globu?

Zastrzeżenia merytoryczne budzi zresztą nie tylko uniwersalność konstatacji Tofflera, lecz także jego metoda. „Trzecią falę" buduje autor na podobieństwo hologramu, który, nawet strzaskany, w najdrobniejszym okruchu przechowuje zminiaturyzowany obraz ogólny. Każdy z ponad stu minirozdziałków pracy wybija w kółko to samo. Czy mówi autor o porywaczach w Teheranie, czy o biurokracji w Stanach, o narkotykach, komputerach, telewizji przewodowej, o inflacji, bankach, kryzysie energetycznym, nie normowanym czasie pracy, rozdrobnieniu religii, o pracy w domu i kryzysie nauczania w dawnym stylu... nieodmiennie wynika mu z tego koniec epoki przemysłowej i wkraczanie na jej miejsce wspaniałej rzeczywistości „trzeciej fali". Niestety, wiele w tym radosnego chciejstwa nie potwierdzonego dowodem, zgadzają się niektóre objawy. Walka z przyrodą, zasada ewolucji, zasada postępu – oto według Tofflera cechy zmierzchającej ery industrialnej. Newton, Darwin i Freud byli jej intelektualnymi bogami, a przemysł jej ideologią. Teraz zmieni się

Zapowiada Toffler i postuluje przebudowę świata na mniejszą, humanistyczną skalę, by był bardziej spolegliwy – dla jednostki, dla małej grupy, dla naturalnego środowiska. Ta sama zacna tendencja występowała i w innych książkach, też zresztą udostępnionych nam przez PIW, Toffler nie stanowi wyjątku. „Małe jest piękne" Schumachera – książka, która się ukazała w tej samej nawet serii, odsłoniła nam jasną, pełną nadziei stronę przyszłości. Ale teraz, jednocześnie z Tofflerem, PIW wydał pracę K.T. Teoplitza „Zaćmienie informacyjne", traktującą o świecie, który nie słucha przestróg, dobrych rad i z klapkami na oczach społeczeństw i na uszach przywódców, toczy się ku kataklizmowi. Toffler może mówić co chce, my tu nad Wisłą wiemy swoje.

Oczywiście, małe nie wygra do końca z dużym, wbrew życzeniom Schumachera; człowiek nie dopasuje świata dokładnie do swojej skali, mimo że chce tego Toffler, lecz świat też nie rozleci się w drzazgi, mimo że ostrzega przed tym KTT. Do najgorszego nie dojdzie, m.in. dzięki temu, że istnieją książki uczące odpowiedzialności, aktywności i myślenia. Usposabiają nas one do przyszłości w sposób czynny, pokazując, że przyszłość jest dziełem naszych rąk i naszych wyborów. Niestety, ręce jednych są dłuższe, innych krótsze. Toffler tego rodzaju kontrastom w ogóle nie poświęca w swej książce uwagi.

Nie kwestionuję kompetencji Tofflera jako futurologa w ogóle. Choć mam wrażenie, że nawet gdyby założyć, iż mówi o samych Amerykanach, to i w interpretacji, i w zapowiedziach poczyna sobie nadto swobodnie. Co się tyczy moich spraw, to tutaj trafia o wiele rzadziej. Toteż, owszem, gdy chcę pomarzyć, czytam czasem Tofflera. Ale gdy zastanawiam się serio, sięgam po fantastyczne opowieści czarnowidzów socjologicznych z bliższego geograficznie obszaru. Oni, nawet jeśli nie trafiają – co się zresztą jeszcze okaże – przynajmniej mówią na temat.

Maciej Parowski

Alvin Toffler: *Trzecia fala*. Tłumaczyła E. Woydyłło. Przedmowa W. Osiatyński. Biblioteka Myśli Współczesnej. PIW, Warszawa 1986. Cena 450 zł.

Po prostu science fiction

Nareszcie mamy książeczkę, której tytuł jest adekwatny do treści, lecz żeby nie było już żadnych wątpliwości, autor – Ryszard P. Jasiński (znany Czytelnikom „Fantastyki" chociażby z przekładów anglojęzycznej SF) – dodał obszerny podtytuł: „Szkic z dziejów literatury popularnej w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii". Zawarte w nim określenie „literatura popularna" również dobrze zdaje sprawę z charakteru tej odmiany twórczości.

Autor rozpoczął swoje wywody od prezentacji prekursorów SF i „ojców gatunku", następnie poświęcił wiele uwagi specjalistycznym pismom SF, zjawisku typowemu – aż do naszych czasów – dla amerykańskiej wersji science fiction. Nie szczędził przy tym kąśliwych uwag pod adresem licznych wydawców, którzy sprowadzili tę odmianę literatury do „podgatunku" wyłącznie przygodowego i rozrywkowego, nie mającego już nic wspólnego z science fiction, co się przecież tłumaczy jako... beletrystyka nauki (wiedzy). W rzeczy samej w takich pulpowych wydaniach mamy do czynienia z ignorancją, a nie z wiedzą.

Skądinąd trudno przecenić pojawienie się książeczki Jasińskiego z założenia skazanej na selektywne i skrótowe podejście do tematu. Nie miał więc autor łatwego zadania, a przecież podjął się niebagatelnego wysiłku, starając się z jednej strony rozprawić z panującymi w krytyce polskiej mitami o anglojęzycznej SF, z drugiej natomiast strony – dać chronologiczny, skondensowany przegląd science fiction: ukazać jej powstanie, rozwój, manowce, wzloty i upadki, jej elitarność w pewnych okresach i – w znacznie dłuższych – masowość, prowadzącą niestety do spłycenia tematów i problemów.

Szczególnie cenne są (z konieczności krótkie) omówienia tych utworów science fiction, które jak dotąd nie doczekały się przekładów na język polski. Dotyczy to zwłaszcza monumentalnej twórczości Olafa Stapledona, „The Puppet Masters" Roberta A. Heinleina, „A Canticle for Leibowitz" Waltera M. Millera jr., czy „The Ballad of Last C'mell" Cordwainera Smitha. Ze zdziwieniem natomiast zauważyłem, że w książce Jasińskiego brak jest wzmianki o utworach znanego astrofizyka Freda Hoyle'a, a zwłaszcza o jego powieści „Czarna Chmura". Można uważać, że nie jest to literatura najwyższego lotu, ale jest to na pewno rzetelna s c i e n c e f i c t i o n.

Czy warto dalej stawiać zarzuty? Nie sądzę. Mogłoby być ich bez liku (dlaczego taki, a nie inny układ kompozycyjny? dlaczego niektórzy twórcy zostali bardziej wyróżnieni? itd.) lecz nie byłyby one zasadne wobec ogólnego charakteru wydawnictwa („Nauka dla wszystkich"), w którym ukazała się ta pozycja (jako nr 404). Wypada tylko podzielać nadzieję autora, iż może kiedyś dojdzie do wydania pełniejszego opracowania.

T. Zbigniew Dworak

Ryszard P. Jasiński: *Science Fiction. Szkic z dziejów literatury popularnej w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii*, Ossolineum, Kraków 1986. Cena 70 zł.

Meissner Janusz

(1901–1978)

Lotnik, prozaik, publicysta

Urodził się 21 stycznia 1901 r. w Warszawie. W 1918 r. wstąpił, jako ochotnik do lotnictwa, w 1919 r. ukończył szkołę pilotów. Od 1922 do 1923 r. studiował w Wyższej Szkole Nauk Politycznych w Warszawie. Uczestnik III powstania śląskiego. W latach 1926–1939 szef pilotażu Centrum Wyszkolenia Lotnictwa w Dęblinie, dowódca eskadry i komendant Szkoły Pilotów w Krakowie. Kampanię wrześniową odbył jako pilot myśliwski, następnie przedostał się do Anglii, gdzie w latach 1942–1944 był kierownikiem Polskiego Radia, korespondentem lotniczym. Od 1944 do 1946 r. oficer RAF. W 1946 r. powrócił do kraju, zajął się pracą literacką, osiadł w Zakopanem, a w 1956 r. przeniósł się do Krakowa. Zmarł 28 lutego 1978 r. w Krakowie.

Janusz Meissner należał do grona najpopularniejszych autorów prozy przygodowej dwudziestolecia. Laureat nagrody miasta Krakowa (1968) i nagrody ministra kultury i sztuki I stopnia (1973), debiutował w 1927 r. w czasopiśmie „Na fali" – w tym samym roku wydał swój pierwszy zbiór opowiadań „Hangar nr 7". W ciągu wielu lat pracy twórczej ogłosił szereg powieści i zbiorów opowiadań o tematyce lotniczej i morskiej osnutych na kanwie bezpośrednich przeżyć i faktów historycznych. Do najbardziej znanych należą: „Eskadra" (1928), „Szkoła orląt" (1930), „Żądło Genowefy" (1943), L – jak Lucy" (1945), „Wyspa ostatniej nadziei" (1947), „Pilot gwiaździstego znaku" (1947), „Niebieskie drogi" (1954), „»Pistolety i kosynierу«" (1977), „Sześciu z »Daru Pomorza«" (1951), „Wraki" (1953), „Opowieść o korsarzu Janie Martenie" (1957-1959), „Przygoda śródziemnomorska" (1960). Jest również Janusz Meissner autorem trylogii wspomnieniowej: „Jak dziś pamiętam" (1967), „Wiatr w podeszwach" (1971), „Pióro ze skrzydeł" (1973). Jego książki były tłumaczone na język angielski, flamandzki, czeski, francuski, holenderski, niemiecki, norweski, szwedzki i rosyjski.

Kilka opowiadań Janusza Meissnera, rozrzuconych po pierwszych zbiorach datowanych na lata międzywojenne (zwłaszcza: „Hangar nr 7", 1927; „Skok przez Atlantyk", 1928; „Rekord", 1931; **„Licznik z czerwoną strzałką"**, 1931; „Opowiadania lotnicze", 1938) nawiązuje do modelu fantastyki vernowskiej (zob. „Zamek w Karpatach"). Zjawiska nadprzyrodzone, budzące lęk i obawę bohaterów, zostają tu wyjaśnione w logiczny, naturalny sposób („Sznur pereł", „Przesyłka z Chartumu", „Mniszka z Monte Benito"). Najciekawsze opowiadania Meissnera stanowią jednak klasyczny przykład „fantastyki czystej" (w rozumieniu, T. Todorova) pozostawiając czytelnika w niepewności co do finalnego (naturalnego bądź nadnaturalnego) rozwiązania intrygi („Biały reporter", „Katastrofy w Montpeltier", „Samolot Lecarte'a", „Dzwon z Lamartin", „Licznik z czerwoną strzałką"). Autor nie opowiada się za żadnym z rozwiązań, ukazując jak nasz racjonalny, w miarę wytłumaczalny świat pęka pod naporem tajemniczych, do końca nie rozpoznanych sił. Co istotniejsze, atak na racjonalizm nadchodzi ze strony najmniej spodziewanej – techniki. Ona nie tyle zawodzi (to byłoby najprostsze, ale pozbawione tajemnicy), ile emanuje jakimś pierwiastkiem demoniczności, nadnaturalności, który ujawnia się w sprzyjających sytuacjach. Jest to być może rodzaj literackiej metafory: w opowieściach Meissnera dają się zauważyć echa międzywojennej postawy futurystycznej – nieco romantycznej fascynacji techniką i obawy przed ukrytymi, nie rozpoznanymi mocami, które stają się jej udziałem (zob. utwory Sterna, Czyżowskiego i in).

Bibliografia wybrana:

L. Jabłoński, *Janusz Meissner* (w:) „Polonistyka" 1973/6;
– *Rozmowa z Januszem Meissnerem* (przeprowadziła: J. Marcisz) (w:) „Trybuna Ludu" 1973/209;
– Z. Macużanka (w:) „Kultura" 1973/50;
– O. Jędrzejczyk (w:) „Życie Literackie" 1973/39.

Mercik Andrzej

(ur. 1947)

Nauczyciel, prozaik

Urodził się w 1947 w miejscowości Gródczanki (woj. katowickie). Ukończył Studium Nauczycielskie w Rzeszowie ze specjalnością matematyczną oraz Wyższą Szkołę Pedagogiczną. Jako autor SF debiutował w 1975 r. na łamach „Młodego Technika" (7–8) opowiadaniem „Termity" (przedruk w antologii „Wołanie na Mlecznej Drodze", Nasza Księgarnia 1976). W 1982 r. nakładem Wydawnictwa Literackiego, ukazała się jego powieść **„Mgła"**. Książka ukazuje surrealny, odrealniony obraz miasta spowitego w obłok nieprzeniknionej mgły, która napływa po katastrofie siłowni atomowej. Koleje ludzkich losów przebiegają w atmosferze narastającego strachu, osaczenia, zagrożenia. Przedstawione wypadki stają się metaforą bardziej ogólnej sytuacji – świadectwem postawy egzystencjalnej, samotności człowieka i niemożności porozumienia się z najbliższymi, uporczywych, lecz jakże często daremnych wysiłków przekształcania świata.

Bibliografia wybrana:

– M. Oramus (w:) „Przegląd Techniczny" 1983/5.

Michalska Marta

(1908–1980)

Inżynier-rolnik, prozaik

Urodziła się 25 września 1908 w Krakowie. Ukończyła Szkołę Główną Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Debiutowała w 1947 r. na łamach prasy jako prozaik. Autorka kilku powieści dla młodzieży (m.in. „Lato w Olszance", 1951–1953; „Historia Psiej Górki" 1952–1954; „Ludzie z Zielonej Górki", 1953. Zmarła 9 lipca 1980 r. w Warszawie.

W 1956 r, nakładem Naszej Księgarni, ukazała się książka Marty Michalskiej **„Tajemnice górskiej groty"**. Powieść przypomina „Wyprawę do wnętrza Ziemi" – J. Verne'a (a co za tym idzie utwory E. Majewskiego, F. Klona, B. Korewickiego), ukazując przygody chłopców, którzy poznają zagadki przeszłości na tle rozwiązań paleontologicznych i ekologicznych.

pożółkłe kartki

Licznik z czerwoną strzałką

Janusz Meissner

...Brzozowski „szedł" gładko przez pierwszą i drugą eskadrę szkolną. Był dobry na samolotach początkowych i bardzo dobry na przejściowych.

– Tak, chyba będzie dobrze latał – odpowiedział na moje pytanie ostatni jego instruktor.

Zająłem się nim szczególnie. Trzeba mu było dać ostatni szlif na samolotach liniowych, wpoić mu to, co jest dość nieuchwytne, wypolitурować, wygładzić, żeby umiał raz na zawsze, żeby – jak to wyrazić? – żeby czuł się w powietrzu jak ptak. Był rzeczywiście zdolny: po kilku lotach na dwusterze mógł lecieć samodzielnie.

Wtedy zaczęła się ta dziwna sprawa z obrotomierzem.

Kazałem przygotować maszynę i obciążyć miejsce instruktora workiem piasku, a potem wystartowałem na niej, żeby sprawdzić stateczność i równowagę. Była posłuszna i stabilna, kładła się lekko na burty i wstawała bez wysiłku, równo płynęła w zakrętach, zachowywała się prawidłowo po zamknięciu gazu w locie ślizgowym. Spojrzałem na tablicę przyrządów. Ich strzałki pulsowały łagodnie, jakby potakując i zapewniając mnie, że wszystko jest w porządku. Tylko obrotomierz zaciął się i pokazywał zero. Dodałem gazu. Ani drgnął. Zupełnie jakby uparł się robić trudności, właśnie kiedy mi się spieszyło.

Wprawdzie, gdybym się uparł, Brzozowski mógłby polecieć z uszkodzonym obrotomierzem. Miał dość czucia, żeby zredukować dopływ mieszanki na „słuch". Nie upierałem się jednak i maszyna przeszła w ręce mechaników.

Po chwili werkmistrz zameldował, że na poczekaniu nie da się naprawić obrotomierza, a innych nie ma w podręcznym magazynie.

– Chyba, panie poruczniku, że wymontowalibyśmy z tej wczorajszej kraksy – powiedział.

„Ta kraksa" była stertą połamanych skrzydeł i kadłuba, z której uczeń wyszedł prawie cało, tylko ze zwichniętą ręką. Nie chciało się wierzyć, żeby zostało coś zdatnego do użytku wśród pogiętej armatury tego wraku. Jednak istotnie, licznik obrotów ocalał. Miał białą tarczę z podziałką i czerwoną wskazówką. Nazwy fabrycznej nie było.

– Co to za obrotomierz? – zapytałem.

Jakiś stary model, nietypowy. Mimo to okazał się zupełnie sprawny, więc zabudowano go na właściwe miejsce i po próbie na ziemi Brzozowski siadł do maszyny. Pomogłem mu zapiąć pasy i udzieliwszy ostatnich rad i napomnień odszedłem na bok. Spod śmigła miotło drobnym piaskiem, który osiadał na moim kombinezonie. Spojrzałem pod wiatr, w kierunku lasu. Lotnisko było wolne.

– „Start" – machnąłem ręką.

Brzozowski dał pełny gaz. Widziałem jak samolot rusza, unosi ogon, nabiera pędu, jak pneumatyki kół pozostawiają coraz płytsze ślady na piaszczystej łysinie, jak potem już tylko muskają jej powierzchnię, a dołem, przyparty płasko pędem wichru od śmigła, wali tuman kurzu. Silnik ryczy, grzmi całą siłą czterystu koni mechanicznych, maszyna, nie wznosząc się, pędzi ku ciemnej ścianie lasu, nabierając coraz większej prędkości.

Teraz pilot powinien pociągnąć lekko drążek sterowy, las jest już blisko. Nie czyni tego, tylko gna dalej poziomo, a maszyna aż gwiżdże od pędu. W górę! W górę do pioruna! Skraj lasu jest o sto, o pięćdziesiąt, o dwadzieścia metrów... I nagle koronami sosen wstrząsa dreszcz, rozlega się łoskot i trzask, pryskają dźwigary skrzydeł, spod płótna wyłuskują się drzazgi, pękają stalowe taśmy, a kadłub jak pocisk z oszalałym motorem w głowicy wbija się między pnie, tratuje, łamie, ścina, aż wreszcie zarywa się w ziemię i

kona, rzygając gorącym smarem z rozbitego karteru.

Wbrew moim najgorszym przewidywaniom, Brzozowski był zdrów i cały. Kiedy wyskoczyłem z samochodu sanitarnego i przybiegłem na miejsce wypadku, siedział raczej przygnębiony niż przestraszony na szczątkach ogona i palił papierosa.

– Co to było? – zapytałem. – Ster się panu zaciął?

Nie, ster był w porządku. Wszystko działało jak należy. Nie umiał wytłumaczyć swego postępowania.

– Zagapiłem się na obrotomierz – powiedział w końcu z posępną miną.

– Zagapił się pan! Do diabła, wie pan ile to będzie kosztowało skarb państwa?

Był zrozpaczony. Wieczorem urżnął się nieprzeciętnie z wielkiego żalu, czego nie mogłem mu brać za złe. Niegdyś i ja po pewnej, niezawinionej zresztą kraksie, bardzo dużo wypiłem samotnie...

Samolot oczywiście przeznaczono na złom; nic z niego nie zostało. A raczej nie: dziwnym zbiegiem okoliczności licznik z czerwoną strzałką ocalał powtórnie.

...Brzozowski zaczął latać samodzielnie w kilka dni później. Latał dobrze, „bez cudów" i wkrótce zapomniano o jego pierwszym fatalnym starcie.

Jakoś pod koniec miesiąca, w pewne upalne popołudnie lipcowe wyszła na start świeżo wyremontowana maszyna z warsztatów parku lotniczego...

– Niech pan uważa – powiedziałem do Brzozowskiego. – Nie można za nisko przechodzić nad dachami, bo maszyna silnie przepadnie. Lepiej wymierzyć na lukę między hangarami, trochę wyżej, tam jest gładko...

Tuman piasku i pyłu przecwałował obok mnie, samolot wspiął się w górę i utonął w słońcu nad lasem, minął tor kolejowy, położył się w ostatni zakręt, wyrównał na prostej, a potem wylądował pośrodku lotniska – przy chorągiewce startowej.

– Dobrze – powiedziałem. – Start!

Lecz tym razem Brzozowski nie zareagował. Śmigło obracało się na małym gazie, popielaty dymek pykał z rur wydechowych.

– Na co pan czeka? O co chodzi?

– O nic, panie poruczniku, tylko... ten obrotomierz...

– Nie działa?

– Owszem, działa. Ja tylko tak... b o t o t e n s a m.

Spojrzałem na obrotomierz. Na jego białej tarczy pulsowała czerwona wskazówka.

– Nie ma pan ochoty lecieć?

– Ależ skąd, polecę.

– No to leć pan. Start!

Maszyna przepada, widzę, że przejdzie nisko, zaledwie metr powyżej krawędzi dachów, a przecież tuż za hangarami są jeszcze druty telefoniczne rozpięte na niewiele niższych słupach.

Brzozowski orientuje się na czas. Między poświst linek wpada szybki, energiczny warkot silnika. Lecz w tej chwili, zamiast poderwać się w górę, samolot przepada gwałtownie, chwieje się, zaczepia podwoziem o słup telefoniczny i wali się na ziemię. Trzasnęły podłużnice, jak łamane piszczele, kadłub wyorał głęboką bruzdę i legł bezwładnie obok powalonego słupa z plątaniną drutów.

Tym razem nic nie powiedziałem Brzozowskiemu, nie można go było winić. Stwierdziwszy z niejakim zdziwieniem, że jest zdrów i cały (nigdy nie mogłem pojąć dlaczego wtedy nie skręcił karku) zajrzałem do kabiny. Drążek sterowy był zgięty, fotel pilota wyrwany, deska z przyrządami rozbita, zegary i manometry strzaskane. Tylko licznik z czerwoną kreską pozostał nietknięty!

Kazałem go odkręcić.

– Niech pan to spławi – powiedziałem do werkmistrza. – Najlepiej do magazynu drugiej eskadry, bo z warsztatów znów może wrócić do nas...

...Brzozowski otrzymał dwa tygodnie urlopu zdrowotnego. Nie chciał z niego korzystać, ale nie na wiele się to zdało, zabroniono mu latać i kazano odpoczywać podczas tych czternastu dni... Zaraz po urlopie dopędził swoich kolegów i znów znalazł się u mnie...

... Po wschodzie słońca, gdy tylko poranna mgiełka wsiąkła w błękitne niebo, pozostawiając po sobie powietrze „gładkie jak masło", wyszliśmy na start. Zrobiłem z Brzozowskim dwa nawroty, a potem dałem mu chwilę odpoczynku, nabierając większej wysokości. Lecieliśmy pod wiatr, ze słońcem wysoko za plecami...

– Niech pan wyprowadzi na trzysta metrów z wiatrem. Wejdzie pan w okrążenie i proszę lądować.

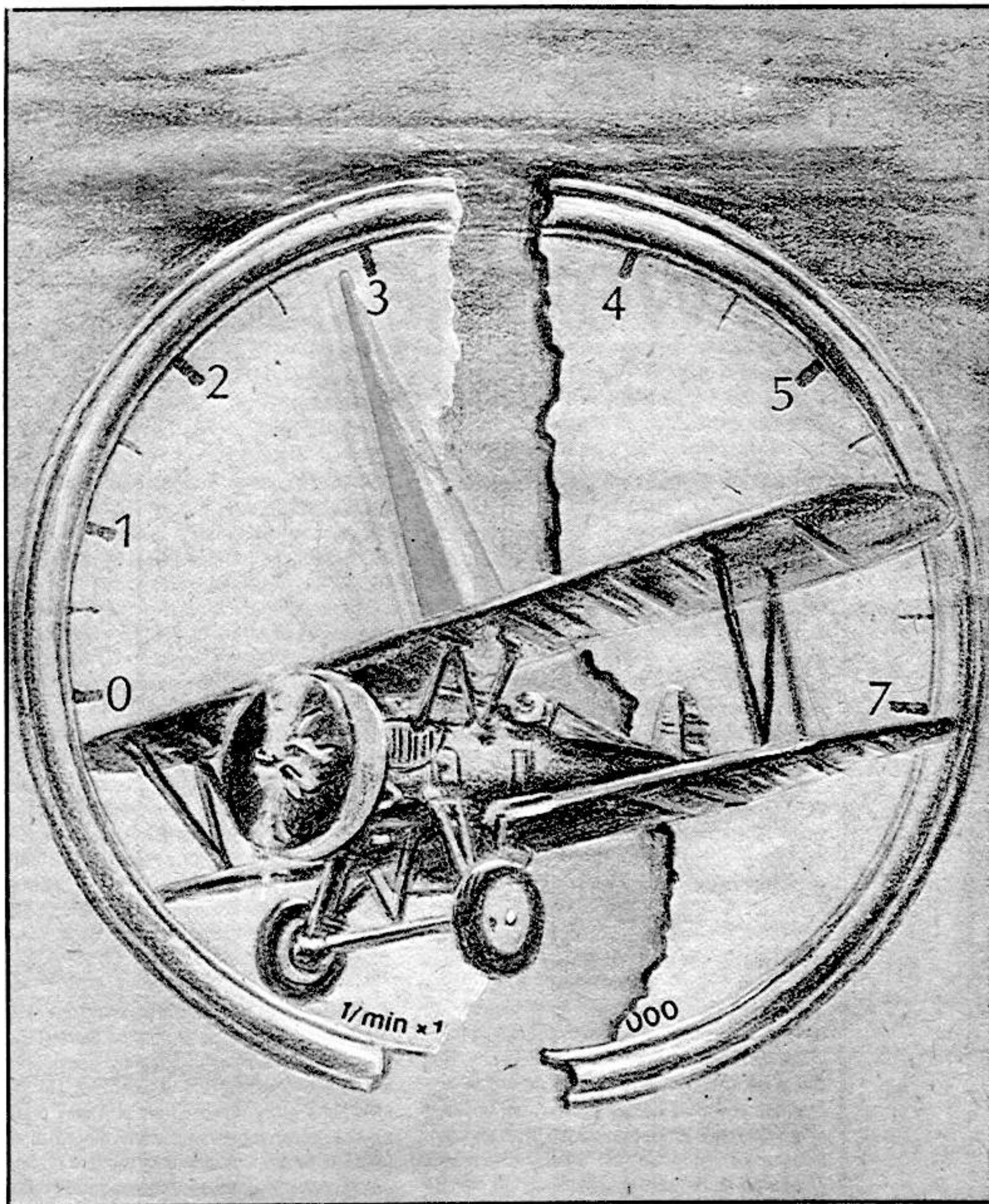
uwagi: lewe koło szurnęło po ziemi, samolot odbił się i chwyciłem ster, żeby w ostatniej chwili opanować tego „kangura". Zdołałem wyrównać i osadzić Morane'a z lekko zgiętą osią podwozia, lecz pod koniec dobiegu pochylił się w lewo i zarzucił ogonem. Oczywiście: pękła dętka, a oponę zerwało z felgi...

– Wyłaź pan! – powiedziałem do Brzozowskiego.

Nie odpowiedział, więc potrząsnąłem jego ramieniem i wtedy osunął się bezwładnie na fotelu.

Nie przypominam sobie, czy krzyknąłem, kiedy moje spojrzenie zawadziło o obrotomierz. Szkło osłaniające tarczę było rozbite, a czerwona strzałka urwana i zgięta. To był t e n s a m obrotomierz: Morane'y do nauki początkowej akrobacji pobraliśmy z drugiej eskadry...

– Zmarł na udar serca – powiedział naczelny lekarz, wróciwszy ze szpitala.



Andrzej Brzezicki

Ziemia urosła i stała się trójwymiarowa: hangary nabrały kształtu prostopadłościanów, kożuch lasu podparła kolumna rudawoczerwonych sosnowych pni, główna ulica przedmieścia zbiegała w dół, ku lotnisku. Brzozowski prawidłowo zszedł do lądowania i zamknął gaz. Byliśmy już nad skrajem lotniska i należało zmniejszyć kąt lotu ślizgowego, aby wytracić prędkość. Ale on jakby o tym zapomniał, nie poprawił nawet zwisu na lewe skrzydło.

– Ściągać! – zawołałem – Co się z panem dzieje?

Nie zareagował. Nie miałem czasu na dalsze

Pomyślałem, że zginął razem z tym obrotomierzem, który go prześladował. Niektórzy koledzy, dotąd utrzymują, że zginął p r z e z ten obrotomierz... Nie podzielam tego mniemania. Nie jestem przesądny.

Warszawa 1929

Janusz Meissner, „Licznik z czerwoną strzałką" (w:) Janusz Meissner, „Moje złego początki", Wydawnictwo Literackie, Kraków-Wrocław 1984, wybór ze stron 90–100.

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

„Inner space" jako kategoria literacka oznacza z jednej strony opisywanie świata w postaci *„zewnętrznych projekcji stanów psychicznych bohaterów"*[1], z drugiej zaś, jako dokonywane przez autora *„drążenie ludzkiej psychiki, próby wejścia do ludzkiego kosmosu wewnętrznego"*[2]. Łącząc oba stanowiska jako równoprawne (ba, nawet w dużej mierze pokrywające się) uważam, że pod pojęciem przestrzeni wewnętrznej („inner space") rozumieć należy te przedstawienia świata w dziele artystycznym, które są projekcją ludzkiego umysłu lub odzwierciedleniem w relacjach zewnętrznych stanu świadomości bohaterów tego dzieła, bądź ich emocji.

Jako że konstruowanie przestrzeni w dziele jest nierozerwalnie związane z wszelkim obrazowaniem, film zdaje się być sztuką, w której języku (opartym w głównej mierze na obrazie) konstrukcje przestrzeni wewnętrznej muszą objawić się ze szczególną wyrazistością.

Lech Jęczmyk, pisząc o J.G. Ballardzie - pisarzu, który wprowadził do science fiction kategorię przestrzeni wewnętrznej - wskazuje na jego związki z surrealizmem[3]. Maria Janion pisząc o twórczości grozy wskazuje z kolei związki między surrealizmem a gotycyzmem oraz psychoanalizę (w dwóch odmianach: freudowskiej i jungowskiej) jako ich podstawę. Podkreśla przy tym szczególną rolę, jaką odegrało kino w tym mariażu[4]. Powiązania te są niezwykle istotne, ponieważ ich rezultatem są różnorodne wyobrażenia światów wyobrażanych zapisane na ekranie.

Przestrzeń wewnętrzna

Jerzy Szyłak

1. Rodzaje przestrzeni wewnętrznych

Psychologia głębi jest w każdym wypadku inspiracją i źródłem dla tworzenia obrazów światów wewnętrznych. Daje bowiem jedyną wyrażalną w obrazach interpretację ludzkiego wnętrza. Ona też w pewnej mierze narzuca podstawowe tematy, w których wykorzystywana bywa przestrzeń wewnętrzna: sen, szaleństwo i śmierć (stan agonalny), czyli te stany umysłu, w których świadomość wewnętrzna (nie zawsze tożsama z podświadomością) uzyskuje przewagę nad światem obiektywnym.

Drugi krąg stanowią obsesje, lęki i niepokoje – w tym marzenia kompensacyjne – czyli te stany, w których umysł dokonuje selekcji wydarzeń rzeczywistych lub ich przekształceń, naginając je do swoich oczekiwań (pozytywnych bądź negatywnych).

Wreszcie trzeciej grupy można by oczekiwać wśród filmów ukazujących proces wspominania kogoś lub czegoś – pamięć wszak jest także podległa woli umysłu. Jednak zabieg retrospekcji na ekranie jest tylko maską i nie podejmuje trudu oddania struktury wspomnienia. Przykłady, gdy dzieje się inaczej, należy zaliczyć do wyjątków.

Warto powrócić jeszcze do snu – tej obsesji i kina, i refleksji o filmie. Sen rzadko bywa tematem filmu, a już nigdy nie jest wyłącznie tematem. Trzeba go raczej nazwać gatunkiem lub metodą twórczą, bowiem podlega on – opozycyjnej do logiki racjonalistycznej – logice psychoanalitycznej. Sen jest opowieścią o realizacji zdarzenia (którego pragnie śpiący) – jak twierdzi Freud – przedstawionego przy użyciu opuszczenia, aluzji i symbolu. Może operować przy tym przemieszaniem i kontaminacją zdarzeń i osób rzeczywistych, zamianami ról i zagęszczeniem – polegającym na działaniu wobec składni relacjonowanych zdarzeń analogicznym do niweczenia struktury składniowej zdania (eliminacja łączników, trybów, form osobowych, etc., etc.)[5].

Film wyprowadza z tych zasad dwa sposoby traktowania snu. Pierwszy kładzie nacisk na kompensacji i opowiada zdarzenie w sposób racjonalny, z zachowaniem konsekwentnego następstwa czynności i ich efektów, nasycając tylko tkankę przestrzenną opowieści rekwizytami snu: opuszczeniem, aluzją, przedmiotowymi symbolami zaczerpniętymi z codzienności dla oznaczania rzeczy „nienazywalnych"[6], zamianą ról. Drugi natomiast skupia się na zagęszczaniu relacji, mającym na celu wydobycie maksimum ekspresji samego aktu opowiadania-śnienia.

W gruncie rzeczy sen wraz z dostępnym za jego pośrednictwem repertuarem symboli psychoanalitycznych (wzbogaconym o zasób przedstawień artystycznych zinterpretowanych psychoanalitycznie jako znaczące symbolicznie twory podświadomości, np. sobowtóry, wampiry i wilkołaki) jest jedynym sposobem opowiadania o przestrzeni wewnętrznej i on narzuca metodę podejmowania wszystkich wyszczególnionych wcześniej tematów.

2. Rodzaje przedstawień „wnętrza"

Wymienione na początku horror i surrealizm ustanawiają w kinie dwa sposoby posługiwania się kategorią przestrzeni wewnętrznej. Do stylistyki filmu grozy odwołują się ci, którzy pragną uzyskać obraz zobiektywizowany, a przynajmniej uporządkowany, umożliwiający widzowi przyjęcie pełnej dystansu pozycji obserwatora przedstawianych zdarzeń. Jest to postawa analogiczna do tej, jaką przyjmowali komentatorzy wykorzystujący psychoanalizę dla zinterpretowania horroru. Tej grupie filmów przyporządkować należy pierwszy z wyszczególnionych przez nas sposobów traktowania snu – i adekwatnie każdej halucynacji.

Do grupy tej zaliczyć należy: film Polańskiego „Wstręt" i „Lokator" – kliniczne analizy obłędu; „Mrożony peppermint" Saury i „Barocco" Techine'a – o ile przyjmiemy – zgodnie z interpretacją Zygmunta Kałużyńskiego – że są to przedstawienia marzeń kompensacyjnych[7]; sceny wizji z „Okruchów życia" Sauteta, „Rozmowy" Coppoli itp. Innych przykładów można szukać wśród filmów Daltona Trumbo (np. „Johnny poszedł na wojnę") czy Kena Russela (np. „Lisztomania"), twórców, którzy zasób symboli psychoanalitycznych traktują w sposób laboratoryjnie czysty, a przez to szkolny zarazem. Szczególny przypadek w tej grupie stanowi twórczość Petera Weira – myślę o filmach „Piknik pod Wiszącą Skałą" i „Ostatnia fala". W dziełach tych, poruszających tematy charakterystyczne dla horroru, oniryzm pojawia się jako składnik konstrukcyjny świata – obecny w świadomości bohaterów i niezbędny dla widza. Umożliwia to sięgnięcie przez Weira do sfery mitu i budowanie filmów na podwalinach archetypów tkwiących lub tylko oczekiwanych w zbiorowej nieświadomości.

Surrealizm natomiast – na którym ukonstytuowała się druga grupa filmów – wniósł do kina określony sposób przedstawiania świata, który można by nazwać logiką senną, lub dokładniej – logiką psychoanalityczną. W całej swej krasie występuje ona w klasycznych obrazach surrealistycznego kina: „Psie andaluzyjskim", „Złotym Wieku", „Muszelce i pastorze"... Środkiem umożliwiającym oddanie na ekranie struktury snu staje się tu *„collage różnych elementów, od dokumentu po film kostiumowy, fałszywe związki narracyjne, brak psychologicznej ciągłości, nieustanne obrażanie uczuć"*[8]. Oczywiście we współczesnym kinie zjawisko to uległo licznym wzbogaceniom, lecz nie na tyle, by owo pokrewieństwo (z surrealizmem i psychoanalizą) przestało być wyraźnie dostrzegalne.

Obrazem snu, obsesji lub marzenia są filmy Felliniego („Osiem i pół", „Rzym", „Amarcord", „Miasto kobiet"), Tarkowskiego („Zwierciadło", „Nostalgia"), Buñuela („Dyskretny urok burżuazji", „Widmo wolności") i innych. Wszystkie one są nie opowieściami o snach, lecz samymi snami – rejestracjami aktu wyobrażania.

Warto zwrócić uwagę, że podczas gdy filmy z grupy pierwszej sięgają do struktury horroru, by przedstawiać sny i przypadki klinicznych zaburzeń – czyli wyobrażenia indywidualne, filmy grupy drugiej sięgają po strukturę snu, by w wymiarach widzenia indywidualnego (lub pozornie indywidualnego – wszak to tylko forma snu) uzyskać obrazy krytyczne (czasem wręcz satyryczne) wobec rzeczywistości.

3. Repertuar środków przedstawiania „wnętrza"

Jego ogólne zarysy zostały już ukazane wcześniej, lecz warto chyba pokusić się o próbę klasyfikacji repertuaru środków konstruujących przestrzeń wewnętrzną, bowiem one właśnie ustanawiają osobny świat „po tamtej stronie"...

Przestrzeń wewnętrzna jest zjawiskiem podporządkowanym jakiemuś podmiotowi osobowemu, jest zawsze subiektywna – czyjaś. Z drugiej strony jest natomiast podporządkowana rzeczywistości, której przetworzenie stanowi. Pamiętajmy, że dla narratora wizji jest ona zazwyczaj realnością. To kazałoby stawiać tezę o stopniowym wyłanianiu się świata wyobrażanego z rzeczywistości.

Z drugiej strony zaś „wnętrze" jest czymś indywidualnym, jego obraz przeczy realności i deformuje ją, dzięki czemu daje się rozpoznać w opozycji do niej. Wizja wewnętrzna może również objawić się jako intensyfikacja zjawisk rzeczywistych – jako natężenie cech realności, zjawisko jednocześnie opozycyjne i stopniowe.

W każdym z wyszczególnionych przypadków jest rozpoznawalna dzięki pojawieniu się określonych elementów lub też wystąpieniu określonej (nazwanej wcześniej) struktury. Jednak druga ewentualność jest związana tylko z częścią filmów operujących kategorią przestrzeni wewnętrznej i wspierana jest zazwyczaj elementami z repertuaru środków wykorzystywanych przez grupę pierwszą.

Pierwszy z tych środków polega na przedstawianiu zdarzeń w określonych warunkach atmosferycznych: sen Harry'ego Caula („Rozmowa") rozgrywa się w porannej mgle, z której wyłania się i w której znika kobieta – rozmówczyni bohatera. W „Ostatniej fali" Weira i w „Elemencie zbrodni" von Triera bezustannie pada deszcz. Tak samo w „Nostalgii" Tarkowskiego. Z kolei w „Mieście kobiet" Felliniego czy „Lokatorze" Polańskiego ogromne fragmenty filmu rozgrywają się nocą. Mniej nachalnym, acz należącym do tego samego typu, sposobem podkreślania niezwykłości jest przedstawianie aury w sposób podejrzanie monotonny.

Owa jednorodność obowiązuje także przy pokazywaniu miejsca akcji, która jest zazwyczaj związana z konkretnym obiektem – najczęściej zamkniętym: kamienica w „Lokatorze", mieszkanie we „Wstręcie", skała w „Pikniku pod Wiszącą Skałą", a jeżeli przedstawia wędrówkę, co dzieje się często, to jej trasa przebiega po planie obiektu zamkniętego – labiryntu[9]. Tu odnotować trzeba niezwykłą łączliwość przestrzeni i jej metamorficzność – ujawniającą się przez możliwość przejścia z jednego zamkniętego obszaru w inny (np. w „Sanatorium pod Klepsydrą") lub niemożliwość powrotu w to samo miejsce raz przebytą drogą.

Znaczące jest również „wypełnienie" pokazywanych wnętrz: sprzęty pełnią zazwyczaj funkcję aluzji lub symbolu i w ten sposób charakteryzują korzystające z nich postacie.

Liczba postaci zaludniających tę przestrzeń jest ograniczona. Pojawiają się wyłącznie osoby znaczące – przez rolę w akcji lub swój wygląd – wystarczy przypomnieć sławne fizjonomie z filmów Felliniego lub Polańskiego. Obecne na ekranie postacie mogą powiększać się lub zmniejszać („Giulietta i duchy", „Lokator"), niespodziewanie znikać (tamże), zwielokrotniać się na ekranie w sposób jawny (jak w „Lokatorze", gdy Trelkowsky widzi siebie podglądającego go przez lornetkę), bądź utajony (tj. poprzez sobowtóry – w „Barocco" czy „Mrożonym peppermincie").

Nieco rzadszym, ale też istotnym sposobem ujawniania wewnętrzności przestrzeni jest jej dynamizacja (aż do antropomorfizacji), np. oddalanie się domu od biegnącego ku niemu bohatera w zakończeniu filmu „Pożądanie zwane Anada" Kadára i Klosa, czy pękanie ścian i wyciąganie przez nie rąk ku bohaterce „Wstrętu".

Struktura snu nie wnosi do omawianego repertuaru wiele nowego. Jej wewnętrzność ujawniają w głównej mierze nie obrazy, ale ich montaż: przemieszanie zdarzeń, redukcja fabuły na rzecz obrazowości (czasem wręcz dokumentalnej – jak w „Rzymie") itd. Najciekawsze i najwyrazistsze zjawiska tutaj to powtórzenia i upozowanie. Powtarzanie polega na powracaniu do tego samego zdarzenia – jak w „Okruchach życia", lub takiego samego – jak zasiadanie do stołu w „Dyskretnym uroku burżuazji". Może również polegać na pojawianiu się na ekranie kilkakrotnie tej samej postaci należącej do przeszłości, np. w „Giulietcie i duchach" pojawia się kilkakrotnie dziewczynka w stroju z przedstawienia urządzonego przez zakonnice w szkole klasztornej. Po informacji, że dziewczyna ta kilka lat później utopiła się, na ekranie – wbrew logice, ale w zgodzie ze strukturą wspomnienia – pojawia się obraz leżącej w wodzie dziewczynki w tym samym stroju. W „Sanatorium pod Klepsydrą" bohater spotyka przyjaciela z dzieciństwa dokładnie takiego jakim go zapamiętał – mimo że upłynęły lata itp.

Obok przywoływania i wspominania postaci rzeczywistych pojawia się na ekranie proces przywoływania lub wyobrażania sobie postaci nierzeczywistych, np. bohaterów filmowych, jak w „Zagraj to jeszcze raz" Woody Allena, lub mitologicznych – najczęstsze jest tu ukazywanie postaci Chrystusa: może on jawić się bohaterom w upozowaniu zgodnym z ikonografią chrześcijańską lub lekturą „Biblii" – tak w „Odmiennych stanach świadomości" (jako rozpięta na krzyżu postać ludzka z głową siedmiookiego baranka) lub w kontekście zakrawającym na bluźnierstwo – jak w „Johnny poszedł na wojnę" (jako maszynista pociągu z trupami).

Stąd już krok do tego, co nazwałem upozowaniem, tj. ujmowania wyobrażenia bohatera jako wizji wzorowanej lub korespondującej z wyobrażeniami religijnymi, mitologicznymi lub artystycznymi, w której on sam pełni główną rolę. Na przykład bohater „Odmiennych stanów świadomości" wyobraża sobie Raj jako kawiarnię pod gołym niebem – z wężem owiniętym wokół chroniącego stół parasola i sobą w roli Adama; a w filmie „Mahler" tytułowy bohater wyobraża sobie siebie w roli Zygfryda – bohatera „Nibelungów".

Katalog ten nie jest pełen. Stanowi raczej wykaz charakterystycznych dla przestrzeni wewnętrznej typów wyobrażeń niż zbiór konkretów. Rzadko film wykorzystuje je wszystkie – najczęściej operuje kilkoma z nich i narzucającym fantazmatyczność montażem. Środkiem pomocniczym chętnie przy tym wykorzystywanym jest muzyka i określone sposoby filmowania (zwolnienie zdjęć, ujęcia z deformujących perspektyw, wyszukana kolorystyka) najczęściej budujące nastrój – jak w filmach grozy.

4. „Inner space" jako temat

Katalog ów, mimo że daleki od doskonałości, pozwala odnotować kilka zjawisk w sztuce filmowej w wyraźny sposób zależnych od kategorii przestrzeni wewnętrznej. Kino fantastyczne ostatnich lat sięga do repertuaru środków wyrażania wnętrza i chętnie, i rozumnie. Na tym gruncie dokonuje się też wiele połączeń w obrębie odmian tematycznych fantastyki. Ma to swoje źródło w fakcie małej atrakcyjności „inner space" jako tematu na film, za to ogromnej – jako środka stylistycznego wzbogacającego i uwieloznaczniającego wymowę obrazu. W gruncie rzeczy za czystą realizację tematu „inner space" w filmie fantastycznym bezdyskusyjnie uznać można tylko „Odmienne stany świadomości" Kena Russela. Jednak niewiele filmów SF, zwłaszcza pochodzących z ostatnich lat, do tego tematu się zbliża. Konsekwentnie w kręgu wpływów „inner space" pozostaje – a moim zdaniem również wybitnie je wspomaga – bodaj najciekawszy twórca kina fantastycznego – Ridley Scott. Pozorna antyutopia „Blade Runner", której głównym tematem jest kwestia ś w i a d o m o ś c i robota, rozgrywa się w onirycznym Los Angeles, w strugach bezustannie padającego deszczu. Warunki atmosferyczne stanowią tu idealny odpowiednik stanu ducha głównego bohatera i to do tego stopnia, że jego przemianie duchowej w finale filmu towarzyszy zmiana pogody... Z kolei „Legenda", film w konwencji fantasy, wyraźnie rozwija problem fascynacji Złem – uosobionym i skonkretyzowanym. Sięgnięcie do skarbu archetypów i symboli oraz do formuły baśniowego moralitetu służy Scottowi do stawiania pytań o podstawowe prawa moralne i szukanie miejsc, w których tracą one swą jednoznaczność i prostotę.

Również brat Ridleya, Tony Scott, w swym debiutanckim filmie „The Hunger" (polski tytuł „Zagadka nieśmiertelności") świadomie wykorzystał psychoanalizę i obrazowe środki konstruowania wnętrza i stworzył dzieło, które tylko niewrażliwi mogą jednoznacznie uznać za horror. Związki z „inner space" zdradza również „Przybysz" Carpentera i wiele innych filmów – np. cała (lub niemal cała) filmowa twórczość fantasy.

Przykłady można mnożyć, ale podaniu każdego z nich towarzyszy zawsze świadomość dyskusyjności. Żaden z wymienionych filmów bowiem (poza dziełem Russela) nie przynależy wyłącznie do „inner space", lecz jedynie zawiera w sobie możliwość odczytania go jako obrazu psychiki. Środki obrazowania wnętrza są tu świadomie wprowadzone przez twórców po to, by stworzyć możliwość alternatywnej interpretacji, by wzbogacić i uwieloznacznić dzieło. Są one z jednej strony wyrazem dystansu twórcy wobec rozwijanej przez niego fabuły, z drugiej zaś miarą zaangażowania w podejmowany temat.

Owe (tu jedynie zasygnalizowane)[10] związki kina SF z przedstawieniami światów wyobrażanych i tematyką przestrzeni wewnętrznej stawiają to kino w szczególnej pozycji wobec całej pozostałej twórczości filmowej. Oglądana z tej perspektywy filmowa twórczość fantastyczna jawi się jako miejsce świadomych eksperymentów zmierzających do wzbogacenia repertuaru środków przedstawiania światów wyobrażanych w kinie w ogóle.

Z drugiej strony warto zwrócić uwagę na relację odwrotną: oto psychologia głębi i środki obrazowania wnętrza dają kinu SF ogromne możliwości pogłębienia poruszanych tematów, odewania się od balastu techniczności, zuniwersalizowania wymowy filmów. Ponadto, a może przede wszystkim, dają one twórcom filmowym uprawiającym ten gatunek, warunki eksplikowania własnego „ja" – wyrażania stosunku do tworzonego dzieła, podkreślania świadomości tego, czym jest podejmowany temat, określania własnego miejsca wobec tworzonego universum. A to jest podstawowym wyznacznikiem określającym dojrzałość twórcy i pełnowartościowość uprawianego przezeń gatunku.

5. Przestrzenne modele intelektu

Innym charakterystycznym zjawiskiem jest pojawianie się symboli „wnętrza" w obrazach realistycznych: świece, skrzynie, broń palna na ścianie, a nawet zwykły bałagan, czy scyzoryk w kieszeni – rzeczy zestawione z ich właścicielami zaczynają w określony sposób znaczyć i charakteryzować. Również pewne działania (np. stłuczenie lustra przez Willarda – „Czas Apokalipsy") nabierają „sensów naddanych".

Nie są to wyobrażenia kosmosu wewnętrznego, ale już dają jego przedsmak: symbolizują, potwierdzają, znaczą i są w określony sposób rozumiane. Przedmioty, wnętrza i działania – wytłumaczalne dzięki zastosowaniu klucza psychoanalizy, to nowy repertuar środków realizujących zasadę „stałych zachowań i atrybutów"[11] – zasadę, która w pierwszych latach kina kazała w określony sposób „znaczyć" białemu kapeluszowi czy obrusowi w kratkę. Najważniejsze bodaj zjawisko polega na posługiwaniu się repertuarem środków ukazywania wnętrza dla przedstawiania czegoś, co nie mieści się w żadnym z wymienionych na początku kręgów tematycznych lub nie do końca jest z nimi styczne.

Weźmy choćby „Opowieści niemoralne" Borowczyka. Film jest – podobnie jak inne dzieła tego reżysera – steatralizowany. Rozgrywa się w sceneriach (jest to film nowelowy) monotonnych, jak bezludne morskie wybrzeże – „Przypływ", lub zamkniętych: komórka w „Teresie Filozofce", papieski pałac w „Lukrecji Borgii". Akcja toczy się pomiędzy ograniczoną liczbą osób, z których każdej przypisane jest określone znaczenie – np. Savonarola pojawia się samotny, nie ma na ekra-

Jerzy SZYŁAK

Ur. w 1960 r. Ukończył filologię polską na Uniwersytecie Gdańskim. Jest autorem pracy magisterskiej „Komiks jako język artystyczny", której fragmenty opublikuje w bieżącym roku „Pismo Literacko-Artystyczne" oraz biuletyn elbląskiej Galerii „El" (promotorem pracy jest doc. dr hab. Anna Martuszewska).

Jako krytyk współpracuje z „Kinem" i „Filmem", gdzie zamieszcza artykuły poświęcone kinu popularnemu. Swoje teksty drukował również w „Wybrzeżu" i „Politechniku".

(an)





nie nawet kawałka ucha z całego tłumu, do którego przecież powinien kierować swe kazanie. Na scenografię składa się wiele „psychoanalitycznych" przedmiotów (ogórki i świece to tylko najwyrazistsze przykłady). Wreszcie fabuła nie rozwija się nigdy – jest niemal punktowa: objawia się jako niemal malarska wizja jednego zdarzenia („Teresa Filozofka") lub w postaci kilku punktów kardynalnych: różnych zdarzeń logicznie następujących po sobie, jednak na ekranie ujętych statycznie, samoistnych i odległych od siebie („Lukrecja Borgia"). Dodatkowym efektem jest tu ścieżka dźwiękowa, stanowiąca ironicznie przewrotny komentarz.

Równie zamkniętym przestrzennie, ascetycznym w wykorzystywaniu postaci i gestu, uniezależniającym się od logiki przedstawiania zdarzeń w ich porządku czasowym i logicznym – a przy tym jeszcze bardziej podporządkowującym całość filmu wywodowi intelektualnemu, bo nie wahającym się przed wprowadzeniem postaci fantastycznych (nieżyjąca w momencie rozgrywania się akcji matka bohaterki), jest film Bergmana „Po próbie".

Również „Andriej Rublow" Tarkowskiego jest filmem dramatycznie rozpiętym między przestrzenią rzeczywistą a „wnętrzem". Wystarczy przypomnieć scenę rosyjskiej Golgoty wtopioną między filmowe zdarzenia czy rozmowę Rublowa z (nieżyjącym) Teofanem – podczas której ten drugi zwielokrotnia swą obecność, znikając z lewej i pojawiając się jednocześnie z prawej strony ekranu.

Jak łatwo zauważyć, każdy z tych filmów operuje swoistym obrazem „wnętrza", podobnym do obrazów przestrzeni wewnętrznej ze względu na repertuar wykorzystywanych środków, lecz różnym ze względu na wymowę dzieła. Ich wewnętrzność jest wynikiem modelowości przedstawianego świata, skutkiem podporządkowywania go filozoficznemu wywodowi – przebiegowi myśli konstruującej logiczny wywód. Jest to rodzaj kosmosu intelektualnego – opartego na świadomości, wiedzy i doświadczeniu jego kreatora, który sytuuje się doń zewnętrznie – jako sprawca nieobecny na ekranie i różny od przesuwających się po nim postaci (marionetek?).

To kino nie jest snem. To świadectwo przebudzenia.

Jerzy Szyłak

Przypisy:

1. L. Jęczmyk, *Posłowie* do: J. G. Ballard, *Ogród czasu*, Kraków 1983.
2. L. Bugajski, *„Inner space" po polsku*, „Fantastyka" 9 (13)1983.
3. L. Jęczmyk, op. cit.
4. M. Janion, *Zbójcy i upiory*, w tejże, *Romantyzm, rewolucja, marksizm*. Colloquia gdańskie, Gdańsk 1972.
5. Por. Z. Freud, *Wstęp do psychoanalizy*, przeł. S. Kempnerówna i W. Zaniewicki, Warszawa 1972, s. 109–250.
6. Oznaczają one: ciało ludzkie jako całość, rodziców, dzieci, rodzeństwo, poród, śmierć, nagość i przede wszystkim narządy płciowe, sprawy i stosunki seksualne, i jest ich wiele. Por. Z. Freud, op. cit.
7. Por. Z. Kałużyński, *Superman chałturnik*, Warszawa 1982, s. 141–146, 217–219.
8. R. Cosandey, *Złoty wiek*, przeł. I. Dembowski, „Film na Świecie" nr 11/1981, s. 75–76.
9. Por. rozwijający ten temat na przykładzie filmów Hasa tekst: M. Basiaga, *Labirynt jako klucz*, „Kino" nr 6 (216)1985.
10. Szerzej zajmuję się tym tematem w tekście *Przestrzeń wewnętrzna*, „Kino" nr 5 (203)1984.
11. Termin E. Panofsky'ego, por. E. Panofsky, *Styl i tworzywo w filmie*, przeł. B. Michałek, w tegoż, *Studia z historii sztuki*, Warszawa 1971.

■

1975 (ciąg dalszy)

Fantazja dla dorosłych (AF):

1045. BECKFORD William: *Wathek. Opowieść arabska.* Wyd. II powoj. Tłum. [z ang. lub franc.] Anna Jasińska. Posłowie Zofia Sinko. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 107, nlb. 1. 20 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.

BIOY CASARES A.: *Wynalazek...* – zob. ASF.

1046. BUJAŃSKA Maria: *Pełzając.* Opowiadania. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 137, nlb. 3. 10 000 egz.

1047. CARROLL Lewis: *Przygody Alicji w Krainie Czarów. O tym, co Alicja odkryła po drugiej stronie lustra.* Tłum. [z ang.] Maciej Słomczyński. Wyd. II pełne. Warszawa. Czytelnik 16° ss. 286, nlb. 2. 100 000 egz. – Seria z Delfinem. – AF/CJF.

1048. CORTÁZAR Julio: *Opowiadania zebrane.* Tłum. [z hiszp.] i posłowie Zofia Chądzyńska. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 496, nlb. 4. 20 000 egz. – Proza Iberoamerykańska.

1049. DRZEŻDŻON Jan: *Pamiętnik Judasza.* W: *Upiory.* Warszawa. Lud. Spółdz. Wyd. 16° ss. 143–184. 10 000 egz.

GÓRZAŃSKI J.: *Małpi...* – zob. U.

1050. HOFMANSTHAL Hugo von: *Przygoda marszałka de Bassompierre.* Tłum. [z niem.] Ida Wieniewska. Wstęp Stefan Lichański. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 103, nlb. 1, bibliogr. 7 000 egz. – Biblioteka Jednorożca.

1051. KAFKA Franz: *Wyrok.* Tłum. [z niem.] Juliusz Kydryński. Wyd. II. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 146, nlb. 2. 50 000 egz. – Seria „z wróbelkiem". – Większość opowiadań fantast.

1052. MAJKOWSKI Aleksander: *Żécé i przigodě Remusa. Zvjerciadlo Kaszubskji.* Wstęp Lech Bądkowski. Dzeł I–II. Gdańsk. Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie. 8° Dzeł I s. XII, 171; Dzeł II s. nlb. 6, 173–346. Dzeł III [wyd. 1976) s. 4 nlb. 347–545. 3 000 egz. – Pisma, t. II. – Przedruk fototypiczny wyd. przedw.: Toruń 1938. – Po kaszubsku, przekład pol. zob. poz. 501/64 i 567/66 – Elementy fantast.

1053. MUSSET Alfred de: *Dzieje białego kosa. W: Dzieje białego kosa. Muszka.* Tłum. [z franc.] Stefan Meller. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° s. 5–46. 10 000 egz. – Biblioteka Jednorożca.

1054. *NIEMIECKA nowela romantyczna.* Aut.: Fryderyk de la Motte Fouqué [i in.]. Red., wstęp i koment. Gerard Koziełek. Wrocław. Ossolineum. 16° ss. XCVIII, 549, bibliogr. 4 000 egz. – Biblioteka Narodowa. Seria II, nr. 181. – AF/R.

1055. SADZIEWICZ Marek: *Bez ojczyzny.* Warszawa. Wyd. MON, 16° ss. 343, nlb. 1. 20 000 egz. – AF/ASF.

1056. ŻAKIEWICZ Zbigniew: *Biały karzeł.* Powieść. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 243, nlb. 1. 10 000 egz. – Seria Głowy Wawelskie.

Horror (W):

1057. *FANTASTYCZNE opowieści. Aut.: F.M.A. de Villiers de l'Isle Adam [i in.] Red. Krystyna Migdalska. Wyd. II uzup. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 471, nlb 1, 40 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.*

1058. GRABIŃSKI Stefan: *Niesamowite opowieści.* Wyd. II rozszerzone [w metryczce I]. Posłowie Stanisław Lem. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 353, nlb. 2. 50 000 egz. – Stanisław Lem poleca.

1059. *HISTORIE osobliwe i fantastyczne. Nowela francuska od Cazotte'a do Apollinaire'a.* Aut.: Jacques Cazotte [i in.]. Red., wstęp i koment. Jerzy Parvi. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 481, nlb. 3, tabl. 11. 20 000 egz. – Seria Grozy.

1060. IREDYŃSKI Ireneusz: *Człowiek epoki.* Wyd. III. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 176, nlb. 1. 10 000 egz.

1061. LEWIS Matthew Gregory: *Mnich.* Tłum. [z ang.] i posłowie Zofia Sinko. Wyd. II powoj. [w metryczce mylnie I]. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 410, nlb. 2. 20 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.

1062. MORWIESER Fanny: *Ofelia.* [oraz] *La vie en rosa.* Tłum. [z niem.] Gabriela Mycielska. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 185, nlb. 3. 20 000 egz. – Klub Interesującej Książki.

1063. *NIE z tej ziemi. Opowiadania z dreszczykiem.* Aut.: Stefan Grabiński [i in.]. Red. Barbara Olszańska. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 146, nlb. 6. 50 000 egz. – „Szczęśliwa Siódemka".

1064. *OPOWIEŚCI niesamowite. Groza i niesamowitość w prozie rosyjskiej XIX i początku XX wieku.* Aut.: Anton Pogoreľskij [i in.]. Red., wstęp i noty o aut.: René Śliwowski. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 450, nlb. 2, tabl. 26. 25 000 egz. – Seria Grozy.

1065. REYMONT Władysław St[anisław]: *Wampir.* [Wyd. II powoj.] Oprac. Tomasz Jodełka-Burzecki i Irena Orlewiczowa. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° ss. 229, nlb. 3. 10 000 egz. – Pisma. Wydanie krytyczne, t. 8 – Właśc. okultystyczne.

1066. RULFO Juan: *Pedro Paramo.* Tłum. [z hiszp.] Kalina Wojciechowska. Posłowie Sergio Pitol. Wyd. II. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 107, nlb. 5. 10 000 egz. – Proza Iberoamerykańska. – Elementy fantast.

1067. WALPOLE Hugh: *Wizerunek człowieka rudego.* Tłum. [z ang.] Magdalena Lipska. Wiersz R. Browinga tłum. Ludmiła Marjańska. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 236, nlb. 6. 20 000 egz. – Seria Grozy.

Krytyka, biografia, film (R):

***1068.** BACHTIN Michaił: *Twórczość Franciszka Rabelais'go a kultura ludowa średniowiecza i renesansu.* Tłum. [z ros.] Anna i Andrzej Goreniowie. Oprac., wstęp i koment. Stanisław Balbus. Kraków. Wyd. Literackie.. 8° ss. 653, nlb. 2. 3 000 egz. – Biblioteka Studiów Literackich.

1069. CHOJNACKI Antoni: *Parnicki. W labiryncie historii.* Warszawa. Państw. Wyd. Nauk. 8° ss. 270, nlb. 2. 3 000 egz.

1070. FICOWSKI Jerzy: *Regiony wielkiej herezji. Szkice o życiu i twórczości Brunona Schulza.* Wyd. II. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 326, nlb. 2. 10 000 egz.

1071. GRAAF Vera: *Homo futurus. Analiza współczesnej science fiction.* Tłum. [z niem.] Zbigniew Fonferko. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 222, nlb. 2. 5 000 egz.

1072. KANN Maria: *Literackie wyprawy w kosmos.* T. I–III. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 8° podł. 25 000 egz. [dla młodzieży): T.I: *Niebo herosów i bogów.* ss. 83, nlb. 1. T.II: *Kiedy lot był grzechem.* ss. 101, nlb. 1. T. III.: (wyd. 1976): *Droga księżycowa.* ss. 98, nlb. 2.

1073. LEM Stanisław: *Rozprawy i szkice.* Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 360, nlb. 4. 10 000 egz. – R/F.

NIEMIECKA nowela romantyczna (zawiera obszerny wstęp) – zob. AF.

cdn.

Przygotował Jacek Izworski



Redakcja zaprosiła Briana Aldissa na Dni Fantastyki. W liście wyjaśniającym powody odmowy Aldiss napisał nam:
Bardzo chciałbym spotkać się z tobą* (tj. A. Hollankiem) *i innymi moimi warszawskimi przyjaciółmi. Byłoby wielką przyjemnością przylecieć na to spotkanie, ale niestety jest to niemożliwe. W poniedziałek ukazuje się moja nowa, wielka historia SF „Trillion Year Spree" i muszę trochę pojeździć z odczytami, poreklamować ją. Z żalem muszę odmówić.
Cieszę się, że podobał się wam mój wywiad w „Locusie". Obawiam się, że ostatnio za dużo gadam. Przychodzi w życiu czas, kiedy (o ile człowiek się nie pilnuje) znajduje się większą przyjemność w słuchaniu samego siebie niż innych ludzi... Cytujcie mnie więc, jeżeli chcecie.
Skwapliwie korzystamy z pozwolenia, przytaczając jak zwykle inteligentne i wnikliwe uwagi Aldissa wypowiedziane przy różnych okazjach. Najpierw na temat wspomnianej historii SF. Przypominamy, że drukowaliśmy (Fantastyka nr 11/85) fragment na temat E.R. Burroughsa z tej wcześniejszej książki – „Billion Year Spree".

Mówi Aldiss:

Zapragnąłem wystąpić w roli dinozaura

Na początku 1985 roku skończyłem „Hellikonię" i uznałem, że należy mi się dłuższy okres rekonwalescencji. Wtedy zadzwonili do mnie z wydawnictwa i mówią: „Brian, pomyśleliśmy, że warto by wznowić »Billion Year Spree«". A ja na to: „Nie możecie tego zrobić, to się zestarzało. Połowa całej światowej literatury SF została wydana po roku 1970. Przerobię ją. Nowa wersja będzie się nazywać »Trillion Year Spree«".

Tym razem znalazłem doskonałego współpracownika, Davida Wingrove'a... Pół książki jest jego. Wyrzuciliśmy rozdziały 10–12 i on napisał rozdziały od 11 do 18. Przesyłaliśmy je sobie, ja robiłem uwagi i w końcu stworzyliśmy książkę bardzo, jak sądzę, jednolitą i kompatybilną ze starą. Jest bardziej unaukowiona, a także miałem tym razem świadomość, że piszę głównie dla czytelnika amerykańskiego.

Widzę tę książkę jako celebrację tego wszystkiego, co stało się z SF za naszego życia. Myślę, że mamy prawo do wielkiej dumy. Mamy niewątpliwie szczęście, będąc związani z czymś, co, jak wszyscy wiemy, wyszło z rynsztoka. Nie sądziłem, żeby w tej książce było miejsce na jakąś zajadłą krytykę. Ale, Bóg mi świadkiem, nie uważam jej za książkę letnią. Liczy 890 stron maszynopisu. Jest naprawdę wielka. A jeżeli jest dwukrotnie grubsza od swojej poprzedniczki, to oddaje to tylko obecny stan rzeczy.

O brytyjskiej SF (do słuchaczy amerykańskich)

Częściowo może dlatego, że mamy do czynienia przynajmniej z obrzezami nauki, jesteśmy skłonni podchodzić do naszej ulubionej literatury w sposób ewolucyjny, tak jakby zawsze się rozwijała i, mamy nadzieję, w dobrym kierunku. Moje odczucie brytyjskiej SF – przyznaję, osobiste i jak mi często powtarzają, niechętne – jest takie, że po sławnym ożywieniu, sporach i walkach Nowej Fali zapanowała jakaś ospałość.

Coraz trudniej jest pisać w Anglii science fiction. W samej Anglii zapanował zastój... To się musi odbijać na charakterze SF. Najbardziej elegancko wyrażają to Richard Cowper i Keith Roberts, który przedstawia Małą Anglię z wyłączeniem reszty świata. Elegancko, ale jałowo. Uważam to za pisarstwo anachroniczne. Poza tym powtarza się od dawna, że science fiction nie cieszy się poważaniem, powinniśmy więc zdobyć poważanie, żeby to, co piszemy, było uznane za literaturę. Myślę, że jest w tym dużo racji, wobec lekceważenia, z jakim spotyka się SF w Anglii. Mamy tu zbyt mało zwolenników. W USA może to być nadal świat zamknięty, ale w bardzo dużym pojemniku. W Stanach rynek SF się rozrósł, w Anglii się skurczył.

O pesymizmie i optymizmie

Tematem jest nie tylko śmierć, chwała i optymizm. Jest jeszcze druga strona medalu, jego blade podbrzusze z wszystkimi niepokojami i nerwicami... Science fiction nigdy nie była głównie pozytywna. Campbell publikował wszystkie te historie Po Bombie. W połowie tych przesyconych 15-centowym optymizmem historii Gernsbecka coś się waliło...

Jedną z pospolitych form SF – jeżeli już trzeba ją tak nazwać – jest telewizyjna młodzieżowa fantazja typu sen o potędze: młody chłopak i ładna dziewczyna w towarzystwie czegoś, co przypomina ogromnego pekińczyka, podbijają Wszechświat. To bardzo niebezpieczna mitologia. Życie jest inne, miejmy nadzieję. Chcielibyście dostać się pod władzę ogromnego pekińczyka? W pewien sposób SF zawsze mówi o potędze. Ale powinna („powinna" to takie niebezpieczne słówko) mówić o potędze połączonej z odpowiedzialnością. A jednocześnie w sposób paradoksalny mamy w SF temat ginącej Ziemi, taki głos rozpaczy przy końcu cywilizacji. Myślę, że ma to coś wspólnego z mistyką końca stulecia, z fin de siècle'em.

O sukcesie i zagrożeniach

Rzeczywiście oszałamiające sukcesy SF w kilku ostatnich latach przyniosły z sobą zrozumiałą próżność, zachwyt nad własnymi osiągnięciami, delirium z powodu dostarczenia od czasu do czasu mięsa armatniego dla Hollywoodu, ekstazę z powodu wejścia na listy bestsellerów. Zależy mi na SF, żywię ambicje, żeby była dziedziną skupiającą prawdziwych autorów budzących prawdziwy szacunek, nie zaś kupę nadętych, wymalowanych błaznów, którzy zgarniają kupę dolarów. Wcale nie musimy opanowywać rynku efektów specjalnych. Chcę, żeby SF była o wszystkim, żeby obejmowała wszystko. To prawda, że jej zasięg znacznie się rozszerzył, ale dla mnie to wszystko mało. SF nie jest już, jak kiedyś, po prostu męską rozrywką.

Ponieważ literatura jest z natury metaforyczna, a SF jest najbardziej metaforycznym rodzajem literatury, prawie wszystko może być dla niej materiałem, jeżeli ma się do przekazania autentyczne przeżycie. W przeszłości, i to całkiem niedawnej, SF przyciągała pisarzy chłodnych emocjonalnie, ale to się zmieniło. Nie mogę ściśle określić, o czym powinna traktować powieść SF. Jedyna wskazówka, jakiej mogę udzielić, to „Niech to będzie trudniejsze tym razem. Napisz to jakoś inaczej". Jest to mój sposób na to, żeby nie nudzić się swoim pisarstwem. Nie potrafię powiedzieć, jaką powieść powinno się teraz pisać. Ale mogę powiedzieć, jaka będzie komercyjna powieść SF do końca stulecia: fantasy i Ameryka. Od kilku lat niechętnie patrzę na panoszenie się fantasy kosztem SF. Dla mnie SF jest masywem centralnym całej dziedziny i dopóki ten masyw trwał niewzruszenie, można było wyczyniać różne sztuki na jego stokach. Ale teraz, kiedy ulega on wyraźnej erozji, nadszedł czas niepokoju. Prawdę mówiąc, był to jeden z powodów napisania „Helikonii". Zapragnąłem wystąpić w roli dinozaura.

Pytanie brzmi: Co robić z tym powodzeniem, jakie jest naszym udziałem? Otóż musimy przyznać sobie prawo do narażania się co jakiś czas czytelnikom. Kiedy pisarze będą mieć tę odwagę, wówczas sami będą decydować, o czym ma być powieść SF. Ogólnie, nowa powieść powinna różnić się od wszystkich innych powieści tak, jak każdy z nas różni się od pozostałych. Powinna w jakiś sposób zmieniać albo pogłębiać naszą wrażliwość.

I o sobie

Jestem całkiem zadowolony z życia... tyle, że nigdy nie jestem zadowolony, zawsze mnie nosi, chcę robić coś innego. Myślę, że tak naprawdę to chcę móc dalej pisać. Może to niska i podła ambicja, ale już od dawna jest dla mnie źródłem radości.

Opracował Lech Jęczmyk

Nordcon 86

Kalendarz imprez organizowanych przez Polski Fandom staje się coraz bogatszy. Oprócz konwentów okazjonalnych, obejmuje on już imprezy organizowane cyklicznie, takie jak Przegląd Filmów Fantastycznych w Świnoujściu, „Stalcon" w Olsztynie czy „Polcon", który stanowi wizytówkę naszego Fandomu. Właśnie do tych corocznych, stałych konwentów dołączył ostatnio „Nordcon", zorganizowany po raz pierwszy w dniach 5–8 grudnia 1986 r. w Wieżycy pod Gdynią.

Jego organizatorzy – Klub Fantastyki „Collaps" i Stoczniowy Klub Fantastyki „SF-2001" – przyjęli ze wszech miar słuszne założenie, iż konwenty ogólnopolskie ze względu na szczupłość bazy noclegowej i zaplecza technicznego (chlubnym wyjątkiem jest tu „Polcon") nie są w stanie zgrupować większej liczby przedstawicieli danego klubu. Stąd zjawisko, na które zwracałem już wielokrotnie uwagę na łamach tej rubryki – na większość imprez przyjeżdżają zawsze te same osoby, co raczej niekorzystnie rzutuje na atmosferę tych spotkań. Koledzy z Gdańska znaleźli na to znakomitą radę. „Nordcon 86" był konwentem klubów Polski północnej i kluby z tego regionu mogły przysłać po kilkunastu przedstawicieli (w całej imprezie uczestniczyło ponad 190 osób). Nie zapomniano jednak o reszcie Polski, zapraszając z każdego ośrodka obserwatorów.

Trzon imprezy stanowiły, jak przy innych tego typu spotkaniach, filmy prezentowane w trzech cyklach: „Podróże międzygwiezdne", „Świat po wojnie atomowej" i „Ludzie, cyborgi, roboty". Cykle te oprócz takich obrazów jak „The Last Starfighter", „Odyseja kosmiczna 2010", „Rush", „Terminator", „Outland" obejmowały także trzy prelekcje: astrofizyka prof. dr hab. Roberta Głębockiego o podróżach międzygwiezdnych, kpt. mar. mgr. Piotra Gowliczka o amerykańskim systemie „Wojen gwiezdnych" oraz mgr. inż. Macieja Parowskiego o kinie fantastycznym. Uczestnicy „Nordconu" mieli okazję pograć w różnego rodzaju gry komputerowe lub spróbować swoich sił w samodzielnym programowaniu. Doskonale działało „studio przegraniowe" pod wodzą Dariusza Ciechomskiego, gdzie każdy klub mógł przegrać interesujące go filmy, jednocześnie udostępniając innym przywiezione przez siebie pozycje. Znalazło się też miejsce na posiedzenie Komitetu Organizacyjnego „Polconu 87" (piszę o nim poniżej) oraz na spotkanie środowiskowe klubów Polski północnej, na którym postanowiono przekształcić „Nordcon" w imprezę cykliczną, organizowaną w miarę możliwości także przez inne kluby. Trochę słabiej był przygotowany konkurs wiedzy o filmie i literaturze fantastycznej, ale za to dostarczył jego uczestnikom i obserwatorom wiele wesołej zabawy.

Przy współpracy Stoczniowego Ośrodka Kultury „Fregata", Klubu Osiedlowego „Remus" przy Gdańskiej Spółdzielni Mieszkaniowej oraz Ośrodka Wczasów Pracowniczych „Komunard" w Wieżycy organizatorzy zapewnili znakomite warunki spotkania. Imprezie towarzyszyła bogata oprawa plastyczna: doskonale zaprojektowany znaczek, elegancko wydany informator oraz wystawy grafiki Beaty Matuszczak, okładek fanzinu „Collaps" i modeli statków z „Gwiezdnych wojen". Działało także dobrze przygotowane i zaopatrzone stoisko z wydawnictwami klubowymi.

Hasłem przewodnim imprezy była INTEGRACJA i trzeba przyznać, że w przypadku „Nordconu" słowo to nie było pustym dźwiękiem. Miałem okazję w Wieżycy spotkać przedstawicieli wielu klubów, o których istnieniu i działalności nie wiedziałem nic albo bardzo mało. Była więc okazja do wymiany materiałów, doświadczeń, nawiązania nowych znajomości czy nawet przyjaźni.

Atmosfera „Nordconu", jego świetna organizacja – efekt gigantycznej pracy kolegów z Trójmiasta, stawiają tę imprezę w rzędzie najlepszych konwentów 1986 roku. Wypada jedynie życzyć sobie podobnych działań klubów z Polski centralnej i południowej.

Polcon 87

Jak już wspomniałem, na „Nordconie 86" odbyło się posiedzenie Komitetu Organizacyjnego „Polconu 87" z udziałem przedstawicieli 20 klubów. Na posiedzeniu tym ustalono, że impreza odbędzie się w Warszawie w połowie września 1987 r. Jej program ramowy przedstawia się imponująco – pokazy filmów wideo i kinowych zgrupowane w kilku blokach tematycznych, pokazy gier komputerowych, liczne wystawy, prezentacja muzyki elektronicznej, małe formy teatralne, kabaret, duża giełda książki, dwa lub trzy stoiska z nowościami wydawniczymi, wydawnictwami klubowymi, plakatami, znaczkami itp., konkursy, aukcje obrazów, prelekcje oraz spotkania autorskie. Zaproszeni zostali liczni goście z kraju i zagranicy. „Polcon 87" będzie miał dwojaki charakter: imprezy zamkniętej przeznaczonej tylko dla uczestników, którzy wniosą pełną odpłatność (ok. 5000 zł – za zakwaterowanie, wyżywienie i uczestnictwo w programie) oraz części otwartej przeznaczonej dla wszystkich chętnych. Większość imprez związanych z „Polconem" odbędzie się w Klubie Politechniki Warszawskiej „Stodoła", ale część spotkań czy projekcji odbędzie się w innych punktach Warszawy.

Wziąć udział w „Polconie" może każdy, kto pisemnie zgłosi chęć uczestnictwa pisząc pod adresem: Polskie Stowarzyszenie Miłośników Fantastyki, 00-973 Warszawa skr. pocz. 77, a następnie, po otrzymaniu zawiadomienia o przyjęciu zgłoszenia, wniesie stosowną odpłatność.

Minikon 86

W dniach 19–21 września 1986 roku w Chełmnie odbyła się kolejna impreza „Dni Fantastyki – Minikon 86", przeznaczona głównie dla osób nie zrzeszonych w Polskim Fandomie. Jej organizator, Chełmiński Klub Fantastyki „Space-R" zadbał, aby program tej imprezy był w miarę bogaty. Opierał się on przede wszystkim na projekcjach filmowych (pokazano ok. 15 tytułów) i salonie gier komputerowych. Oprócz tego odbyła się również giełda książek oraz różnego rodzaju konkursy i prelekcje m.in. na temat twórczości Stefana Grabińskiego. Zachęcony udanym przebiegiem tej imprezy klub w Chełmnie zorganizował 15 listopada 1986 r. spotkanie literacko-filmowe pt. „Noc grozy", a w planach ma podobne imprezy: „Świat po zagładzie", „Komedia SF", „Fantasy". Spotkania klubu odbywają się w każdy czwartek od godziny 17.30. Zainteresowanym podaję także adres klubu: Chełmiński Klub Miłośników Fantastyki „Space-R" przy ZKK FAM, 86-200 Chełmno, ul. Polna 8.

Przegląd filmów SF

W dniach 15–17 maja 1987 r. odbędzie się w Żaganiu kolejny przegląd filmów fantastycznych. Jego organizatorem jest Zielonogórski Oddział PSMF, Żagański Pałac Kultury oraz Klub Miłośników Fantastyki w Żaganiu. Według informacji uzyskanych od organizatorów mogą w nim również uczestniczyć osoby nie zrzeszone w klubach. Bliższe informacje na temat odpłatności, programu itd. można uzyskać pisząc pod adresem: Żagański Pałac Kultury, 68-100 Żagań, ul. Szprotawska 4, skr. poczt. 7 (z dopiskiem: Przegląd filmów SF).

Nowe kluby

W Łodzi działa obecnie Akademickie Centrum Fantastyki XYX, będące kontynuatorem tradycji klubu „Phoenix". Członkami klubu mogą być jedynie osoby zamieszkałe bądź studiujące w Łodzi. W programie działalności XYX-a są planowane: projekcje wideo, pokazy gier komputerowych, działalność wydawnicza. Korespondencję dla klubu można kierować pod adresem: Michał Borzecki, 91-844 Łódź, ul. Czarnieckiego 1/53.

★

W dniu 21 października 1986 r. w Toruniu odbyło się spotkanie założycielskie Klubu Miłośników Fantastyki „Diuna" działającego odtąd przy klubie uczelnianym Uniwersytetu im. M. Kopernika „Czerwony Pajączek". Klub liczy w chwili obecnej ponad 30 członków i ma w dorobku Przegląd Filmów Fantastycznych (13 pozycji, m.in. „Cocoon", „Ewocks"); planuje też wydanie własnego komiksu fantasy. Korespondencję można kierować pod adresem: Tomasz Marciniak, 87-100 Toruń, ul. Słowackiego 1/3, DS-6, pok. 309/2.

Mak

Przed kilku laty ukazała się w Paryżu książka „Archeologia sprzed historii". Autorzy jej, Chantal Cinquin i Jean Sûchy głoszą tezę, iż prawie żadna ze znanych nam budowli tzw. megalitycznych („cyclopeens" – jak to określają) nie mogła być dziełem tych cywilizacji, którym przypisuje ją oficjalna nauka. Dotyczy to budowli w Europie (menhiry, dolmeny, kromlechy, jak ten w Stonenhenge), w Afryce (piramidy), Ameryce Południowej (Tiahuanaco, Cuzco, Teotihuacan), Azji (zigurathy Mezopotamii, Baalbek, Baghey-Koy w Turcji), a nawet posągów na Wyspie Wielkanocnej.

Nie muszę podkreślać, jak miła jest mi ta teza. Od lat staram się bowiem udowodnić, że wiele faktów czy odkryć w żaden sposób nie da się wytłumaczyć tak, jak zwykli czynić to dotychczas archeologowie czy historycy, umieszczając wszystko w gotowych ramach naszej wiedzy o dziejach człowieka. (Chociaż, Bogiem a prawdą, już sam fakt, że wszystko tak doskonale pasuje nam do schematu historii poszatkowanej dla wygody na różne epoki powinien wydać się podejrzany). Wszelkie zaś podważające ten schemat hipotezy uznawane są za sprzeczne z nauką, za fikcję nie wartą poważnej analizy.

Zdaniem Cinquina i Suchy'ego jedynym wyjaśnieniem wszelkich zagadek, które pomija współczesna archeologia jest to, że przed tysiącami lat (autorzy francuscy wystrzegają się, co jest zrozumiałe, wszelkiej dokładniejszej chronologii) naszą planetę lub większą jej część obejmowała swoimi wpływami jakaś rozwinięta cywilizacja megalityczna. Jej to dziełem mają być wspomniane budowle, zdumiewające nas swoim ogromem i niezwykłą precyzją konstrukcji, niezwykłą techniką, jakiej musiano użyć, by je wznieść. Dodajmy od razu, że odrzucają autorzy wszelkie hipotezy tak zwane „paleoastronautyczne", uważając je za zbyt fantastyczne i niedostatecznie udokumentowane.

Nie mam nic przeciwko takiemu rozumowaniu. Bo choć od lat staram się czytelnikowi polskiemu przybliżyć najbardziej wartościowe i ciekawe prace poświęcone tym właśnie hipotezom, to przecież sam fakt zakładający istnienie w zamierzchłej przeszłości jakiejś cywilizacji obejmującej cały glob i dysponującej niemałą wiedzą oraz wykorzystującej prawdopodobnie zupełnie nieznane dzisiaj źródła energii, pozwala zastosować do różnego rodzaju faktów i zjawisk z przeszłości to, co niezapomniany Jacques Bergier nazwał *„romantyczną metodą badania historii rodzaju ludzkiego"*.

Jeśli teza autorów francuskich jest prawdziwa, trzeba zastanowić się, jakimi drogami doszła owa cywilizacja megalityczna do tego rodzaju osiągnięć, jakie były jej początki i z jakim się łączą okresem historii człowieka? Pytania te autorzy pozostawiają jednak bez odpowiedzi.

★

Na poparcie swoich tez Cinquin i Suchy argumentów mają mnóstwo, częściowo już znanych. Całkowicie, na przykład, zgodzić się wypada z uwagą, iż trudno podtrzymywać dzisiaj tezę, że Wielka Piramida została wzniesiona przez prymitywnych mieszkańców Egiptu z trzeciego tysiąclecia przed naszą erą. Nie posiadali oni ani technicznych możliwości, by taką budowlę wznieść, ani niezbędnej do tego wiedzy opartej na znajomości matematyki, geometrii, geologii, astronomii, fizyki, geografii itp. Naprawdę trudno upierać się, że Wielka Piramida została zbudowana tymi metodami i tą techniką, które sobie wykoncypowali niektórzy współcześni archeologowie. Ba! Przecież w książce, która się u nas przed kilkoma laty ukazała – „Z powrotem na Ziemię", autor rozdziału poświęconego piramidom powołuje się na eksperymenty tzw. archeologii doświadczalnej, jako na decydujący argument mający wykazać trafność owych wymaginowanych przez egiptologów metod, które miały być użyte przy wzno-

szeniu piramid. Według niego kilka lat temu grupa inżynierów z Japonii posługując się tymi właśnie metodami miała zbudować piramidę. Tymczasem rzecz wygląda zgoła inaczej. Próby ich bowiem zakończyły się całkowitym fiaskiem. Metody zaproponowane przez archeologów zdały się psu na budę. Techniki użyte przez japońskich inżynierów nie przydały się ani przy transporcie bloków, ani podczas konstrukcji jedenastometrowej piramidy. Prasa egipska pisała wówczas, że gdyby Egipcjanie IV dynastii stosowali te techniki „a la japonaise", granitowe bloki spadłyby faraonom na głowę! Piramidę w końcu wzniesiono... używając cementu.

Oto fragment wypowiedzi Cinquina i Suchy'ego:

„Jeśli więc stan naszej wiedzy nie pozwala nam stwierdzić, jak Wielka Piramida została zbudowana, to przynajmniej wiemy, jak nie została zbudowana. Archeologowie mają po stokroć rację podkreślając ubóstwo techniczne Egipcjan z czasów faraonów. Tylko że wnioski, jakie z tego faktu wyciągają, są błędne. (...) Podstawowa prawda, jaką chcielibyśmy w naszej książce przekazać brzmi: Egipcjanie owych czasów zamieszkiwali kraj, którego bogactwo architektoniczne zostało zaplanowane i zrealizowane przez cywilizację niezwykle prężną i rozwiniętą. Bogactwo to Egipcjanie ówcześni przywłaszczyli sobie i wykorzystali je. A ślady tej cywilizacji widoczne są nie tylko w Egipcie".

Zagadką jest, jaki cel przyświecał autentycznym budowniczym. Nie wdając się w rozważania na ten temat, przyznać trzeba rację autorom, kiedy piszą, że należy zdecydowanie oddzielić sprawy wykorzystania tych budowli przez ludzi, którzy żyli o wiele później, od ich pierwotnego przeznaczenia. W krajach Trzeciego Świata widzi się nieraz ludzi mieszkających we wrakach starych samochodów, które przecież nie były konstruowane jako mieszkania.

Wielka Piramida – twierdzą autorzy – nigdy nie była grobowcem Cheopsa. W ogóle piramidy służyły faraonom najwyżej jako cenotafy, czyli groby zastępcze. Resztki mumii i trumny znalezione w Piramidzie Mykerionosa pochodziły, jak wiadomo, z pochówku znacznie późniejszego, prawdopodobnie z początków naszej ery. I przypomnijmy tylko, że faraonowi Snefru (ojcu Cheopsa) przypisuje się trzy piramidy. Miałżeby zbudować sobie trzy grobowce? W żadnej z piramid nie znaleziono zresztą jego mumii.

W dotychczasowych hipotezach na temat pochodzenia piramid Cinquin i Suchy widzą trzy podstawowe sprzeczności:

Pierwsza: jest rzeczą niemożliwą, aby bez jakichkolwiek narzędzi można było wznieść podobne kompleksy architektoniczne.

Druga: jest rzeczą niemożliwą, aby prymitywnie wegetująca ludność mogła żyć równocześnie z budowniczymi obiektów, które charakteryzują się wyszukaną konstrukcją i niezwykłymi walorami estetycznymi.

Trzecia: przeznaczenie, jakie się tym budowlom przypisuje i zgodne z tym przeznaczeniem ich wykorzystanie stoją w dysproporcji do środków, jakich użyto, by budowle te wznieść.

Każdą z tych sprzeczności, twierdzą autorzy, można wyjaśnić pewnymi wspólnymi cechami. Gdybyśmy to uczynili, otworzyłoby to szerokie możliwości przed badaniami archeologicznymi. Tezy zaś owej wspólnej argumentacji brzmią następująco:

Po pierwsze: przed pojawieniem się cywilizacji, która budowle te wykorzystała, istniała cywilizacja, która budowle te wzniosła.

Po drugie: gdy budowle te nie nadawały się do praktycznego ich wykorzystania, uznane zostały przez późniejszych ich użytkowników za tereny święte. Sami zaś użytkownicy żyjąc wokół tych budowli pozostawili po sobie pomieszczenia, które świadczą o niezwykle niskim rozwoju ówczesnego społeczeństwa.

Po trzecie: społeczeństwa znane nam historycznie wykorzystały te budowle zgodnie ze swoją ideologią, zgodnie ze swoimi motywacjami duchowymi – z całą pewnością odmiennymi od celów, jakie przyświecały ich pierwotnym twórcom.

Cinquin i Suchy pragną stworzyć nową archeologię, archeologię porównawczą, która umożliwiłaby całościowe spojrzenie na wszystko, co związane jest z architekturą megalityczną. Wymieniają przykłady wykorzystania przez ludy starożytne wszystkich kontynentów architektonicznej schedy przeszłości. Pradawne budowle przekształcone zostały w obiekty o wielkim znaczeniu zarówno politycznym, jak i religijnym.

Jeden z przykładów warto tutaj przytoczyć. W Luwrze znajduje się posąg Sfinksa wykonany z różowego marmuru. Napis obok rzeźby wyjaśnia, że był on *„przywłaszczony przez króla-pasterza Apopi oraz przez królów Minentaha (XIX dynastia) i Szeszonuka I (XXII dynastia). Odnaleziony w Tanie (Delta). Różowy granit. Okres Średniego Państwa (?)"*.

Ale wyjaśnienie to nic nie mówi o pierwszym właścicielu tego posągu. Do kogo posąg ten należał? Na czyje zlecenie został wykonany? Domyślamy się dlaczego faraonowie przywłaszczali sobie kolejno tę rzeźbę Sfinksa. W Egipcie przywiązywano wielkie znaczenie do imienia. Faraon, który ryt na Sfinksie swoje imię uzewnętrzniał tym swoją potęgę, symbolizował ją w rzeźbie, która

O metryce budowli megalitycznych

Arnold Mostowicz

zapewniała, że pamięć o nim trwać będzie wiecznie. Praktyka bowiem przywłaszczania sobie pomników czy rzeźb była w Egipcie częsta. Rekordzistą był pod tym względem Ramzes II. Trudno dziś znaleźć jakieś dzieło z dziedziny architektury czy rzeźbę, na której nie wyryłby on swego kartusza. Jest na przykład prawdopodobne, że na słynnych statuach z Luksoru wyryty był uprzednio kartusz Amenofisa III. Ważne było nie podobieństwo rzeźby do osoby sportretowanej, ale sam napis. Wystarczał on, by dusza faraona zamieszkała w kamieniu.

Wracając jeszcze do Sfinksa z Luwru warto dodać, że wyryte na nim kartusze wykonane są w sposób niezwykle prymitywny. Są wykonane źle, w przeciwieństwie do precyzji i piękna samego posągu. Autorzy z dużą znajomością rzeczy opisują jego walory artystyczne, by dojść do wniosku, iż w żaden sposób nie mógł on powstać za czasów faraonów.

Tego rodzaju praktykę – twierdzą autorzy – stosowano również i w Grecji. Przecież podobnie jak Ramzes II postępował Perykles. Odrestaurowanie wielu obiektów architektury, które zastał, miało być symbolem właściwego kierowania dochodami i sprawami publicznymi, zapewniało Peryklesowi uznanie ogółu. Dzisiaj przypisuje się, tak twierdzą autorzy francuscy, budowle te czasom Peryklesa, podczas gdy rzeczywiści ich twórcy pozostają nieznani. Podobnie, jak czasy kiedy obiekty te zostały wzniesione.

Imhotep, wezyr faraona Dżesera został w Egipcie uznany za boga. A jego zasługą, twierdzą autorzy, było jedynie odrestaurowanie starej piramidy w Sakkarze. I to właśnie on, Imhotep, przeszedł do historii jako ten, któremu ludzkość zawdzięcza wzniesienie pierwszej budowli w kształcie piramidy.

Rzeczą najprostszą, acz trudno sprawdzalną, jest przypisywanie architekturze megalitycznej celów religijno-politycznych. Zdaniem autorów „Archeologii sprzed historii", ten sposób rozumowania należy odwrócić. To raczej istniejące od dawna obiekty megalityczne wykorzystano dla różnego rodzaju mistyfikacji polityczno-religijnych. Wiązały one religię i charyzmat władzy z przeszłością sięgającą poza pamięć ludzką. Widoczne to jest w Egipcie, widoczne też w Ameryce Południowej, a szczególnie w imperium Inków.

★

Nie sposób przytoczyć tu wszystkich argumentów, jakie na słuszność swej tezy przytaczają autorzy. W książce reprodukowane są między innymi zdjęcia przedstawiające odnalezione przez archeologów w Egipcie czy w Stonehenge, narzędzia, za pomocą których miano wznieść budowle megalityczne. Trudno dopatrzyć się w nich resztek zaplecza technologicznego umożliwiającego ciosanie i transportowanie kamiennych brył Stonehenge albo idealne wykrawanie w kamieniołomach Egiptu czy Azji potężnych bloków ważących po 800, czy nawet 1200 ton.

I mimo świadectwa tych prymitywnych narzędzi nadal będzie się twierdzić, że za ich pomocą faraon Snefru kazał sobie wybudować trzy grobowce i że za czasów Cheopsa operowano złotą proporcją i wyższą matematyką.

Budowlom Mayów historycy przypisują wyłącznie znaczenie sakralne. Miały być one terenem okrutnych praktyk religijnych, opisywanych przez konkwistadorów. Kapłan wyjmował ofiarom ludzkim serca z piersi, a zwłoki były zrzucane na dół, po kamiennych schodach. Inaczej mówiąc budowle te wzniesiono tylko w tym celu, by można było dokonywać na tym kamiennym ołtarzu mordów rytualnych. Czy to ma sens? Oczywiście, spadając po kamiennych schodach, człowiek łamie sobie wszystkie kości, ale skoro wieżę Eiffla wykorzystało już kilkuset samobójców, czy należy uznać, że w tym celu została wzniesiona?

Notabene, jeśli idzie o wszelkiego rodzaju piramidy, najbardziej przemawia do rozumu i do wyobraźni teoria profesora Andrzeja Wiercińskiego mówiąca o roli „góry kosmicznej" w kształtowaniu się religii pierwotnych. Sztuczne „góry kosmiczne" mogły być przecież schedą po jakiejś dawnej cywilizacji.

Z drugiej strony, autorzy omawianej tu książki odmawiają wszystkim tym budowlom megalitycznym jakiegokolwiek charakteru astronomicznego. Czynią to również w stosunku do Stonenhenge, chociaż, jak wiadomo, G. Hawkins używając komputera zbadał wszystkie związki liniowe i kątowe tego kromlechu i doszedł do wniosku, że stanowił on autentyczne obserwatorium astronomiczne. Niby trudno odmówić im racji, kiedy zapytują, jaką korzyść plemionom żyjącym tu przed pięćdziesięcioma wiekami mogła dać znajomość wielkiego cyklu (tzw. cyklu Metona) księżyca? Również i pasom w Nazca odmawiają autorzy wszelkiego charakteru astronomicznego, co nawiasem powiedziawszy zgadza się całkowicie z obliczeniami tego samego Hawkinsa.

„Jeśli służyć miały wszystkie te budowle czy konstrukcje jako obserwatoria astronomiczne – piszą – to zupełnie innej cywilizacji, a nie wspólnocie plemiennej, której ubóstwo i sposób życia wykluczały zrozumienie wagi tego rodzaju informacji".

Budowle megalityczne, w czasach gdy były wznoszone, odpowiadały pewnym potrzebom racjonalnym i praktycznym. Zdaniem autorów *„wszystkie nekropole, grobowce, piramidy, świątynie, pasy w Nazca przedstawiają pewien kompleks funkcjonalny"*. Kompleks ten umożliwiać miał, uważają autorzy, przeprowadzanie doświadczeń, polegających na przemianie pewnej formy energii, którą ludzkość, zdaniem autorów, znała i którą próbowała czy też uczyła się wykorzystywać.

Powinienem właściwie teraz omówić tę konstruktywną część koncepcji autorów francuskich. Nie uczynię jednak tego, gdyż zbytnio zahacza ona o fantastykę. Uważają oni bowiem, że budowle megalityczne umożliwiały wykorzystanie energii, którą nazywają „akustyczną".

W każdym razie krytyczna część tej książki, starająca się podważyć obowiązujące w archeologii poglądy na charakter i na budowę piramid, ziguratów, kromlechów, budowli przedkolumbijskich itp. jest nader przekonująca. Cieszyć się trzeba, że to właśnie archeologowie tak radykalnie i jasno problematykę tę ujęli. Jeśli argumenty ich pozwolą wątpliwości w racje poddane przez nich krytyce, będzie to już bardzo pożyteczne. ■

W listopadzie 1986 r.* przeczytałem w „Kurierze Polskim", iż w Zakładzie Genetyki Centrum Zdrowia Dziecka w Międzylesiu pod Warszawą wszczepiono pewnej kobiecie jej własną komórkę jajową, uprzednio pobraną z organizmu tej kobiety i zapłodnioną *in vitro*, czyli „w probówce". Jeśli wszystko się uda, w lecie 1987 r. urodzi się pierwsze polskie dziecko, poczęte „w probówce". Jest to piękna próba stworzenia możliwości posiadania własnego dziecka niepłodnej kobiecie, ale zarazem sprawa ma wymiar szerszy – oto polska medycyna uczyniła pierwszy krok na drodze, którą kroczą już od kilku lat podobne ośrodki medyczne w innych krajach.

Maciej Iłowiecki

Z tamtej strony lustra

Inżynieria embrionalna

Zapłodnienie *in vitro* ludzkiej komórki jajowej nie jest dziś żadną rewelacją naukową, dużo trudniej jest doprowadzić „transferowy" embrion do szczęśliwych narodzin, ale i to jest już częste. „Transferowy embrion" albo „embriotransfer" – w żargonie tzw. publikatorów oznacza po prostu embrion przeniesiony z aparatury, w której jajo zostało zapłodnione p o z a organizmem matczynym i zaczęło się rozwijać – z powrotem do organizmu kobiety. Może to być przy tym ten sam organizm, z którego je pobrano, albo nawet inny, jak się to określa – „zastępczy".

Tak czy inaczej, na świecie pod koniec 1986 r. żyło już ponad dwa tysiące dzieci, wywodzących się z zapłodnienia poza organizmem matki. Wśród nich są bliźniaki i nawet czworaczki (!), zaś słynne pierwsze „dziecko z probówki", urodzone w 1978 r. w Oldham w Anglii, mała Luiza Brown, za rok (od ukazania się tego tekstu) skończy 10 lat... i oczywiście chodzi już do szkoły. No tak, czas leci i dziś nikt już się nie dziwi (na szczęście) „dzieciom z probówki", bardziej niezwykłe eksperymenty z ludzkimi embrionami przyćmiły tamten z pierwszym poczęciem człowieka „w probówce".

Myślę, że może wkroczenie naszej nauki na drogę ludzkiej „inżynierii embrionalnej" daje okazję do prześledzenia tej drogi od jej początków: w końcu warto wiedzieć jakie były główne etapy, najważniejsze dokonania i jak też czasami ludzie na nie reagowali. Podam oczywiście tylko pewne węzłowe etapy, nie zajmując się historią poglądów na rozmnażanie.

1322 r. – z tego czasu pochodzi bodaj pierwsza p i s a n a wzmianka o zabiegach hodowlanych, które dziś nazywa się sztucznym unasienieniem (sztuczną inseminacją). W średniowiecznym arabskim rękopisie znaleziono opis czynności, jakie hodowca koni powinien wykonać, żeby zapłodnić klacz nasieniem konia szlachetnej rasy. Jest pewne, że takie zabiegi były znane hodowcom-praktykom dużo wcześniej, właściwie nie wiadomo od jak dawna. Ale ani wtedy, ani przedtem, ani długo potem nic właściwie nie wiedziano o procesach zapłodnienia, nie wiedziano o istnieniu komórek jajowych i plemników, nie znano rozwoju zarodka (chociaż obserwatorzy przyrody wiedzieli, że wiele zwierząt wykluwa się z jaj).

1651 r. – odkrywca krążenia krwi, Anglik William Harvey ogłasza słynną zasadę, iż wszystko co żyje, powstaje z jaja *(omne vivum ex ovo)*. Harvey przypuszcza, iż w jaju pod wpływem „tchnienia nasiennego" (jakby materii lotnej, którą wysyła płyn nasienny) rozwijają się kolejno zawiązki różnych części organizmu. Myśl o takim sposobie kształtowania się nowych form w jaju (później myśl ta rozwinęła się w tzw. teorię epigenezy) była trafna, ale wkrótce potem przesłoniła ją koncepcja przeciwna (o niej dalej) – że w komórkach rozrodczych tkwi już cały malusieńki organizm, nic tu więc nie powstaje, lecz tylko się rozrasta...

1677 r. – holenderski szlifierz soczewek, słynny Anton van Leeuwenhoek opisuje po raz pierwszy (i rysuje) plemniki dostrzeżone pod mikroskopem własnej konstrukcji. Pierwszym, który w ogóle zobaczył pod mikroskopem plemniki, był – o czym rzadko się przypomina – student Ham, także Holender.

1768 r. – szwajcarski encyklopedysta Albert Haller w sposób skrajny formułuje tezę, która już od czasów Leeuwenhoeka wypierała poglądy o kształtowaniu się zarodka z materii komórek płciowych; wedle Hallera zarodek od początku t k w i w tych komórkach, w pełni już ukształtowany (teoria preformacji).

Zwolennicy tego poglądu, jeśli chcieli być konsekwentni, musieli założyć, iż skoro zarodek jest miniaturowym organizmem, musi on w s w o i c h komórkach rozrodczych mieć następne pokolenie zarodków, te zaś – znowu następne – i tak dalej... Stąd pomysł, że zarodki wszystkich kolejnych pokoleń ludzi, od początku do końca, musiały tkwić już w jajniku pierwszej kobiety – Ewy, w postaci jakby coraz to mniejszych miniaturek tkwiących kolejno w większych (jak znana rosyjska zabawka, baba, w której siedzą baby coraz mniejsze). Zatem *„wygaśnięcie rodu ludzkiego miało nastąpić w chwili, kiedy ostatni zarodek tej cudownej serii zakończy swój rozwój"*.

W czasie swego apogeum teoria preformacji jednak poniosła porażkę – od prac Niemca Fryderyka Kaspra Wolffa (1734–1794) ugruntowała się koncepcja epigenezy, dziś zwycięska. Jednak prawdę mówiąc, do dziś sprawa r ó ż n i c o w a n i a s i ę z materii komórek płciowych wszystkich skomplikowanych części organizmu, czyli tak różnych od siebie struktur, składających się na pełną żywą istotę – otóż ta sprawa pozostała bodaj największą tajemnicą przyrody, choć nawet o mechanizmach owego różnicowania się wiele już wiadomo. Ale wróćmy do nurtu, który jest głównym przedmiotem naszej chronologii.

1773 r. – londyński lekarz, John Hunter próbuje bez powodzenia zapłodnić kobietę *„płynem, pobranym z mężczyzny"*. Jest to prawdopodobnie pierwsza w ogóle (a może tylko pierwsza opisana?) próba sztucznej inseminacji na ludziach, wówczas akt odwagi i wyobraźni, niezbyt jednak przychylnie przyjęty przez oświeconą opinię publiczną.

1777 r. – włoski uczony Lazzaro Spallanzani przedstawia dowód, iż zapłodnienie polega na połączeniu plemnika z jajem (przeczuwali to poprzedni badacze, ale Spallanzani dał dowód doświadczalny!). Uczony Włoch dokonuje też laboratoryjnych eksperymentów ze sztucznym zapłodnieniem różnych zwierząt (przedtem zabiegi hodowców były tylko powtarzaniem starych praktyk, bez świadomości, iż komórka jajowa musi połączyć się z plemnikiem). Udaje mu się przez sztuczne zapłodnienie uzyskać jedwabniki, żaby, a także – pierwszego chyba, spłodzonego w ten sposób – pieska.

1866 r. – fizjolog, także Włoch, Pietro Mantegazza twierdzi, że kiedyś uda się przechowywać plemniki w stanie zamrożenia i że „umożliwi to narodziny dzieci dawno zmarłych ojców". Pomysł na owe czasy niebywały, któż wtedy mógł przypuścić, iż spełni się ponad 100 lat później! Na razie nikt Mantegazzy nie traktuje poważnie, uczony zostaje wyśmiany i potraktowany jako „naukowy hochsztapler..."

1884 r. – doktor William Pancoast w Londynie powtarza próbę Huntera z 1773 r. Uzyskuje sukces, w który początkowo nie wszyscy chcą wierzyć: sztucznie zapłodniona kobieta rodzi zdrowe dziecko! Jest to pierwszy udokumentowany przypadek sztucznej inseminacji u ludzi. Dr Pancoast ma pewne kłopoty – dokonał zabiegu bez zgody pacjentki, którą leczył na bezpłodność. Niektórzy – i chyba słusznie – uważają to za wykroczenie przeciw etyce lekarza, inni – już niesłusznie – potępiają eksperymentatora za stosowanie wobec ludzi „zwierzęcych praktyk". Ale nie ma poważniejszej dyskusji na temat perspektyw naukowych, na temat prawa i etyki, ciekawe dlaczego? Chyba nie dostrzegano jeszcze wtedy wszystkich znaczeń takich doświadczeń ani drogi, którą otwierają.

Lata trzydzieste i czterdzieste XX wieku – idea zamrażania plemników zaczyna wydawać się realna. Wprawdzie we wciąż powtarzanych doświadczeniach niska temperatura uszkadza komórki rozrodcze, ale wkrótce Jean Rostand we Francji i A.S. Parkes w Anglii wymyślają skuteczne metody przeciwdziałania uszkodzeniom. Plemniki po odmrożeniu o ż y w a j ą! Ale wciąż dotyczy to plemników zwierzęcych... Znajduje to zastosowanie w hodowli zwierząt, sztuczna inseminacja staje się metodą powszechną i wygodną.

W tym czasie wrócono do pomysłu z końca XIX wieku, by akt zapłodnienia w ogóle w y o d r ę b n i ć z organizmu, łącząc jajo z plemnikiem w laboratorium, w szkle, czyli *in vitro*, poza organizmem. Takich rzeczy próbowano dokonać co najmniej od roku 1880, ale nikt nie podał wyraźnego dowodu, że doświadczenie się udało. Wprawdzie u licznych gatunków (choćby u ryb) zapłodnienie odbywa się właśnie poza organizmem, ale ich komórki rozrodcze są do tego specjalnie przystosowane. Jaja i plemniki zwierząt wyższych, nie mówiąc już o ludzkich, giną pozbawione naturalnego środowiska dróg rodnych.

1932 r. – ukazuje się słynna powieść Anglika Aldousa Huxleya „Nowy, wspaniały świat". Pisarz, pokazując w krzywym zwierciadle przyszłość świata, przedstawia m.in. pomysł produkcji ludzi w laboratoriach...

1936 r. – Amerykaninowi Gregoremu Pincusowi udaje się w końcu dokonać pierwszego zapłodnienia „w probówce" *(in vitro)* u ssaków. Otrzymuje pierwsze króliki „z probówki".

1944 r. – John Rock w USA dokonuje czegoś, co jeszcze kilka lat wcześniej nazywano „przerażającą fantazją": pierwszego sztucznego zapłodnienia *in vitro* l u d z k i e j komórki jajkowej. W probówce doktora Rocka zaczyna się rozwijać ludzki embrion – ale szybko ginie, uczony nie potrafi przedłużyć jego życia poza pierwsze podziały komórkowe.

1954 r. – Landrum Shettles w USA powtarza doświadczenia Rocka, udaje mu się utrzymać ludzki embrion „w probówce" przez kilka dni (dziś już ok. 10 dni). Shettles próbuje skonstruować „sztuczną macicę", ale do dziś mu się to nie udaje. Niemniej jego pomysł, nie ma co ukrywać

– budzi grozę: maszyna ma wydać człowieka na świat! Jaki byłby człowiek, który swój rozwój embrionalny i płodowy spędziłby w sztucznej konstrukcji? I czy coś takiego w o g ó l e jest możliwe? No cóż, tyle już pomysłów wydawało się niemożliwymi...

1961 r. – lekarz włoski Danielle Petrucci twierdzi, iż potrafi hodować ludzki zarodek „w probówce" przez 29 dni! Byłby to niesłychany przełom, ale Petrucci nie potrafi udokumentować swego sukcesu. Do dziś nie wiadomo, czy nie była to próba naukowego oszustwa. Ale właśnie Petrucci swoją megalomanią („tworzę człowieka!") wywołuje falę oburzenia na sam rodzaj takich doświadczeń; pojawia się określenie: „manipulacja embrionami", przypomina się, iż w świetle chrześcijańskiej koncepcji człowieka, embrion jest l u d z - k ą i s t o t ą i wobec tego dotyczy go taka sama prawna ochrona, jak wszystkich ludzi (jest podmiotem prawa). Wielu lekarzy zastanawia się, jak pogodzić dobro nauki i medycyny z ochroną osoby ludzkiej; problem nienowy, ale teraz dostrzeżony w nowym wymiarze.

Jednakże – i zapewne na szczęście – „inżynieria embriologiczna" obiera inną drogę. Nie jest potrzebne, by maszyna „wydawała na świat" dzieci. Jest potrzebne, by niepłodni ludzie otrzymali możliwość posiadania własnych biologicznych potomków (choć słychać też i głosy, że nie muszą to być koniecznie „dzieci biologiczne" – skoro kocha się dzieci, można np. adoptować sieroty lub porzucone niemowlęta).

Lata sześćdziesiąte – Raymond Bunge i Jerome Sherman w USA dokonują udanego zapłodnienia jaja ludzkiego „w probówce" z a - m r o ż o n y m uprzednio plemnikiem. To i podobne doświadczenia rozpoczynają epokę „banków spermy" i zapłodnień plemnikami ojców, którzy n i e ż y j ą w momencie zapłodnienia. W USA pierwszym dzieckiem z zamrożonego plemnika po zmarłym ojcu jest córka pewnego żołnierza, który zginął w Wietnamie 3 lata przed jej urodzeniem...

Zaczynają się problemy prawne. Czy dziecko urodzone w okresie dłuższym, niż 9 miesięcy po śmierci ojca, ma prawo do dziedziczenia po nim? Nie wszystkie kraje rozwiązały ten problem do dziś...

Nadto prawo musi rozróżnić „sztuczne zapłodnienie od męża" (skrót AIH od ang. słów – *artificial insemination husband*) i „sztuczne zapłodnienie od dawcy" (skrót AID – *artificial insemination donor*). Niektórzy ortodoksyjni etycy twierdzą, że AID stanowi... cudzołóstwo, inni – że nie. Zaczynają się procesy o alimenty od dawców, którzy pozwolili, by ich nasienia użyto w „banku spermy" do zapłodnienia kobiet, które z różnych względów nie mogły skorzystać ze zwykłej drogi, prowadzącej do narodzin dziecka. W jednym przypadku sąd w USA zasądza alimenty od lekarza, ponieważ nie zdołano ustalić dawcy. Na lekarzy i dawców pada strach – ale Sąd Najwyższy USA wyrok uchyla i stwarza precedens. Dawcy nie mogą „w zasadzie" odpowiadać finansowo za zrodzone z ich nasienia dzieci. Tym bardziej lekarze, dokonujący takich zabiegów. W 1964 r. Sąd Najwyższy USA orzeka, iż kobieta, która poddaje się sztucznemu zapłodnieniu plemnikami nie od męża, a jest mężatką – n i e p o p e ł n i a zdrady małżeńskiej.

Ale dyskusja trwa. *„Zastąpienie naturalnego zapłodnienia sztucznym jest szalbierstwem, a następstwa czegoś takiego budzą grozę"* – grzmi czołowy autorytet ginekologii europejskiej, prof. August Mayer z Tybingi (RFN). W Kongresie Stanu Ohio wnosi się ustawę, zakazującą sztucznego zapładniania ludzi, ale ustawa nie przechodzi.

1965 r. – Edward Hafez w USA przedstawia metodę przewozu na dalekie odległości embrionów rasowych krów i świń... we wnętrzu żywej królicy. Zarodki wszczepione czasowo do królików – po przewiezieniu na miejsce (pierwsza próba: z USA do Australii samolotem) – wyjmuje się i wszczepia z kolei zwykłym, tzn. nierasowym krowom, które je „donaszają" aż do wydania na świat. W ten sposób udało się przewieźć w królikach... całe stado rasowego bydła.

Pod wpływem tego osiągnięcia eksperci przewidują, że implantacja poczętego „w probówce" embrionu ludzkiego do organizmu kobiety będzie możliwa, ale najwcześniej w 1980 r., najpóźniej – w 2015 r.

1972 r. – raport Narodowej Akademii Nauk w USA stwierdza: *„W chwili obecnej nie ma żadnego sposobu, by przekonać się z góry, czy dzieci zrodzone w wyniku zapłodnienia in vitro, wyhodowania i transferu ludzkich embrionów – będą zniekształcone i opóźnione w rozwoju, czy też nie"*.

1973 r. – dyrektor Kliniki Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku, dr Van der Viele, niszczy embrion ludzki, powstały *in vitro*. Embrion ten miał być wszczepiony niepłodnej pani Del Zio. Van der Viele boi się, iż po implantacji „urodzi się monstrum". Małżeństwo Del Zio wytacza lekarzowi proces o dzieciobójstwo...

1978 r. – Robert Edwards i Patrick Steptoe ogłaszają oficjalnie, iż w Oldham Hospital w Anglii urodziła się zdrowa dziewczynka, Luiza Brown, poczęta ze sztucznego zapłodnienia „w probówce" i dopiero po 4 dniach rozwoju poza organizmem matki wszczepiona do jej macicy. Jest to wcześniej o 2 lata, niż przewidywali najodważniejsi eksperci. Zaczyna się era „dzieci z probówki". Najważniejsze, iż okazują się one zdrowe i normalne!

Lata osiemdziesiąte – rozpowszechnia się instytucja „zastępczych matek", które (za opłatą) pozwalają sobie wszczepić obcy embrion (tzn. poczęty „w probówce" z komórki jajkowej innej kobiety) i „odbywają ciążę" za kobietę, która ze względów zdrowotnych nie może mieć normalnej ciąży. Takie dziecko nie dość, że poczęte w probówce, ma dwie matki – jedną biologiczną, prawdziwą, z której łona pochodzi, i drugą „zastępczą", w której łonie się rozwijało i która je wydała na świat. Powstają kolejne komplikacje natury etycznej i prawnej, zdarzają się procesy o dzieci, których „zastępcze matki" nie chcą oddać rodzicom biologicznym.

1984 r. – w Melbourne w Australii przychodzi na świat dziewczynka, która w postaci poczętego „w probówce" embrionu była przez kilka miesięcy z a m r o - ż o n a w temperaturze 196°C poniżej zera! Ma na imię Zoe (z greckiego: „Dar życia"). Jest to kolejny przełom, mający ogromne, nieprzewidywalne konsekwencje: specjaliści sądzą, że zamrożone zarodki ludzkie mogą przetrwać kilkaset lat (lub więcej) ze zdolnością do rozwoju.

Okazuje się, iż w Australii w szpitalnych „lodówkach" przechowuje się kilkaset zamrożonych zarodków ludzkich i w miarę potrzeby wszczepia się je kobietom (już dziś metoda „zamrażanych embrionów" przestała być w ogóle rewelacją).

W tymże samym roku 1984, rodzice dwu zamrożonych zarodków, czekających w kolejce na zastępczą matkę – giną w wypadku. Powstaje problem – co zrobić z zarodkami? Czy mają prawo do życia? Co w ogóle robić z zamrożonymi embrionami, jeśli przyszli rodzice z jakichś powodów nie mogą lub nie chcą już mieć dzieci? Czy należy je – jak to się mówi – „wyeliminować", czyli po prostu zabić?

1986 r. – ogłasza się oficjalnie, iż z punktu widzenia nauki i medycyny możliwe jest wszczepienie żywego embrionu m ę ż c z y ź n i e (mniejsza o medyczno-techniczne szczegóły), który mógłby „odbyć ciążę". Urodzenie dziecka nastąpiłoby drogą operacji. Mimo że nikt jeszcze (chyba?) takiego zabiegu nie wykonał, zgłasza się kilka tysięcy mężczyzn, gotowych poddać się eksperymentowi!

1986 r. – czołowy francuski uczony zajmujący się „inżynierią embrionów", prof. Jacques Testart ogłasza rezygnację ze swoich doświadczeń. *„Nie pójdę dalej* – ogłasza – *boję się, do czego może to prowadzić"*.

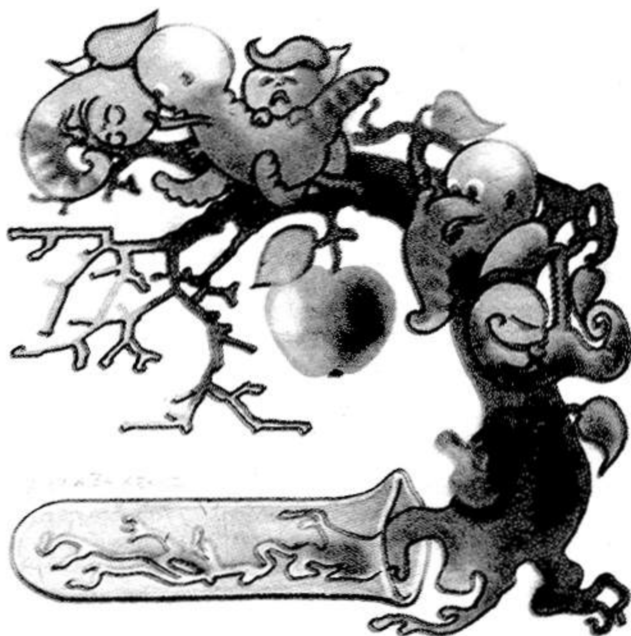
★

No cóż, może do momentu ukazania się niniejszej chronologii w druku będzie można ją uzupełnić nowymi, niezwykłymi wydarzeniami. Może już gdzieś rozwija się w sztucznej macicy ludzki płód, który obejdzie się w ogóle bez matki? Może udało się klonowanie ludzi (dziś sądzi się, iż to na pewno niemożliwe), tj. rozwój identycznego osobnika z komórki ciała jakiegoś człowieka? Może ktoś myśli o „produkcji" embrionów o z góry określonych cechach genetycznych? No, nie posuwajmy się za daleko. Myślę jednak, że nadeszła ostatnia chwila, by zastanowić się poważnie, czy istnieją jednak granice – i jakie są granice – owych biologicznych manipulacji ludzi ze swoim własnym gatunkiem.

★ Właśnie wtedy napisałem ten tekst, który ukazuje się dopiero teraz, dlatego nie mogłem podać nowych wieści. Cóż, tak długi jest cykl wydawniczy pisma.

■

Marek K. Zaleski i Żwiku



Lem nawet w operze

Niedawno oglądaliśmy na ekranach telewizyjnych znakomity spektakl operowy „Opowieści Hoffmana" Offenbacha, którego inscenizatorzy starali się jak najmocniej podkreślić elementy fantastyczne dzieła. Żyjemy przecież w czasach niezwykłej kariery science fiction. I to właśnie chciano mocno uwypuklić. Elementy fantastyki nie należą jednak do wyjątkowych w historii opery, że wspomnę tu choćby „Fausta" Gounoda, prawie całe dzieło Wagnera, czy słynną komiczną scenę z ożywającymi portretami prababek z Moniuszkowskiego „Strasznego dworu". Wielkie sukcesy święcił w kraju i za granicą Krzysztof Penderecki dzięki wystawieniu „Diabłów z Loudun".

I z jego nazwiskiem wiąże się pośrednio opera, osnuta na kanwie utworu Stanisława Lema. Szkoda tylko, że sił w tej dziedzinie nie spróbował żaden rodzimy kompozytor, chociaż to już dawno nie te czasy, w których operę uważano za szczyt sztuki i to sztuki narodowej. Mickiewicz i inni rodacy zamęczali przecież Szopena, aby takie dzieło Polsce zafundował. Na próżno. Lemowi zafundowali operę cudzoziemcy. Premiera „Cyberiady" odbyła się w Wuppertalu, a polski tekst przełożył na niemczyznę Joerg Morgener.

Oto co pisze na ten temat felietonista „Frankfurter Allgemeine" (przeł. Mieczysław Dutkiewicz)

„Scenografia Hanny Jordan jest równie uderzająca, co posępna. Kopuła mieści w sobie dwa piętra. Na dole znajduje się warsztat pana Trulla, z zawodu konstruktora, geniusza w projektowaniu maszyn. Na górnym piętrze, przed rampą startową do lotów kosmicznych, znalazła dla siebie miejsce cała bateria instrumentów perkusyjnych orkiestry symfonicznej z Wuppertal, wszystkie błyszczące, hałaśliwe i grzechoczące przyrządy. W tej głośnej jaskini przebywa początkowo również królowa Genia, która dopiero potem (wraz ze swoim orszakiem) zstępuje do teatru, troszcząc się o ramową akcję opery. Ona, która „posiadła mądrość i rozpoznała obieg nieba i świata", abdykowała, aby poświęcić się medytacjom, po czym wysyła emisariusza do Trulla, który ustawia trzy maszyny, mające zabawiać i pocieszać przeniesioną do współczesności królową nocy. (...)

Krzysztof Meyer nazwał swoje opus 15 „operą komiczną", hołdując w ten sposób dawnej tradycji tych poważnych oper, w których nie ma nic, albo bardzo niewiele, do śmiechu, a mimo to określane są jako „opera comique" (np. „La dame blanche") lub jako „dramma giocoso" (jak „Don Giovanni" Mozarta). (...) Zgodnie z informacją udzieloną przez siebie samego, rozpoczął prace nad „Cyberiadą" w Paryżu w 1968 roku. Od roku 1965 (po studiach kompozycji u Pendereckiego) kompozytor mieszkał w stolicy Francji, aby móc kształcić się dalej u Nadii Boulanger. W roku 1972, nie mając jeszcze nawet trzydziestu lat, Meyer został profesorem w klasie kompozycji i teorii muzyki w Krakowie. Szerszej publiczności dał się poznać do tej pory przede wszystkim dzięki kwartetom smyczkowym oraz symfoniom. Jego „szósta", którą nazwał „Polską", ukazała się niedawno na płycie.(...)

Z „Cyberiadą" sprawa była trudniejsza; jej muzyka, a przynajmniej jej dłuższe partie, jest monotonna, czasem tylko koresponduje z żywą, zmieniającą się stale fabułą, najbardziej chyba tam, gdzie rozbrzmiewają skoczne dźwięki lub perkusja pokazuje co potrafi. Ileż jednak możliwości stworzyłaby akcja sceniczna dla najróżnorodniejszych odmian muzyki rozmaitych stylów, sposobów śpiewania i form instrumentalnych!

W pierwszym akcie konstruktor Trull każe opowiadać jednej ze swych maszyn, jak to on, doradca i superminister, skonstruował dla króla Mandriliusa superkomputer, a następnie, okpiony przy wypłacie honorarium, został wygnany z „Królestwa Nadmiaru", ścigany na dodatek wyzwiskami i kijami. Stanisław Lem miesza w swoich futurystycznych konstelacjach dawne motywy baśniowe; kompozytor rezygnuje jednak z podobnych reminiscencji. Pomysł scenografii autorstwa Hanny Jordan jest udany. Chórzyści noszą maski, przywodzące na myśl tylko w przybliżeniu drapieżne koty. Są to jednak raczej skulone myszy. Ponadto każdy z nich trzyma przynajmniej dwie inne, stylizowane głowy zwierzęce.

W drugim akcie konstruktor Listig prezentuje maszynę, która przez przeerotyzowanie ma zlikwidować nielubianego, lubieżnego króla Voluptatusa. Ileż tu znowu możliwości nowego potraktowania znanych motywów „muzyki erotycznej"! Niestety, wszystkie te szanse zostały zaprzepaszczone. Z tym większym naciskiem usiłuje nadrobić ten brak inscenizacja Friedricha Meyer-Oertela: prapremiera „Cyberiady" w Wuppertal była bardziej wystawna niż cały „Pierścień Nibelunga". Widziadła wyłaniają się... ze starych szaf; na taki spektakl patrzy się z prawdziwą przyjemnością.

W trzecim akcie muzyka trochę się zagęszcza. Tym razem losy rzuciły pana Automatthiasa na samotną wyspę, szczęśliwie jednak zostaje on w końcu uratowany. Przedtem jeszcze z olbrzymiego, śpiewającego dwugłosem ucha zostaje udzielona mu rada, aby popełnił samobójstwo. Dopiero w ostatniej chwili rezygnuje ze skoku do oceanu. (...)

Orkiestra pod dyrekcją Jean-Francois Monnarda podołała bez zarzutu olbrzymiej pracy wyuczenia się tej opery. Pieczołowitości i zaangażowania podczas realizacji „Cyberiady" z pewnością nie zabrakło.

Nie wiem czy opera trafi kiedykolwiek na deski sceny polskiej. Jedno jest pewne. Zgodnie z ciągiem tradycji, ale także i z najnowszymi tendencjami sztuki odżywa widowisko operowe. I to w postaci fantastycznej. Aż miło słyszeć, że libretto zawdzięcza polskiemu twórcy. A więc Lem nawet w operze!

A.H.



Nowe książki o Lemie

W RFN, gdzie łączny nakład powieści Lema osiągnął liczbę 3 milionów egzemplarzy, ukazują się również obszerne opracowania literackie dotyczące jego twórczości. W 1986 r. wydano tam dwie nowe pozycje. Pierwsza z nich jest „Stanisław Lem: An den Grenzen der Science Fiction und darüber hinaus" (Stanisław Lem: Na granicy science fiction i poza nią), pod redakcją Floriana F. Marzina, tom 8 serii „Edition Futurum", niewielkiego wydawnictwa Corian Verlag w Meitingen. Czytelnik otrzymuje tam na 323 stronach obszerny przegląd twórczości Lema, uzupełniony fragmentami tekstów pisarza oraz jego autobiograficznym esejem „Moje życie" (napisanym po niemiecku i nie opublikowanym dotąd w języku polskim), a także wypowiedzią na temat genezy „Wizji lokalnej". Szczególnie bogata jest bibliografia wszystkich niemieckich wydań książek Lema, opracowana przez Wolfganga Thadewalda, agenta Lema w RFN. Zajmuje ona około 150 stron. Tom zawiera ponadto artykuły Floriana F. Marzina, Franza Rottensteinera oraz H. J. Piechotty.

Druga książka o Lemie to „Zufall und Ordnung. Zum Werk Stanisław Lems" Jerzego Jarzębskiego, która ukazała się w wydawanej przez F. Rottensteinera kieszonkowej serii „Biblioteka fantastyczna" (pozycja 1290) nakładem wydawnictwa Suhrkamp we Frankfurcie nad Menem. Jest to przekład książki „Przypadek i ład", którą przygotowuje również do druku Wydawnictwo Literackie. Książka Jarzębskiego ma 220 stron, a przekładu dokonał znany tłumacz, Friedrich Griese, który przetłumaczył na język niemiecki m.in. „Summa technologiae" i „Filozofię przypadku" Lema.

*

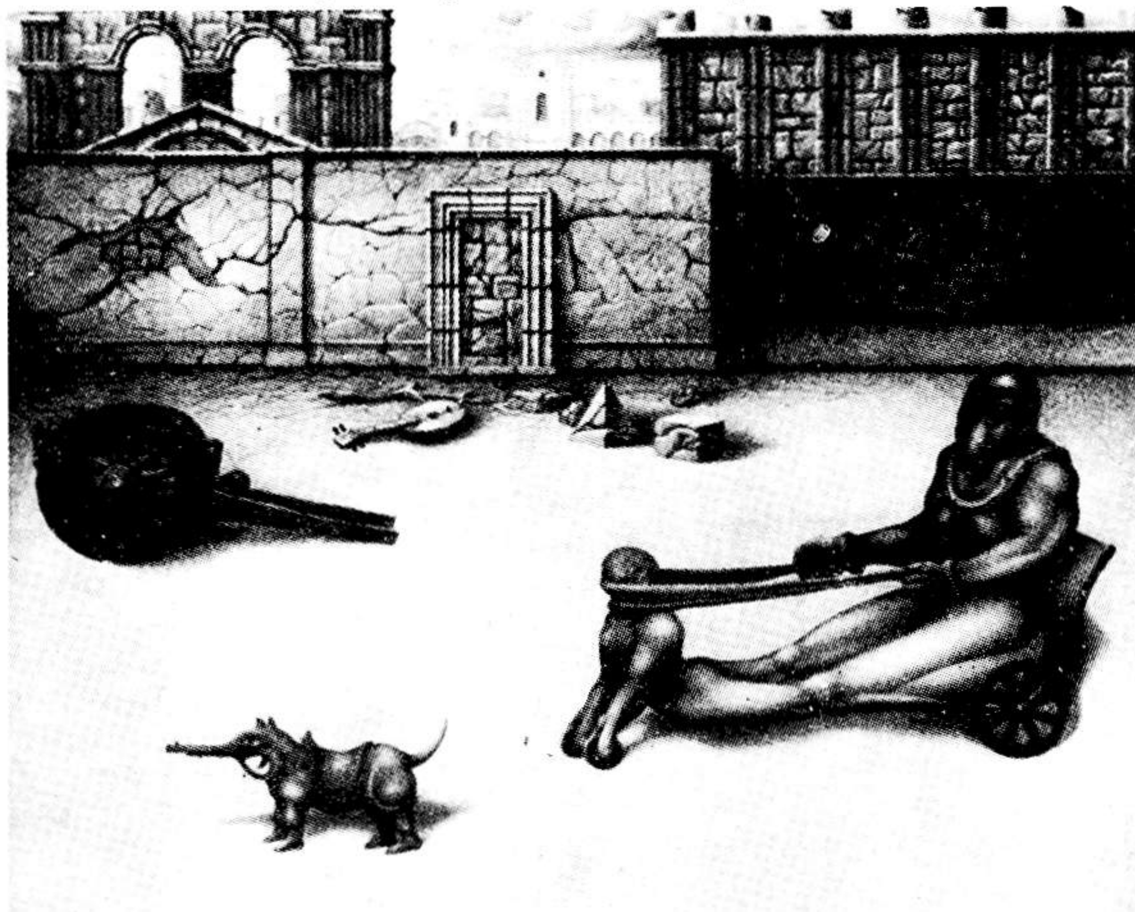
Po japońskim czasopiśmie literackim „Yurika", kanadyjskie czasopismo SF „Science Fiction Studies" opublikowało specjalny zeszyt poświęcony twórczości Lema (Nr 40, Vol. 13, cz. 3, listopad 1986, opracowany przez Istvana Scicsery-Ronaya Jr. i Franza Rottensteinera). Zeszyt zawiera artykuły m.in. Istvana Scicsery-Ronaya Jr., M. Katherine Heyles, Roberta M. Philmusa, Davida Fielda, L. A. Anninskiego i Jerzego Jarzębskiego, poza tym recenzje książek o Lemie napisanych przez Richarda Ziegfelda i Jerzego Jarzębskiego.

*

Książka Richarda E. Ziegfelda „Stanisław Lem", wydana nakładem Frederick Ungar Publishing Co. z Nowego Jorku w serii „Recognitions", to pierwsze amerykańskie opracowanie twórczości Stanisława Lema. Po wstępie o charakterze biograficznym Ziegfeld omawia książki Lema, które zostały przetłumaczone na język angielski: „Dzienniki gwiazdowe", „Śledztwo", „Powrót z gwiazd", „Solaris", „Pamiętnik znaleziony w wannie", „Niezwyciężonego", „Bajki robotów", „Cyberiadę", „Opowieści o pilocie Pirxie", „Głos Pana", „Doskonałą próżnię", „Kongres futurologiczny" i „Katar". Książka zawiera również obszerną bibliografię.

W Stanach Zjednoczonych przygotowuje się dalsze książki o Lemie.

Franz Rottensteiner



Jan Szot

Tadeusz Solecki

FIZYK TEORETYK

(Marianowi)

Co dzień
szturmuje stronice
najeżone ostrokołami równań.
Ich kolczugi
tkane z wybojów
czasoprzestrzennego continuum
umykają z gracją łasicy
przed nieudolnymi pchnięciami
lancą
intelektu.

Co noc
zasypia
przytulony do pytania
czy nazajutrz
ujrzy Wszechświat
z gardłem
poderżniętym brzytwą
Ockhama.

CHALLENGER

I

Na początku
był błąd.
Bez niego
nic się nie stało
co się stało.
Przybył do nas
z krainy
gdzie wszystkie słońca są zimne
zamieszkał
w metalowych trzewiach Faetona
a myśmy go
nie spostrzegli...

II

...las skamieniałych wiwatów
patrzy
jak na falujący cokół oceanu
opada
z majestatem kotwicy
siedem płatków
zwiędłej
róży

BAZAR

(pamięci J.A. Zajdla)

W kałuży
pulsującego zgiełku
mędrcy
sprzedawali swoje epistomologie.
Mijałem
ich papierowe stragany
owiewany
gorącymi podmuchami słów.
Ten
zachwalał dziadka
do rozbijania skorupek
nukleonów.
Tamten
oferował koneksje
z tensorami.
Inny znów
wystawiał
ogniwa łańcucha DNA
równiutko poukładane
w szufladach
matematycznej komody.
Oczekując
przed gabinetem kontemplacji
na spektakl
za opuszczonymi kurtynami
powiek
dostrzegłem Ciebie:
Stałeś
na szczycie góry
której szkliste zbocza
odpierały z pogardą ataki
rynkowego gwaru
i oglądałeś uważnie
ślad stopy
na piasku.

Tadeusz Solecki (ur. 22 V 1949 r.) jest astronomem, z zawodu informatykiem (pracuje w Ośrodku Obliczeniowym Zakładu Geofizyki w Toruniu). Autor opowiadań SF i wierszy publikowanych w tygodniku „Na Przełaj" i miesięczniku „W Drodze".